

# Cach Lisa

## *Flirty bez znieczulenia*

Przełożyła Anna Wałęcka

**Hanna O'Dowd - pracująca na własnych rachunek  
krawcowa i projektantka - uwielbia swoje zajęcie. Ma też  
przyjaciół, którzy podtrzymują ją na duchu. Zbliża się jednak  
do magicznej trzydziestki i nagle zaczyna sobie uświadamiać,  
że być może jedynym sposobem na znalezienie męża jest  
intensywne i zorganizowane randkowanie. Pomoże jej w tym  
internet i magiczna siła tarota.**



*„Ludzie przypominają tkaniny:  
niektórzy są jak jedwab, inni - jak flanela.  
Trzeba uważać, jakie kawałki się ze sobą zszywa.”*

*Hanna O'Dowd*

1

## *CEKINY I MUŚLIN*

*Portland, w stanie Oregon*

- A teraz namaśćcie święte partie swoich ciał - powiedziała Sapphire, podając dookoła małą, biało-nie-bieską chińską miseczkę. - Tę wodę różaną zrobiłam z płatków kwiatów, które zerwałam w moim ogrodzie podczas pełni księżyca, aby przywołać potęgę bogini.

Kątem oka spojrzałam na Cassie siedzącą obok mnie po turecku na poduszce rzuconej na drewniany parkiet. Miała na sobie krótki top, który kończył się zaraz pod biustem rzędem zwisających, błyszczących srebrnych kół. Jej lekko okrągły brzusek był obnażony ponad ciężkim pasem z cekinów otaczającym biodra. Zmrużyła zielone oczy i popatrzyła na mnie ostrzegawczo.

Miseczka dotarła do mnie. Woda różana miała kolor burgunda i pachniała zachęcająco, co sprawdziłam, pociągając ostrożnie nosem. Zanurzyłam palce w wodzie i dotknęłam delikatnie szyi oraz nadgarstków, tak jakbym używała perfum. Następnie podałam miseczkę Cassie.

Z czcią namaściła sobie piersi i łono, po czym pochyliła się nad miseczką i zamknęła oczy, nim podała ją następnej amatorce tańca brzucha.

- Nie wiedziałam, że masz święte cycki - wyszeptałam do Cassie, gdy Sapphire zaprosiła członków grupy do podzielenia się swoimi doświadczeniami z ostatniego tygodnia. - Ja bym je bardziej szanowała, gdyby były moje. Czy nie powinnaś nosić droższego stanika do podtrzymywania tych świętych kul?

- Bądź cicho! - zbesztła mnie Cassie.

Długowłosa kobieta o spojrzeniu zranionego zwierzęcia zaczęła opowiadać o telepatycznej rozmowie z psem.

- Będziesz miała plamy wilgoci dokładnie na brodawkach.

- Hanno, bądź cicho. Nie doświadczysz obecności bogini, jeśli się na nią nie otworzysz.

To nie była specjalnie odstręczająca perspektywa. Grupa dziesięciu kobiet z zajęć tańca brzucha i kultu bogini siedziała w kręgu dookoła małej terakotowej rzeźby. Tworzyły ją połączone ramionami postaci, pomiędzy którymi tkwiła zapalona świeca wotywna. Widziałam taki świecznik w katalogu „Sundance”, który przyszedł pocztą w zeszłym tygodniu.

Kobieta-psie medium skończyła już swoją opowieść. Teraz zawodzić zaczęła niewiasta w średnim wieku z mniej więcej dwudziestopięciokilogramową nadwagą, doskonale widoczną między spódnicą i topem bez rękawów.

- Mój narzeczony musiał w tym tygodniu stawić się w sądzie. Sąsiadka twierdzi, że się przed nią obnażył, że stał w naszym frontowym ogrodzie i się rozebrał. Ale on nie był nagi. I nie zrobił tego specjalnie! Miał na

sobie slipy i skarpetki z podwiązkami. Wyszedł po gazetę, to wszystko.

Sapphire wydawała z siebie kojące odgłosy, podczas gdy reszta kobiet szeptała.

- Skoro ma kontakt z boginią, to czemu umawia się ze zbrojcem?  
- zapytałam Cassie.

- Hanno!

Wzruszyłam ramionami. Moim zdaniem, to było całkiem rozsądne pytanie.

- Nadszedł czas na mantrę - powiedziała Sapphire.

Wszystkie złożyłyśmy przed sobą dłonie na wysokości piersi, z palcami skierowanymi do góry. Cassie nie uprzedziła mnie, że będzie mantra. Złożyłam ręce i próbowałam nie czuć się tak, jakbym się modliła.

- Dary bogini to: myśleć, mówić, czuć - powtarzały kobiety unisono, dotykając złożonymi dłońmi czoła, warg i serca. - Oraz tworzyć. - Dłonie obróciły się i powędrowały na okryte cekinami podbrzusza.

Narzeczona zbrojca rozsunęła nogi i wcisnęła ręce głębiej.

Ja uniosłam dłonie. Nie interesowało mnie tworzenie z pomocą jajników, w każdym razie nie teraz, gdy wciąż jestem sama. Dobry Boże, i po to byłam na tabletkach przez ostatnie jedenaście lat? Czy bogini nie umie tworzyć za pomocą umysłu albo serca? Lub rąk? Właśnie, co z rękami? Na Boga, zostawcie moją macicę w spokoju, przynajmniej do czasu, aż znajdę męża.

Właśnie stąd moja obecność tutaj i udział w zajęciach tańca brzucha oraz kultu bogini.

- Jeśli nawiądziesz kontakt z tkwiącym w tobie pierwiastkiem Boskiej Kobiecości, mężczyźni to wyczują - powiedziała mi Cassie. - Uwolnisz energię swoich czakramów, pozwolisz jej swobodnie przepływać.  
Mężczyźni

nie będą w stanie oderwać oczu od twojego łona, centrum twojej seksualnej potęgi. Zaroi się od nich koło ciebie.

To brzmiało całkiem zachęcająco. Miałam dwadzieścia dziewięć lat i nie kochałam się od pół roku. Coś trzeba było z tym zrobić.

Nie miałam pojęcia, czy rozgrzanie moich czakramów coś pomoże, ale gdzieś w głowie czaiła się wizja mojej osoby w muślinowym kostiumie, ze sznurami malutkich dzwoneczków dookoła bioder, zza których co jakiś czas wyzierają moje intymne skarby, a biust przysłania tylko ciężka biżuteria. W tle grałaby jakaś dziwna, zawodząca muzyka, a ja prezentowałabym Temu Jedynemu własny, prywatny pokaz tańca brzucha, co sprawiłoby, że zawładnęłyby nim instynkty reprodukcyjne.

Cokolwiek o tańcu brzucha mówiła Sapphire - że jest to forma kontaktowania się z boginią i odkrywania siebie - oglądałam Desmonda Morrisa w programie na kanale wiedzy. Wiedziałam, że w kategoriach antropologicznych to kołysanie biodrami ma pokazać mężczyźnie, że jestem młoda i zdrowa, więc mogę mu urodzić dzieci.

Mnie to odpowiadało.

Kiedy skończyły się te nonsensy związane z boginią i zabrałyśmy się do ćwiczenia tańca, zaczęłam się dobrze bawić. Sapphire zademonstrowała Wężowe Ramiona, Egipski Chód, Ręce Lotosu i nienaturalne, falujące ruchy mięśni brzucha, które, nie wiedzieć czemu, nie sprawiały mi trudności. Nie było w tym nic pociągającego, ale wiedziałam, że się przyda podczas przyjęć, gdy inni będą się chwaliли swoimi umiejętnościami poruszania uszami i zarzucania nóg na głowę.

- No dobra, umiesz dotknąć brwi językiem - będę mówiła. - Ale czy potrafisz zrobić coś takiego?

A wtedy podciągnę bluzkę i dam im popatrzeć na drgający brzuch.

Stałyśmy w trzech półkolach przodem do ściany luster i naśladowałyśmy ruchy Sapphire. Byłam nieco sztywna w porównaniu z pozostałymi, ręce i nogi miałam mniej więcej tak rozluźnione i miękkie jak przeciętny senator. Zawsze należałam do tych, którzy gubią się w tańcu i nie mają poczucia rytmu. Może rzeczywiście mój erotyczny czakram jest zablokowany?

Na zakończenie zajęć powtórzyłyśmy mantrę, a Sapphire zadała nam pracę domową - szukanie kolistości w naszym codziennym życiu. Potem wyszłyśmy i powędrowałyśmy do samochodu. Dom Sapphire i studio taneczne leżało na południowo-wschodnich obrzeżach Portland, gdzie przedmieścia ustępują już terenom wiejskim. Do naszych uszu dobiegał koncert żab kumkających głośno w tę wiosenną noc.

- O co chodzi z tym niebieskim kryształem górskim, który Sapphire przykleiła sobie pomiędzy brwiami? - zapytałam Cassie podczas jazdy do domu.

- Wiedziałam, że nie powinnam cię tam zabierać. Będiesz o tym gadać przez następne półtora tygodnia, prawda?

Znała mnie na wylot.

- A te małe kropki i diamenciki koło oczu? Myślisz, że namalowała je organiczną konturówką? Ciekawi mnie, co one mają znaczyć? Wyglądała z nimi jak karta do gry.

- Nie musisz więcej tam jechać.

- Nie wydaje mi się, żeby mój czakram choć trochę się odblokował.

- To nie jedyna rzecz, którą masz zablokowaną - powiedziała Cassie i włączyła radio, żeby zagłuszyć moje paplanie.

Jednak czas poświęcony na lekcję tańca nie był zupełnie stracony. Gdy przyglądałam się narzeczonej zбочeńca poruszającej się ze zmysłową gracją, jej pokryty fałdami tłuszczu brzuch w moich oczach przemienił się ze szpecącego balastu w symbol Matki Ziemi, obfitej i szczodrej. I mimo paskudnego gustu w kwestii mężczyzn, jej płynne ruchy świadczyły o tym, że jest w zgodzie z samą sobą w sposób, do którego mnie było jeszcze daleko.

Lecz nie chciałam przyznać się do tego przed Cassie, bo to byłoby złamaniem mojego silnego postanowienia sprzeciwiania się szaleństwu Nowej Ery i wegetarianizmowi. Nie chciałam też powiedzieć jej, że patrząc na swoje odbicie w lustrze pośród tych wszystkich kobiet, doszłam do wniosku, że nie jestem ani tak gruba, ani tak wysoka, jak mi się wydawało. Nie byłam pewna, czy wypowiedzenie tego na głos świadczyłoby o mnie dobrze czy źle.

Przyszło mi do głowy, że zachowałam się wrednie, nie przyznając, że trochę mi się te zajęcia podobały.

- Przepraszam, Cass - powiedziałam, przekrzykując hałaśliwe radio. W końcu naśmiewałam się z jej religii. - Może zatrzymamy się w Safeway i kupimy lody od Bena i Jerry'ego? Ja stawiam.

- Cherry Garcia?

- I Chunky Monkey.

- Super.

To było wspaniałe u Cassie. Nigdy się długo nie gniewała. Wystarczyła porcja lodów i wszystko szło

w zapomnienie. Można mieć gorszą współlokatorkę. Bogini wie, że mi się zdarzało.

Poznałam Cassie na pierwszym roku studiów na Uniwersytecie Oregońskim w Eugène. Była trzy lata starsza ode mnie. Kiedy się spotkałyśmy, od czterech lat zaczynała i przerywała studia. Żartowała, że realizuje plan pięcioletni, potem sześćioletni, a wreszcie przestała udawać, że zamierza zrobić dyplom z socjologii, i poświęciła swoje talenty pomysłom zarobkowym narzeczonego, który sprzedawał aromatyczne świece. Spędzała soboty na rynku pod gołym niebem, w otoczeniu świec i z książką na temat sposobów rozbudzania własnej intuicji. Na prawo było stoisko z kadzidełkami, na lewo - z cynowymi rzeźbami smoków i czarodziejów trzymających kryształowe kule.

Kiedy jej chłopak zaczął się mocno interesować innymi sprzedawczyniami magicznych towarów, Cassie przeniosła się do Portland i zaczęła pracować jako barmanka w pubie U Shannon. Pracuje tam nadal. Czasami zamawiała broszury na temat programów doszkalających. Leżały potem na ławie, przykryte kurzem i okruciami, aż w końcu trzy albo cztery miesiące później, podczas jednego z naszych rzadkich napadów sprzątnięcia, brałam je do ręki, patrzyłam pytająco na Cassie, która wzruszała ramionami, i broszury lądowały w koszu.

Cassie poruszała biodrami w rytm jakiejś dzikiej, obcej muzyki i nie byłam pewna, czy ją za to podziwiam, czy też raczej marzę o tym, żeby już dorosła i dołączyła do reszty z nas żyjących w realnym świecie.

No, w każdym razie do większości z nas. Sapphire oraz kobieta, która odbyła psychiczne tête-à-tête z psem, najwyraźniej żyły w zupełnie innej sferze.



Później tego wieczoru, kiedy siedziałyśmy na futonie, jadłyśmy lody i oglądałyśmy telewizję, wymknęło mi się pytanie, od którego powinnam się za wszelką cenę powstrzymać. Być może wywołały je zajęcia taneczne. Sama nie wiem.

- Czy jesteś szczęśliwa, Cass? - zapytałam, gdy na ekranie pojawiła się kobieta o wściekle białym uzębieniu z tubką pasty do zębów w ręce.

Moja przyjaciółka spojrzała na mnie swoimi ślicznymi, lekko skośnymi oczami. Poświata telewizora rozpraszała ciemność salonu.

- Szczęśliwa? Co masz na myśli? Teraz, w tej chwili? Jej dłoń z łyżeczką zastygła nad pudełkiem lodów

Cherry Garcia.

- Szczęśliwa w ogóle, w życiu, zadowolona z tego, jakie jest. Czy tak wyobrażałaś sobie swoją przyszłość?

Pomyślałam, że brzmi to nieco krytycznie, jakbym już postanowiła, że Cassie zboczyła z kursu odpowiedniego dla każdego szanującego się Amerykanina. Jednak tak naprawdę pytanie nie było skierowane do niej i ona to wyczuła.

- A ty nie jesteś szczęśliwa? - zapytała.

Jeśli bogini istniała naprawdę, patrzyła teraz na mnie oczami Cassie, które wypełniało bezgraniczne współczucie.

Poczułam, że zbiera mi się na płacz. Łzy wzięły mnie z zaskoczenia. Zacisnęłam wargi, żeby powstrzymać drżenie.

- Och, skarbie - powiedziała Cassie, a w tle rozległa się muzyka z serialu „Z archiwum X”. - Wszystko będzie dobrze. Po prostu za dużo od siebie wymagasz.

- Ale... - załkałam, a przepastna czerń pragnień

przesączała się z ciemnych głębi. Lody były źródłem zimnej i pustej pociechy. - Ale ja tyle...

- Tyle chciałaś mieć do tej pory? Męża, dzieci, sportowego vana, złotego retrievera? Dom na zachodnich wzgórzach?

- Volvo, a nie vana...

- Hanno, tak łatwo cię rozgryźć - powiedziała Cassie. Jej lekko ironiczny ton o dziwo niósł ulgę. - Każdemu się wydaje, że tego właśnie powinien chcieć, ale moim zdaniem, to nie są twoje prawdziwe marzenia.

- Ależ tak. Zwłaszcza mąż.

- Gdybyś była na to gotowa, miałybyś męża. Być może robisz teraz dokładnie to, co powinnaś.

Spojrzałam na pudełko moich lodów Chunky Monkey.

- Tak myślisz?

- To ta firma krawiecka się dla ciebie liczy. Przecież właśnie dlatego przeniosłaś się do Portland. Skup się na tym, a resztę zostaw własnemu biegowi wszechświata. Załatwi ci wszystko w odpowiednim czasie.

Chciałabym mieć jej wiarę, że wszystko dobrze się skończy, pomyślałam. Tak łatwo jej to przychodziło, tak naturalnie. Cassie nigdy się niczym nie martwiła.

- A nie mogłabym dostać odrobinę tej reszty już teraz? Na przykład chłopaka? - zapytałam.

- Zjawi się, gdy będziesz gotowa. - Uśmiechnęła się. - A na razie niech ci wystarczy David Duchovny

Spojrzałam na ekran, gdzie Mulder i Scully kłócili się w powtórcie z poprzedniego odcinka. Przełknęłam resztki mojego łzawego rozczulania się nad sobą.

- Ja go nie chcę.

- Czemu? Dla mnie mógłby być.

- On się nigdy nie uśmiecha.

- Przecież nie chcesz faceta, który będzie chichotał, gdy zarzuci sobie twoje nogi na ramiona. To by dopiero było straszne.

Wzdrygnęła się i zaśmiała pod nosem, zadowolona wyraźnie ze zmiany tematu i nastroju.

- I tak nie może być dużo gorzej, niż zwykle bywa. - Zacisnęłam powieki i jęknęłam, jakby mnie coś bolało, cedząc słowa: - Dochodzę! Już prawie... Czy mogę? Czy już mogę?

- Pytają cię o to?

- Jeden z moich byłych chłopaków miał taki zwyczaj.

- Pozwalałaś mu? - zapytała Cassie.

- Różnie. Zależało od tego, jak długo to trwało. Przychodził moment, gdy marzyłam jedynie o tym, żeby już było po wszystkim. Zaczynałam myśleć o infekcji dróg moczowych.

Cassie się skrzywiła. Wiedziałam, że obie pomyślałyśmy wtedy o słoiku z sokiem żurawinowym stojącym w szafce w kuchni, przewidzianym właśnie na sytuację awaryjną.

- Może to i dobrze, że twój erotyczny czakram jest zablokowany - oświadczyła Cassie.

- Może i tak.

*POMARAŃCZOWE, ZDOBIONE WARSTWY*

Wtorkowy wieczór zastał mnie brodzącą po kolana w sukniach drухen. Maszyna do szycia marki Bernina buczała równo, zszywając materiał i obrzucając wycięcia. Jestem krawcową, mam swoją własną firmę, jeżdżę do domu klientów.

Jeszcze pół roku temu mieszkałam w Eugene i byłam zatrudniona w pracowni krawieckiej zajmującej się przeróbkami. Dyplom z historii odłożyłam do szuflady, podobnie jak Cassie swoje referaty z socjologii. Ale machnęłam na to ręką. Uświadomiłam sobie, że jedyny fragment historii, który lubię, to analizowanie strojów na dawnych obrazach. Wielka Rewolucja Francuska była dla mnie bardziej interesująca ze względu na zmiany w modzie niż we francuskiej arystokracji, choć te dwa procesy są nierozzerwalnie ze sobą połączone. Gdy tylko miałam swobodę wyboru, każda moja praca z historii dotyczyła strojów w ten lub inny sposób.

Kiedy mój chłopak, z którym zrywałam i schodziłam się z powrotem, wreszcie ostatecznie przestał być moim chłopakiem, wzięłam przykład z Cassie i postanowiłam

przenieść się do Portland. Eugene mnie zmęczyło swoją upartą modą na jedzenie tofu i farbowanie tkanin w węzeł. Miałam również dość tyrania dla kogoś innego. Pracownia przeróbek musiała czasami odmawiać zleceń, tyle ich było, więc wiedziałam, że w Portland znajdę mnóstwo zamówień i będę mogła pracować na własny rachunek. W końcu tutaj ludzie dbali o swój wygląd. A żeby wyróżnić się moją ofertą, postanowiłam przyjeżdżać po rzeczy do domów oraz biur klientów. Dzięki temu nie musiałam się też martwić, że ktoś się poślizgnie i upadnie na moich schodach, a potem zaskarzy mnie do sądu.

Dobrze, że lubię prowadzić samochód. Od przyjazdu do Portland zrobiłam już moim neonem tysiące kilometrów.

Przez pierwsze kilka miesięcy ledwie wiązałam koniec z końcem. Wydałam wszystkie swoje oszczędności, żeby pokryć raty za samochód, paliwo, ubezpieczenie i ten dokuczliwy guzek zadłużenia na karcie kredytowej, który jątrzył się niczym paskudny pryszcz, nigdy zupełnie nie znikający. Ale w ciągu ostatnich dwóch miesięcy przekroczyłam krawiecką masę krytyczną i zaczął do mnie napływać szeroki strumień klientów, z których część już została nimi na stałe. Zarabiałam więcej niż w pracowni przeróbek, ale za to nie miałam ubezpieczenia zdrowotnego i nie mogłam iść na zwolnienie. Zastanawiałam się, co kupić wcześniej: ubezpieczenie czy obrębiarkę.

Moja szwalnia mieści się na piętrze małego, ozdobionego stiukami domu z lat dwudziestych, który wynajmuję na spółkę z Cassie. Ja zajmuję dwa pokoje, a ona jeden i dlatego co cztery, pięć tygodni szyję jej nowy kostium do tańca lub coś do jej pokoju - na przykład

nową kapę na łóżko czy pokrowce na poduszki. W tym miesiącu mają być zasłony z jakiegoś zwiewnego, bliskowschodniego materiału, który kupiła na festiwalu tańca brzucha. Dla zabawy chcę obszyć je na dole dzwoneczkami. Kiedy do pokoju wpadnie wiatr, będą cicho pobrzękiwały. Cassie się to spodoba.

Spojrzałam na zegarek i skrzywiłam się. Siódma. Za pół godziny miałam być w meksykańskiej restauracji San Juan. Cassie, Louise, Scott i ja umówiliśmy się na kolację, żeby uczcić przejście Louise z pracy w gorącej linii kryzysowej w systemie nocnym na dzienny. Była tam zatrudniona od dwóch lat i pokrecony harmonogram snu oraz brak życia towarzyskiego doprowadził ją na skraj klinicznej depresji. Co chyba powinna wiedzieć, będąc psychologiem i mając do czynienia z umysłowo chorymi.

Żakiet, nad którym właśnie pracowałam, powiesiłam obok pozostałych i przyjrzałam się krytycznie całej kolekcji. Panna młoda, szczerze przejęta tym, by jej drużny mogły jeszcze kiedyś włożyć swoje stroje, oraz mająca dobry gust, który kazał jej odrzucić wstrętne kokardy na pupach, tiulowe halki i sukienki bez rękawów eksponujące sflaczałe przedramiona, zdecydowała się ubrać swoje przyjaciółki w niebieskie kostiumy w stylu Jackie Onassis.

Pomysł był miły, ale bałam się, że zgromadzone razem drużny będą wyglądały jak grupa stewardes z lat sześćdziesiątych. Dodać im jeszcze tylko skrzydełka wpięte w klapy oraz toczki, a goście będą oczekiwać, że idąc nawą kościelną, zamiast płatków kwiatowych będą rozrzucać paczuszki z orzeszkami ziemnymi.

Wzruszyłam ramionami. To nie mój problem. Dawno temu nauczyłam się, że klienci sami decydują, czego chcą. Gusta były zbyt zróżnicowane, żebym

była w stanie komukolwiek coś doradzać, zwłaszcza że miałam ograniczone preferencje.

Spodnie mi się pogniotły, przyłgnęły do nich niebieskie nitki i kawałki tkaniny. Przypominało to obraz Jacksona Pollocka. Zdjęłam spodnie i włożyłam krótką, dopasowaną spódniczkę z szarej, prążkowanej żorżety. Miałam szesnaście spódnic o dokładnie tym samym kroju, uszytych z resztek pochodzących z różnych zleceń. Włożyłam jasnoniebieski, kaszmirowy pulower z krótkimi rękawami, który kupiłam za dwadzieścia cztery dolary w Nordstromie. Zaszyłam dziurę pod pachą, dzięki której ten skarb, podkreślający błękit moich szaroniebieskich oczu, wyładował na przecenionym stosie. Ten sweterek należał do moich ulubionych ciuchów.

Założyłam małe, kryształowe kolczyki i przejechałam szybko szczotką po włosach sięgających brody. Aktualnie miały odcień miodowoblond, ciemniejszy, niż zbyt mocno rozjaśnione pukle, jakie nosiłam w Eugene. Wraz z chłopakiem zniknęły długie włosy. Poszłam do fryzjerki i kazałam jej zrobić z moich włosów coś, co przyciągałoby mężczyzn pracujących, zainteresowanych małżeństwem, a nie bezrobotnych goryli, którzy się koło mnie zwykle kręcili. Nie potrafię zrozumieć, jak to jest, że właśnie ci mężczyźni, którzy mają najmniej do zaoferowania kobietom, najbardziej się do nich przystawiają.

Nowa fryzura nie zaowocowała jeszcze sukcesem w poszukiwaniach dobrej partii, ale przynajmniej ci niemrawi dali mi spokój. Louise twierdziła, że ofiary losu odstraszało zdeterminowane spojrzenie, a nie włosy. Miałam nadzieję, że nie powinnam w ten sam

sposób tłumaczyć nieobecności w moim życiu prawdziwych mężczyzn.

Kiedy przyjechałam, Scott i Louise czekali w holu restauracji. Siedzieli na ławce i jedli chipsy. Personel w chłopskich koszulach roznosił koszycki z chipsami tym, którzy czekali na stolik dłużej niż dziesięć minut. Właśnie dlatego to miejsce należało do naszych ulubionych.

- Hanna! - zawołała Louise, przesuwając się, żeby mi zrobić miejsce na ławce. - Gdzie Cassie?

- Nie wiem. Ma przyjść. Cześć, Scott.

- Cześć - powiedział ze swoim zwykłym, przyjacielskim uśmiechem.

On i Louise byli parą w ostatniej klasie liceum. Był „pierwszym” Louise zarówno jeśli chodzi o miłość, jak i o seks. Związek nie przetrwał czasu studiów: Scott poszedł do Cornell, a Louise na Uniwersytet Oregoński. Lecz pozostali przyjaciółmi. Scott zaprzyjaźnił się również z Cassie i ze mną, gdy po kolei sprowadziłyśmy się do Portland.

Niepisana umowa mówiła, że podczas gdy Louise chętnie dzieli się Scottem jako przyjacielem, mniej przychylnym okiem patrzyłaby na Cassie czy na mnie, gdybyśmy chciały od niego czegoś więcej. Nie miałam do niej o to pretensji. Sama myśl o moim pierwszym chłopaku w łóżku z Cassie albo Louise sprawiała, że zaczynałam zgrzytać zębami.

Dzięki temu związkowi z przeszłości, który działał jak miecz dzielący łoże, czułam się w towarzystwie Scotta lepiej niż z innymi mężczyznami. Był wysoki i dość przystojny, ciemnowłosy, z nieco chłopięcą twarzą i dołkiem w brodzie. Od czasu do czasu pomagałam mu kupować ubrania, a kiedy była ładna



pogoda, wybieraliśmy się czasem na wspólne wędrówki.

- Hej, Scott, mam dla ciebie coś nowego - powiedziałam, przechylając się, żeby go widzieć zza Louise.

Jęknął.

- Twoje dowcipy nigdy nie są nowe. Każdy słyszałem wcześniej ze sto razy.

- To limeryk.

- Błagam, nie...

- Ja chcę usłyszeć - powiedziała Louise, a jej brązowe oczy błysnęły pośród piegów.

Lubiła dokuczać Scottowi z powodu jego profesji niemal tak bardzo, jak ja.

- Dobrze, to idzie tak:

*Pewien dentysta z Miami Lubił pracować z paniami. Raz figla im spletał Nie tę dziurę załatał I odtąd przychodzą stadami.*

Louise parsknęła śmiechem, ale Scott schował twarz w dłoniach i pokręcił głową.

- Ten wierszyk jest starszy niż proteza Jerzego Waszyngtona. Od rana do wieczora wysłuchuję w pracy takich kiepskich dowcipów. Dlaczego musisz mnie tym raczyć jeszcze po godzinach?

- Bo dentyści zasługują na karę. To źli ludzie. Louise położyła mi dłoń na kolanie i posłała badawcze spojrzenie terapeutki.

- Wyczuwam jakąś głęboką traumę z dzieciństwa. Hanno. Jesteś bezpieczna. Możemy o rym porozmawiać.

- Wspomnienia... Są tylko strzępy: mężczyzna w białym kitlu, wycie wiertła... nie! Och, nie!

Louise zwróciła się do Scotta:

- Wyparła swoje wspomnienia do podświadomości. Będziemy musieli spróbować hipnozy. Ta kobieta doznała poważnych urazów. Twoja obecność przysparza jej bólu.

Scott miał już coś odpowiedzieć, gdy pojawiła się Cassie otoczona falą aromatu paczuli i drzewa sandałowego, która na moment stłumiła restauracyjny zapach chilli.

- Przepraszam za spóźnienie! Próba trwała dłużej, niż się spodziewałam.

Cassie należała do półprofesjonalnej grupy tancerek brzucha. Za kilka tygodni miały pierwszy publiczny występ.

Louise machnęła ręką na znak, że nic się nie stało.

- I tak jeszcze nie mamy stolika.

Właśnie wtedy nastoletnia kelnerka wykrzyknęła nazwisko Louise, więc pomaszerowaliśmy w głąb sali za jej rozkołysaną, wielowarstwową pomarańczową spódnicą z różowymi ozdobami. Przodem szła Louise i Cassie, a Scott i ja za nimi.

- Opowiadałem ci o japońskim studencie, który przyszedł do mnie w zeszłym tygodniu? Tym, który nie był u dentysty od ponad dziesięciu lat? - zapytał Scott. - Ukruszył mu się jeden z zębów trzonowych, co odsłoniło nerw. Musiałem...

- Przestań! Przestań! - wrzasnęłam, zatykając sobie uszy.

Opowieści o stomatologicznych katastrofach znosiłam jeszcze gorzej niż słuchanie o tym, jak ktoś wydłubał sobie oko. Była to klasyczna forma zemsty Scotta za moje dowcipy o dentystach. Z nieznośną szczegółowością opisywał swoje najbardziej odrażające przypadki.

Istna tortura. Chyba nie zdawał sobie sprawy z tego, jak głęboki jest mój strach przed dentystami. Robiłam dobrą minę do złej gry, opowiadając te wszystkie dowcipy.

Właściwie na fotelu dentystycznym nie przydarzyło mi się nigdy nic naprawdę strasznego: nie wyrwano mi niewłaściwego zęba, żadnej asystentce nie wyslizgnął się z ręki metalowy przyrząd i nie wbił mi się w dziąsło, nie zadławiłam się śliną. A jednak całe życie męczył mnie przeraźliwy strach - przed środkiem znieczulającym, zanim w użycie weszła nowokaina, i przed udławieniem się okruchami zęba po borowaniu.

Nie cierpiałam chodzić do dentysty, z zasady nie cierpiałam samych dentystów. Teraz, gdy nie miałam ubezpieczenia zdrowotnego, byłam względnie wolna od wyrzutów sumienia. Od dość dawna nie było mnie stać na wizytę u stomatologa.

Złożyliśmy zamówienia. Postawiono przed nami świeży koszyczek chipsów, dwa rodzaje salsy i trudną do zniesienia dla nerek ilość napojów gazowanych. Nie dotyczyło to Scotta, który codziennie pokonywał na swoim rowerze jakieś sześćdziesiąt kilometrów, więc nie musiał się martwić o swoje biodra. Zrezygnował też z napojów na rzecz wody.

- Nie mogę uwierzyć, że będę teraz wiodła normalne życie - powiedziała Louise, a słomka, przez którą piła ze szklanki wypełnionej kostkami lodu, wydała bulgoczący dźwięk. Scott zawołał przechodzącego kelnera, który zabrał szklankę Louise, żeby ponownie ją napełnić. - Moje życie nie będzie się już obracało dookoła snu! Będę mogła wychodzić wieczorami, a w weekendy zobaczę słońce. Już zdjęłam koc, który dotąd zasłaniał okno.

- Jesteś jak roślina: gotowa zacząć rosnąć - powiedziała Cassie. - Za długo przebywałaś w ciemności i zółkłaś.

- Święte słowa! - stwierdziła Louise. Na dowód wyciągnęła przed siebie swoje blade, usiane piegami przedramię. - To nie jest kolor skóry zdrowego człowieka.

- I nie będziesz miała pretekstu, żeby wymawiać się od randek - powiedziałam.

Louise zrobiła rybi pyszczek i zmrużyła oczy.

- Zdarzało mi się, o ile pamiętam, spotykać się z mężczyznami.

- A ile czasu minęło od zerwania z tym facetem, który pracował w Intelu? - zapytałam.

- Nie nazwałabym tego „zerwaniem”. Poszliśmy tylko na kilka randek. To za mało na poważny związek.

- Ale jak dawno temu to było? - naciskałam.

- Trzy miesiące, plus minus. Nie marzę o powtórkach. Po prostu nie dogaduję się z umysłami ścisłymi. To chyba podstawowy konflikt osobowości. Wszyscy oni są typami myśląco-percepcyjnymi, podczas gdy ja jestem uczuciowo-intuicyjnym, podobnie jak Cass. Problem w tym, że jedyni wolni faceci to komputerowcy. Dlaczego tak się dzieje?

- To główny przemysł w naszym regionie - wyjaśnił Scoot - więc nic dziwnego, że mnóstwo tu gości, którzy pracują przy komputerach.

Wszystkie jak jeden mąż posłałyśmy mu karcące spojrzenia. Zdarzało mu się nie złapać podtekstu. »

- Nie, moim zdaniem to dlatego, że tylko oni są bez par - stwierdziła Louise. - Łatwo to wytłumaczyć w kategoriach rozwoju emocjonalnego czy raczej jego braku. To świry, które interesują się tylko nauką o rzeczach, a nie o ludziach.

- Świry mają swoje plusy - zauważyłam. - Na ogół nie najgorzej zarabiają i dobrze traktują kobiety, bo się cieszą, że je mają.

- Umawiałaś się kiedyś z takim? - zapytał Scott.

- No, nie.

- Tak myślałem. Na moje oko to nie twój typ

- powiedział.

- A jaki jest mój typ?

- Nie wiem. Ktoś bardziej nerwowy. - Spojrzał na mnie rozszerzonymi oczami. - Niebezpieczny.

Zachichotałam.

- Pewnie. Długowłose, wytatuowane mięśniaki. Motocykliści, jeżdżący bez kasków. Niegrzeczni chłopcy. Tacy, którzy wynajmują na spółkę dom w północno-wschodniej części Portland i nie wiedzą, co to kosiarka do trawy, chyba że się o nią potkną. Pewnie też nie biorą udziału w wyborach. Oto mój typ!

- Hanno, skarbie - powiedziała Louise. - Nie znam kobiety, która lubi mężczyzn stroniących od prac ogrodowych.

- A długie włosy to tylko takie miłe marzenie

- dodałam. - W życiu oznaczają one faceta, który musi sprzedać swój motor, żeby zapłacić czynsz.

- Lubię mężczyzn z długimi włosami - wtrąciła się Cassie. - Nie zawsze są ofiarami losu. W moich zajęciach z jogi uczestniczy kilku emocjonalnie świadomych. Jeden z nich uczy angielskiego w Portland State. Moim zdaniem, długie włosy są seksowne.

Spojrzałam na Scotta, próbując go sobie wyobrazić z długimi włosami. Przechadzałby się po swoim gabinecie w zielononiebieskim kitlu z gęstą czupryną związaną w kucyk. To nie był odstręczający obraz, choć nieco zabawny.

Przyłapał mnie na wpatrywaniu się w niego. Dostrzegł uśmiezek drgający mi na ustach.

- Co? - zapytał.

- Nic.

Podano jedzenie. Farsze do fajitas skwierczały i dymiły dramatycznie na półmiskach. Przez kilka minut nasze myśli skupiły się na tortillach i kwaśnej śmietanie. Nakładaliśmy nadzienie i zwijaliśmy. Ugryzłam pierwszy kęs i od razu poczułam sok spływający mi po ręce.

- Nie rozumiem, dlaczego tylko ja mam się męczyć z randkami - powiedziała Louise, kiedy każdy z nas zaspokoił pierwszy głód. - Żadne z was z nikim się nie umawia. Projektujecie na mnie.

- Ja próbuję się umawiać - odparłam na to. - Ze wszystkich sił. Tylko że nie mogę znaleźć nikogo odpowiedniego.

- Jej czakram erotyczny jest zablokowany - oznajmiła Cassie.

- Co? - zapytał Scott, zatrzymując swoją nieskazitelną, nie kapiącą fajitas w połowie drogi do ust.

- Mój czakram od seksu - wyjaśniłam, odchyliłam się do tyłu i wskazałam dłonią na swój brzuch poniżej pępka. - Cass próbowała pomóc w uwolnieniu mojej seksualnej energii. Zabrała mnie na zajęcia z tańca brzucha.

- Mężczyźni wyczuwają, gdy w kobiecie przebudzona została Boska Kobiecość - powiedziała Cassie.

- Naprawdę? - zapytał Scott.

- Może właśnie to powinnam zrobić - rzuciła w powietrze Louise.

- Jeśli się z nikim nie spotykasz - powiedziała Cassie do Scotta - to być może twój własny czakram erotyczny jest zablokowany.

- Nie zamierzam uczyć się tańca brzucha.

- Ee... i tak nie znam ruchów odpowiednich dla mężczyzn - stwierdziła Cassie. - Energie się różnią. Picie dużej ilości płynów ma podobno pomagać zarówno kobietom, jak i mężczyznom. To przepłukuje.

Najwyraźniej woda była dobra nie tylko na klasyczne zaparcia, ale także emocjonalne. Powstrzymałam się od powiedzenia tego na głos, bo siedzieliśmy przy stole. Wargi Scotta zadrgały. Spojrzeliśmy na siebie przelotnie. Byłam pewna, że przyszło mu do głowy to samo, co mnie.

- Zresztą, gdzie niby mamy poznawać ludzi? - zapytała Louise. - Nie chcę chodzić do barów, nie chcę umawiać się z kimś, kto poluje tam na kobiety. Wszyscy „eksperci” doradzają zawieranie znajomości przez rodziców czy przyjaciół, ale moi rodzice nie znają nikogo w odpowiednim wieku. Pytałam ich. Jedyna osoba, która przyszła im do głowy, to czyjś dwudziestopięcioletni syn, zagorzały katolik. Z was nie ma żadnej pociechy. Gdybyście znali jakiegoś samotnego faceta, sami byście go poderwali.

- Ja bym nie poderwał - sprostował Scott.

- Ty mi miałeś znaleźć jakiegoś miłego stomatologa. I co? - zapytała Louise.

- Wszyscy są żonaci - odparł. - A poza tym, nie są w twoim typie. Potrzebujesz kogoś, kto będzie z tobą rozmawiał całą noc o jungowskiej analizie snów, a nie faceta, który wolałby pływać łódką i podglądać nudys-ki, mijając wyspę Sauvie.

- To tym się zajmują dentyści, gdy mają wolne? - zapytałam.

- Tak. Poza tym polerują swoje porsche i przesiadują w Sharper Image.

Przez chwilę siedzieliśmy w ciszy. Każde z nas zastanawiało się nad wieczną niedojrzałością mężczyzn, podczas gdy Scott zawiązał sobie kolejną fajitas.

- Sytuacja nie może być tak beznadziejna, na jaką wygląda - przerwałam wreszcie milczenie. - Nawet jeśli jest tylko jeden mężczyzna na milion, odpowiedni dla każdej z nas, to w końcu ile ludzi mieszka w Portland i okolicy? Dwa miliony? Z tego milion mężczyzn. Idealny facet jest wśród nich. Oraz idealna kobieta dla ciebie, Scott. Oni gdzieś tam są, musimy ich tylko odszukać.

- Tego nie można zrobić na siłę - powiedziała Cassie. - Wszechświat...

- Nie zamierzam czekać, aż wszechświat się tym zajmie. Szóstego września skończę trzydzieści lat. Zostały mi cztery miesiące. Do tego czasu chcę być zaręczona - powiedziałam stanowczo.

Nagle niepokój ubiegłej nocy skryształizował się w tej decyzji. Jakby deklaracja mogła odsunąć ode mnie całą niepewność, cały strach o przyszłość. Nic się nie zmieniło, ale zyskałam jakieś poczucie kontroli, chociaż złudnej.

- Nie chcę skończyć trzydziestu lat, wciąż nie wiedząc, za kogo wyjdę - ogłosiłam.

- Hanno - odezwała się Louise pełnym troski tonem terapeuty. - Małżeństwo zawarte tylko dlatego, że wydaje ci się, iż jesteś w odpowiednim wieku, to przygotowywanie sobie pewnej katastrofy.

- Cóż, nie zamierzam łapać pierwszego lepszego na ulicy. Jeśli chciałabym wyjść za kogokolwiek, to nie byłoby żadnego problemu. Nie, zamierzam odnaleźć Tego Jedynego, jednego na milion, który jest gdzieś w promieniu trzydziestu kilometrów od miejsca, w którym teraz siedzimy. To nie będzie pomyłka.



- Ale o co chodzi z tą trzydziestką? W czym rzecz? - zapytał Scott. Wszystkie na niego spojrzałyśmy. Znowu wyszedł z niego mężczyzna.

- Gdy skończyłem trzydzieści lat, wydałem wielkie przyjęcie. Było super... same wiecie, bo byłyście. Owszem, czułem się trochę staro, ale na pewno nie trapiła mnie kwestia małżeństwa.

- Tik-tak, tik-tak - powiedziałam. Patrzył na mnie, nic nie rozumiejąc.

- Zegar biologiczny - wyjaśniłam. - Tyka. Ty możesz mieć dzieci tak długo, jak w aptekach dostępna jest viagra, ale nas obowiązują pewne nieprzekraczalne terminy.

- Są kobiety, które rodzą dzieci dobrze po czterdziestce...

- Nie wydaje mi się, żeby którakolwiek z nas marzyła o tym, by być na emeryturze, gdy nasze dziecko skończy szkołę średnią - powiedziałam. - Nie chcę żyć w strachu, że mój mąż umrze na atak serca podczas gry w koszykówkę z naszym synem. Nie chcę, żeby ludzie brali mnie za babkę mojej córki. Jestem niezależna, sama wyznaczam sobie godziny pracy, zarabiam na życie. Teraz chcę męża i chcę założyć rodzinę. Nadszedł czas, bez względu na to, co o tym myśli wszechświat. Zamierzam coś z tym zrobić.

- Rany, Hanno, to brzmi tak, jakbyś zamierzała rozpocząć kampanię militarną - powiedział Scott.

- W ten sposób nie znajdziesz miłości - zauważyła Cassie.

- Ona ma rację - stwierdziła Louise. - Nic mi nie wiadomo o wszechświecie, który orientuje się, kiedy nadszedł odpowiedni moment, ale faceci na pewno

potrafią wyczuć twoją desperację i pouciekają gdzie pieprz rośnie.  
Prawda, Scott?

- Równie skutecznie działałaby obstawa w postaci tria mięśniaków uzbrojonych po zęby.

- Nie jestem zdesperowana - powiedziałam. - Jestem zorganizowana. Wszechświat pomaga tym, którzy sami sobie pomagają. Przecież nie mogę oczekiwać, że któregoś dnia facet zapuka po prostu do moich drzwi, prawda? A czy wy nie chcecie znaleźć swoich połówek jabłka?

Zapadła cisza. Ze wszystkich stron otaczało nas restauracyjne pobrzękiwanie naczyń.

- No... tak, pewnie, że chcę go znaleźć... - powiedziała wreszcie Louise. - Tylko jak?

- Właśnie to zamierzam ustalić.

*CYGAŃSKA CHUSTA*

- Jesteś zajęta? - zapytał Robert, podając mi naręczę spodni i marynarek, które trzeba było obrębić.

Robert był ekspedientem w Butler&Sons, drogim sklepie z odzieżą sportową, skąd pochodziła spora ilość moich zamówień na przeróbki. Był ode mnie sześć lat starszy, wysoki, miał lekką nadwagę i miłą twarz, która rozjaśniała się zawsze na mój widok. Podejrzywałam, że się we mnie durzy, ale jakoś nie potrafiłam stawić czoła pomysłowi spotykania się z trzydziestokilkuletnim facetem, który nie wyrósł z pracy w sklepie. Pociągała mnie ambicja i pewność siebie, a Robert nie miał ani jednego, ani drugiego.

A może wcale nie był zadurzony, tylko po prostu cieszył się na widok kogoś mniej więcej w swoim wieku. Ciuchy sprzedawane w Butler&Sons były przeznaczone dla graczy w golfa i członków ekskluzywnych klubów sportowych, czy też raczej tego, co w Portland uchodziło za takie kluby. Wśród klientów, którzy wstępowali po szare spodnie lub grube swetry w romby, raczej nie było młodych, niezamężnych kobiet.

- Dosyć - powiedziałam, biorąc od niego rzeczy.

- Dzisiaj po południu mam jeszcze trzy spotkania jedno po drugim.

- A jadłaś coś? - zapytał.

Unikałam jego spojrzenia. Każda wzmianka o jedzeniu to niebezpieczny znak. Miałam wrażenie, że wracamy do prymitywnych czasów, gdy mężczyzna przynosił kobiecie mięso, dobre mięso, papu. I wszystko w porządku, jeśli kobieta pragnie mężczyzny, a mężczyzna zabija mamuta i rozpala wielkie ognisko. Gorzej, gdy mężczyzna zabija starego gołębia, a drewno jest mokre. Ja potrzebowałam porządnego opiekuna.

- Zwykle Joannę mnie karmi - stwierdziłam.

Nie było to takie dalekie od prawdy. Miałam teraz jechać właśnie do niej. Na ogół częstowała mnie bułeczkami i ciastem. Nie był to posiłek w tradycyjnym rozumieniu tego słowa, ale uznawałam to za lunch.

- Och. - Mina mu zrzędła. Próbował z powrotem przywołać uśmiech na twarz. - Może w następnym tygodniu moglibyśmy pójść razem coś zjeść. W pobliskiej knajpcie są całkiem niezłe potrawy.

Uśmiechnęłam się z wysiłkiem.

- Zobaczymy.

Na tyle tylko mogłam się zdobyć w odpowiedzi. Ani go nie zachęciłam, ani nie pogrzebałam jego nadziei, chociaż wiedziałam, że to właśnie powinnam zrobić. „Żeby być miłym, trzeba być okrutnym” i tak dalej, co, moim zdaniem, jest właściwie trudniejsze dla odrzucającego niż odrzucanego.

Z drugiej strony ten sklep dostarcza mi mnóstwo pracy i nie chciałam psuć sobie dobrych kontaktów.

Może Robert zrozumie aluzję, jeśli będę zajęta również w przyszłym tygodniu i za dwa tygodnie. Potem oboje będziemy mogli udawać, że nigdy nie okazał mi

nic więcej ponad czysto przyjacielskie zainteresowanie.

Butler&Sons mieściło się na niższym poziomie Pioneer Place Two, nowego dodatku do ekskluzywnego centrum handlowego w samym sercu Portland. Pioneer Place Two było połączone ze swoim starszym bratem bliźniakiem za pomocą mostka oraz tunelu podziemnego. I właśnie tym tunelem szłam z naręczem sportowych ubrań, stąpając po przypominającym strumień, układającym się w falujący wzór, niebieskim, dekoracyjnym szkłe. Sklepy mieszczące się po obu stronach pasażu można było spotkać w niemal każdym mieście: Body Shop, Victoria's Secret, Gap, Banana Republic, Eddie Bauer. I tak dalej, i tak dalej. Nic ciekawego. Zdecydowanie wolałam wyprawy do Saksa, skąd podkradałam pomysły na swoje ciuchy. Tam jakoś wszystko wyglądało piękniej.

Tunel kończył się na dolnym poziomie pierwszego Pioneer Place, w atrium, skąd windy unosiły się cztery piętra w górę, aż pod dach ze szkła. W wielkich donicach rosły dziesięciometrowe bambusy. Fontannę tryskającą z kilku wylotów otaczały gładkie, dębowe ławki. Szum wody odbijał się od gładkich podłóg i szklanych witryn okolicznych sklepów. Z jakiegoś niejasnego powodu ktoś wrzucił do fontanny jaskra woczerwoną szczoteczkę do zębów. Leżała tam sobie pośród jedno- i dziesięciocentówek.

Wypatrzyłam stojak z gazetą „Willamette Week”, więc położyłam ubrania na ławce, wzięłam jeden egzemplarz, usiadłam i zaczęłam przeglądać ostatnie strony. Był to tygodnik, największy konkurent bardziej tuzinkowego „Oregoniana”. Żaden z moich znajomych nie czytywał artykułów: interesował nas tylko

dział rozrywki i ogłoszeń. A mnie dzisiaj interesowało jedynie ostatnie kilka stron: anonse klubów dla samotnych.

„Kobiety dzwonią za darmo! Spotkaj się z równie Wspaniałymi Ludźmi, co Ty!” A poniżej serduszko i zdjęcie uwodzicielskiej blondynki rozmawiającej przez telefon.

Jaka kobieta miałaby ochotę zadzwonić pod ten numer? Jakich mężczyzn można tam znaleźć? Trudno było nie pomyśleć o „śliniących się” facetach dzwoniących na linię kryzysową Louise: udawali, że potrzebują porady, ale w ich głosach zawsze brzmiał ten charakterystyczny ton, który zdradzał, że się nakręcają. Najwyraźniej potrzebowali do tego jedynie kobiecego głosu.

„Wakacyjna zabawa! Spływy! Jazda na rowerze! Tylko samotni!” głosiło kolejne ogłoszenie ponad czarno-białym zdjęciem młodych, pięknych ludzi piszczących z radości podczas pokonywania rzecznych progów. Woda rozpryskiwała się dookoła ich nadmuchiwanym pontonów, wiosła mieli uniesione do góry, a kamizelki ratunkowe przemieniały ich w uniwersalne ludzkie sześciany pełne sportowego entuzjazmu.

To mi wyglądało bardziej zachęcająco, ale podejrzewałam, że mają tam ogromne wpisowe. Jeśli nie mogłam sobie pozwolić na wykupienie ubezpieczenia zdrowotnego, to tym bardziej nie powinnam bulić setek dolarów za spływy z innymi zdesperowanymi samotnymi.

Nie, nie „zdesperowanymi”, upomniałam się w myślach. Zorganizowanymi.

A jednak było coś, co mi się nie podobało w idei płacenia wpisowego. To się wydawało takie... wymu-

szone. Chciałam być zorganizowana, ale pragnęłam też zachować szczyptę iluzji, że spotkam Tego Jedynego dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności.

Kartkowałam gazetę. Rzuciłam okiem na ogłoszenia „Mężczyzna szuka kobiety”, ale po chwili uznałam, że tę rozrywkę zostawię sobie na później.

W części kulturalnej mieściło się wszystko: od klubów muzycznych po wykaz galerii sztuki. Przejrzałam spis strona po stronie. Moją uwagę zwróciło akademickie przedstawienie „Cymbelina” Szekspira wystawiane na trawniku przed Reed College; występ grupy jazzowej na Pioneer Courthouse Square; oraz setki innych wydarzeń, które sprawiały, że poczułam się stara. Wszystko zapowiadało się na takie g ł o ś n e . I zadymione. Fuj.

Kupiłam „Oregoniana” ze względu na piątkową wkładkę z informacjami o wydarzeniach kulturalno-rozrywkowych. Znalazłam tam ogłoszenie o wycieczce do wąwozu Columbia zorganizowanej przez Portland Community College w celu obserwacji dzikiej fauny i flory. Pięć dolarów, trzeba zabrać własny lunch oraz wodę i stawić się na umówionym miejscu.

Każde z tych wydarzeń dawało okazję do poznania mężczyzny, chociaż trudno jest rozmawiać podczas spektaklu teatralnego. Być może uda mi się wyciągnąć Louise albo Cassie na koncert jazzowy na Pioneer Courthouse Square, ale tak naprawdę nie przepadałam za jazzem. Chociaż faceci go chyba lubią, więc może jednak... Wycieczka do wąwozu... Ale miałam przeczucie, że faceci lubią widzieć w sobie turystów, którzy nie potrzebują przewodnika.

Z drugiej strony, czy nie byłoby miło znaleźć kogoś,

kto potrafi cieszyć się naturą z innych powodów niż strzelanie do jeleni albo picie piwa przy ognisku?

Zawsze mi się podobali przyrodnicy występujący w telewizji, mówiący ze spokojem i pewnością siebie człowieka znającego się na rzeczy, którym nie brakowało cierpliwości, żeby godzinami czaić się za krzakiem, aby zobaczyć wydrę albo niedźwiedzia. Facet, który wybierze się na wycieczkę z przewodnikiem, musi być miły.

Instykt kazał mi podnieść głowę znad gazety i zobaczyłam Roberta. Był jakieś pięćdziesiąt metrów ode mnie, szedł w stronę drugiego tunelu, którym można było dojść do baru. Obejrzał się i zobaczył mnie, a ja zalałam się rumieńcem. Uśmiechnęłam się do niego słabo, ale czułam się jak pies złapany na wyżeraniu kociego jedzenia. Pomachał do mnie bez przekonania i poszedł dalej.

A niech to лихо! Pewnie sobie pomyślał, że kłamałam, mówiąc o tych umówionych spotkaniach, żeby nie iść z nim na lunch. Złożyłam „Willamette Week” oraz wkładkę z „Oregoniana” i zebrałam swoje rzeczy. Było mi głupio. Nie powinnam tak się grzebać. Wiedziałam przecież, że istnieje niebezpieczeństwo, iż on się tutaj pojawi i mnie zobaczy. Co za idiotka ze mnie!

Dlaczego emocje tworzą aż tyle delikatnych sieci, w które tak łatwo wpaść? Ile będzie nieuniknionych zranień, nim trafię na Tego Jedynego?

Być może nie bez przyczyny miłość i wojna tak często wymieniane są obok siebie. W obu przypadkach ofiary są bardzo liczne.

- To ty, Giermek Buław - powiedziała Cassie, wskazując na kartę do tarota leżącą w środku, pomiędzy innymi.



Był wieczór tego samego dnia. Siedziałyśmy na podłodze mieszkania Louise na siódmym piętrze. Zaprosiła nas na kolację. Scott miał się zjawić w porze deseru. Całe mieszkanie wypełniał zapach piekącej się lasanii, prawdopodobnie zrobionej z pięciu czy sześciu egzotycznych gatunków sera i warzyw, o jakich nigdy w życiu nie słyszałam. Louise lubiła wypróbować przepisy z modnych książek kucharskich.

Odkąd zaczęła pracować w ciągu dnia, Louise wyglądała coraz lepiej: zniknęły kręgi pod oczami, a skóra pod ciemniejszymi piegami zyskała zdrowszy odcień.

Mieszkanie Louise mieściło się w nowym budynku w centrum miasta. Jej dobrze sytuowani rodzice dokładali się do czynszu, dzięki czemu lepiej spali po nocach, bo wiedzieli, że ich córce nic nie grozi w budynku, w którym zainstalowano kamery wideo, a w holu przy wejściu siedział strażnik. Doradcy w liniach kryzysowych nie zarabiali dużo, więc gdyby nie rodzice, Louise mieszkałaby w miejscu podobnym do mojego. Zazdrościłam jej nowoczesnej łazienki i balkonu z pięknym widokiem, ale lubiłam dom mój i Cassie i wcale nie jestem pewna, czybym się zamieniła.

- Dlaczego Giermek Buław? - zapytałam Cassie.

- Giermkowie są dla młodych, energicznych i kreatywnych kobiet. Na ogół zorientowanych na działanie.

- Dobrze.

Przetasowałam talię. Ponadwymiarowe karty były niewygodne do trzymania. Cassie wyłożyła je w „cygański układ”, jak to nazywała. Skierowałam do kart pytanie o to, jakie będzie moje życie uczuciowe w ciągu najbliższych czterech miesięcy.

- Te karty po bokach reprezentują aspekty twojej

osobowości - powiedziała. - Siódemka Mieczy: masz plany, ale nie wiesz, jak je wprowadzić w życie ani czy przyniesie to zamierzony skutek. Cesarz: podejmujesz realne działania.

- To się nawet zgadza.

Cassie spojrzała na mnie z szerokim uśmiechem. Jej farbowane henną włosy były rozpuszczone i nieco potargane. Takie włosy oraz posotne oczy sprawiały, że pasowała do roli wróżki przepowiadającej przyszłość. Louise usiadła z boku, z ramionami skrzyżowanymi na piersi, i obserwowała nas z uśmieszkiem na ustach. Twierdziła, że nie wierzy w duchy ani siły nadprzyrodzone. Według niej jedyna użyteczna w tarocie rzecz to fakt, że jest dobrym testem psychiki człowieka. Widziało się w obrazkach na kartach to, co własna osobowość pozwalała człowiekowi zobaczyć. I nic ponad to.

Jeśli chodzi o mnie, wierzyłam kartom tylko wtedy, gdy mówiły mi to, co chciałam usłyszeć.

Cassie omówiła aspekty przeszłości, które doprowadziły mnie do aktualnego położenia, a następnie „siły poza moją kontrolą”. Wśród nich była karta z aniołem stojącym jedną nogą na ziemi, a drugą na wodzie.

- Wstrzeźliwość - powiedziała Cassie. - To czasem oznacza, że twój anioł jest w pobliżu i stara się ciebie prowadzić.

- Naprawdę?

Cassie wzruszyła ramionami.

- Powinnaś wiedzieć to lepiej ode mnie. Interpretacja kart należy właściwie do ciebie, a nie do mnie.

- Wierzysz w anioła stróża? - zapytałam z ciekawością.

Ja nie wierzyłam, tylko czemu zawsze zbierało mi się

na płacz, gdy oglądałam „Dotyk anioła” w sobotnie wieczory? Swoją sympatię do tego programu ukrywałam w najgłębszej tajemnicy.

- Czasem mam wrażenie, że moja babcia nade mną czuwa - powiedziała Cassie.

- Serio?

- Tak, serio. Mówi do mnie w snach.

- Aha. - Nie bardzo wiedziałam, co na to odpowiedzieć. Zwróciłam się do psychologicznego eksperta: - Co o tym myślisz, Louise?

Wzruszyła ramionami.

- Jeśli to komuś dobrze robi, a nie jest szkodliwe, nie ma powodu, żeby zabraniać ludziom wierzenia w cokolwiek.

- Wydawało mi się, że psychologowie traktują ten typ myślenia jako złudny - powiedziałam.

- Żadna cecha osobowościowa ani zachowanie nie stanowi problemu tak długo, dopóki nie powoduje problemów u pacjenta.

Trawiłam tę informację przez ponad minutę.

- To chyba ma sens.

- Chociaż są i regularni wariaci.

- To bardzo pomocne, pani psycholog - stwierdziłam i wróciłam do kart.

- Te tutaj symbolizują naturalny bieg przyszłych wydarzeń - powiedziała Cassie. - Widzę przyjaźń i radość oraz naukę przeżywania własnych emocji. Następnie rozproszona energia, zmaganie. A tutaj, ostatnia karta, As Mieczy: zmiana. Wielka zmiana.

As Mieczy przedstawiał pięść unoszącą w górę srebrzystoblękitne ostrze, którego czubek otaczała roślinność i korona.

- Jakiego rodzaju zmiana?

- Na dobre lub na złe. To karta oznaczająca nową siłę, nową energię, nowy kierunek. To coś dramatycznego - albo pozytywnego, albo negatywnego. Może oznaczać miłość lub nienawiść.

- Ale co konkretnie?

Cassie tylko na mnie spojrzała. Miałam sama zмагаć się z poszukiwaniem własnej interpretacji.

- No, a te pozostałe karty? - zapytałam, wskazując niecierpliwie na trzy leżące w lewym górnym rogu całego układu.

- Przedstawiają inne możliwe kształty przyszłości.

- Opisała dwie pierwsze, a potem zatrzymała się przy trzeciej i spojrzała na mnie znacząco. - Mag: przynosi wiadomości ze sfery bogów, często w formie synchroniczności. Uważaj na zbiegi okoliczności. W nich będzie ukryta cenna informacja.

- Nie wiem, co to wszystko znaczy - powiedziałam.

- Nic mi tu nie wygląda na w miarę możliwą przyszłość.

Wciąż czułam rozczarowanie Asem Mieczy. Nie miałam ochoty na tak dowolną interpretację kart. Nienawiść lub miłość, zmiana na lepsze lub na gorsze

- ha! Bardzo mi to pomogło, rzeczywiście!

- Sama musisz zdecydować, co oznaczają karty...

Nadal przyglądałam się kartom. Byłam niezadowolona, że niektóre z nich zdają się tak dobrze pasować do mojej sytuacji, podczas gdy inne nie. Chciałabym, żeby wszystko okazało się bzdurą albo prawdą. Dwuznaczności mnie nie bawią.

Pozwoliła mi jeszcze przez chwilę gapić się na karty, a potem zebrała je, złożyła całą talię i zawinęła ją w niebieską, jedwabną chustkę.

- Zrobisz z tym, co będziesz chciała - powiedziała.

-Ale przynajmniej zwróć uwagę na występujące po sobie wydarzenia. Zawsze gdy wychodzi mi Mag, zaczynają się dziać dziwne rzeczy i zwykle sporo się z nich dowiaduję.

- Jakiego rodzaju dziwne rzeczy?

- Och, na przykład wypożyczam z biblioteki pięć przypadkowo wybranych powieści, zabieram je do domu i czytam, a wtedy okazuje się, że w każdej występuje czarny charakter, który wygląda i zachowuje się jak Teddy Roosevelt.

- A czego, na Boga, można się z tego dowiedzieć?

- To tak jak w kartach: w swoim życiu możesz znaleźć paralele, jeśli tylko ich poszukasz. Może spotykam się z facetem, który mi przypomina na swój sposób Teddy'ego Roosevelta. Synchroniczność zdarzeń podpowiada mi, że on nie jest dla mnie dobry, że to czarny charakter. Nie wiem. To zależy...

- Cassie, czasem zachowujesz się jak zdrowo kopnięta, wiesz?

- Naprawdę? - zapytała, a w jej głosie zabrzmiało zadowolenie.

- Bez wątplenia.

Louise wstała i podeszła do lodówki, skąd wzięła dwulitrową butelkę dietetycznej pepsi. Napełniła nasze szklanki.

- Ustaliłaś już plan poszukiwań Tego Jedynego? - zapytała, zakręcając butelkę i odstawiając ją na ławę, po czym usiadła po turecku na dywanie.

- Mniej więcej.

Opowiedziałam im o imprezach, o których przeczytałam w gazetach, i zapytałam, czy mają ochotę pójść na darmowy koncert na Pioneer Courthouse Square.

- Jazz? Sama nie wiem - powiedziała Louise. - Może Cass z tobą pójdzie.

- Nie ma mowy - odparła Cassie. - Faceci, którzy lubią jazz, zdecydowanie zbyt poważnie siebie traktują.

- Może uda ci się wyciągnąć Scotta - dodała Louise.

- A jaki sens ma wyprawa na podryw, jeśli przyjdę z facetem? Nikt mnie nie zaczepi.

- Och, masz rację.

- Może wybiorę się na wycieczkę do wąwozu. Nawet gdybym znalazła samotnego faceta na koncercie jazzowym, prawdopodobnie zmusiłby mnie do wysłuchania swojej ulubionej muzyki, a potem byłby rozczarowany, że mi się nie podoba.

- Oni są tacy milutcy, gdy próbują się czymś podzielić - powiedziała Cassie.

- Zastanawiałam się też nad internetowymi randkami. Wygląda na to, że to całkiem skuteczna metoda poszukiwań tego, na czym człowiekowi zależy. Coś w rodzaju robienia zakupów.

Louise się skrzywiła.

- Jesteś tego pewna? To chyba trochę niebezpieczne, prawda?

- Nie bardziej niż spotkanie się z kimś poznanym w dyskotecce.

- Ale ludzie mogą kłamać, gdy są schowani za ekranami swoich komputerów - stwierdziła Louise.

- W prawdziwym życiu też mogą... Zajrzałam na kilka stron. Takie znajomości są całkiem bezpieczne. Dostaje się pseudonim oraz skrynkę pocztową na stronie. Nikt nie ma twojego prawdziwego e-maila.

- Nie wiem, Hanno, tyle złego się słyszy...

- Dobrego też. - Zaczęłam mówić ciszej, bardziej poufnym i przekonującym tonem. - Czy w ogóle nie jesteś tego ciekawa? Może przy komputerze siedzi

właśnie jakiś profesor uniwersytecki albo artysta, ktoś, kogo właśnie szukasz.

- Nie chcesz chyba, żebym i ja tego spróbowała, co?

- zapytała.

- A czemu nie? Wszyscy moglibyśmy to zrobić, ty, ja, Cassie i Scott. Zgodziłabyś się, prawda, Cassie?

- Pewnie. Dla kawału. Dlaczego nie? Widzę, co dzieje się w pubie, więc nie miałabym nic przeciwko ekranowi komputera dzielącemu mnie od niektórych ohydnych typów.

- Część witryn jest darmowa - ciągnęłam dalej.

- Inne przyznają członkostwo na próbę. Pomyślcie o tym, ilu „kandydatom” moglibyśmy się przyjrzeć i to we własnym domu! A jeśli znajdziemy tam samych dziwaków, to wcale nie musimy się z nimi spotykać osobiście.

- No, nie wiem...

- Daj spokój, to będzie zabawne!

- Jeśli namówisz na to Scotta, to może i ja się zgodzę. Louise nie pałała entuzjazmem. Uśmiechnęłam się jednak. Zwycięstwo było w zasięgu ręki.

- Będzie super.

- Naprawdę? - zapytała niepewnie i sięgnęła po butelkę pepsi.

- To prawdziwa przygoda!

- Cudownie.

*CZARNA SKÓRA*

- Hej, Hanno, szkoda, że nie wpadłaś dziś do mojego gabinetu - powiedział Scott, zamykając za sobą nasze drzwi wejściowe. - Przyszła kobieta z ropieniem pod zębem trzonowym. Infekcja zeszła aż do szczęki i zaatakowała kieszonkę przyzębną...

- Och, na Boga, Scott, zamknij się! - wrzasnęłam, zatykając sobie uszy i pochylając głowę, żeby odciąć się od obrazu, który przede mną roztoczył.

- Musiałem przewiercić się przez ząb, a kiedy to zrobiłem, trysnęła ropa...

- Zaraz zwymiotuję.

- A smród...

- Przestań!

- Popieram wniosek - powiedziała Cassie. - To ohyda nad ohydami. Rany, Scott, nawdychałeś się za dużo eteru, jeśli ci się wydaje, że to jest interesujący temat do rozmowy.

- Nie stosuję eteru. Wyszedł z użycia w latach pięćdziesiątych.

- Wiesz, o co mi chodzi. - Położyła mi dłoń na ramieniu. - Już dobrze, Hanno. Bestia została poskromiona.



Spojrzałam na Scotta. Zrobiłam na moim fotelu obrót o dziewięćdziesiąt stopni, podniosłam się i wyrwałam z jego rąk papierową torbę z zakupami.

- Co tu masz? - zapytałam.

- Łakoma jesteś, co?

- Byłeś w Zupanie? Będziemy musiały wyciągnąć lniany obrus.

Był to elegancki sklep spożywczy znajdujący się kilka przecznic od naszego domu. Cassie i ja zwykle robiłyśmy zakupy w Safewayu, zakładając, że supermarket tak atrakcyjny jak Zupan leży poza naszymi możliwościami finansowymi.

- Taki już jestem. Doktor Przepastne Kieszenie. Kupiłem kilka rzeczy, żeby trochę zmniejszyć tę torturę.

Badałam zawartość torby. Ciemne winogrona, czekoladowe firmowe ciasteczka, czerwone wino i frytki Tater Tot. Wyciągnęłam paczkę zamrożonych pokrojonych ziemniaków i zrobiłam pytającą minę.

- Nie lubisz Tater Totów? - zapytał Scott.

- Nie przypominają ci lunchów w szkole podstawowej?

- Jak nie chcesz, to będzie więcej dla mnie. Cassie wyjęła mi torbę z rąk i zaniósła ją do kuchni.

Dobiegł stamtąd brzęk naczyń, gdy wyciągała blachę do pieczenia.

- Zeskanowałeś zdjęcia? - zapytałam.

- Wysłałem je do ciebie pocztą elektroniczną - odparł, opadając na kanapę przykrytą poplamioną, niebieską narzutą z płótna.

Czuł się tu bardzo swobodnie. Nasz paskudny, beżowy, zmierzwiiony dywan nigdy nie powstrzymał go przed siadaniem na podłodze. Nie przeszkadzało

mu też, że połowę naszych szklanek stanowiły musztardówki.

Powiedziałabym, że to dlatego, iż jest facetem, ale przecież widziałam jego mieszkanie: położone na skarpie z widokiem na północno-zachodnią część Portland. Lubił meble pokryte czarną skórą i wielką ilość sprzętu grającego. Niedawno nabył stół w stylu kolonialnym z drewna czereśniowego.

Oczywiście wszystkie meble ginęły pod warstwą brudnych ciuchów, magazynów, naczyń i nie nazwanych elementów męskiej egzystencji, ale pod spodem były te świetne rzeczy. Kiedyś mi wyjaśnił, że w pracy musi być idealnie czysty od rana do wieczora, więc nie może znieść podobnego zachowania w domu.

Tacy są dentyści. Banda dziwaków.

Pojawiła się Louise. Jej ciemnobrązowe włosy podskakiwały w dzikich skrętach dookoła głowy. Odrobinę zarumienione policzki sprawiły, że zdałam sobie na nowo sprawę z tego, jaka jest ładna. Natychmiast spojrzałam na Scotta ciekawa, czy kiedykolwiek żałował, że się między nimi nie ułożyło.

Wydawał się bardziej zainteresowany szperaniem na naszej półce z książkami. Zastanawiałam się, czy powie coś na temat tantrycznego przewodnika seksu, który ostatnio postawiła tam Cassie.

- Hanno, chyba mam dla ciebie jeszcze jednego klienta - powiedziała Louise.

- Kogo?

- Dereka, kolegę z pracy. Bardzo schudł i trzeba mu przerobić garnitury. Dałam mu twoją wizytówkę.

- Czy to ten, który się niedawno rozwiódł?

- Tak - odpowiedziała i uśmiechnęła się półgębkiem.

Uniosłam brwi. Scott zostawił w spokoju książki, a Cassie wyszła z kuchni z talerzem Ta ter Totów.

- No co? - zapytała Louise.

- To ty nam powiedz - odparłam.

- Co? O Dereku?

- Tylko nie mów, że jesteś zainteresowana facetem, który się dopiero co rozwiódł - powiedział Scott.

- Nie jestem! Kto mówił, że jestem? Wiecie, on ma nastoletnie dzieci. Jest dla mnie za stary. - Uśmiechnęła się jak nieposłuszne dziecko. - Chociaż odkąd schudł, zrobił się całkiem przystojny. Och, żartuję! - dodała szybko, zanim któreś z nas zdołało to skomentować.

- Myślicie, że jestem głupia? Mam dyplom z tych bzdur. Wiem, czego nie należy robić.

Cassie postawiła na ławie talerz z frytkami.

- To ty nam zawsze powtarzałaś, że psychologowie są najbardziej pokręconymi ludźmi na świecie. I że nie warto się z nimi umawiać.

- To prawda.

Podeszłam do komputera i wyprowadziłam go ze stanu uśpienia. Louise zdjęła płaszcz, a Cassie naląła jej czerwonego wina do musztardówki. Scott zajął się frytkami. Wystrzyknął sobie na talerz wielką kałużę ketchupu. Wyprostowana Cassie siedziała na podłodze w pozycji lotosu i sięgała po ciasteczka. Nikt nie tknął winogron, być może dlatego, że były świeże, nieprzetworzone i dlatego zdrowe. Oderwałam małą kiść i wzięłam ze sobą do komputera, kilka kroków od ławy.

- Ale ja nie będę musiał pisać swojego ogłoszenia, co? - zapytał Scott, kiedy połączyłam się z Internetem.

- Wy trzy napiszcie o mnie. Przecież wiecie, czego chcą kobiety.

Spojrzałam na niego przez ramię.

- Miałaś szukać swojej Jedynej, a nie zdobywać jak najwięcej lasek.

- A niech to! A może ja nie jestem jeszcze gotowy na Tę Jedyką.

- Owszem, jesteś - powiedziała Louise. - Dość się już nawygłupiałeś.

- Nieprawda. Dopiero pół roku temu kupiłem sobie bmw. Chcę jeździć! Chcę robić swoimi czterema kółkami wrażenie na dziewczynach!

- Ile ty masz lat? Szesnaście? - zapytałam.

- Chcę opuszczać dach i uśmiechać się lubieżnie do przechodzących kobiet. Chcę imprez kończących się we dwoje w wannie.

- Nie masz wanny - wtrąciłam się.

- A twój samochód nie jest kabrioletem - dodała Louise. - Zresztą jesteśmy w Portland. Kto tu jeździ kabrioletem? Za często pada.

- Nie psuj mi zabawy.

- Nigdy się nie zastanawiasz nad tym, jakie zarazki mogą się rozwinąć w wannie z gorącą wodą? - zapytałam, logując się na stronę z ogłoszeniami, którą wcześniej wybrałam na nasz grupowy eksperyment. - Pomyśl o wannach w apartamentach mieszkalnych. Pomyśl o ohydnych ludziach, jacy mogli się w nich kąpać nago, podczas gdy wysączały się z nich różne płyny. I to wszystko potem tam zostaje, pieni się. Czy to prawda, że bakterie rozmnażają się w ciepłe?

- Fuj, Hanno - powiedziała Cassie. - W następny weekend chciałam pojechać do gorących źródeł w Carson.

- Garść chloroxu powinna pomóc - zauważył Scott. Cassie się skrzywiła.

- Tylko tego mi trzeba. Mam wdychać chlor? Nie po to się jeździ do naturalnych źródeł.

- Pewnie tam nie jest dość gorąco, więc tak naprawdę nie masz się czym martwić - dodał i połknął kolejną frytkę.

- Dobrze, już mam - powiedziałam. - Kto zaczyna? Louise podeszła i stanęła za mną.

- Poczytajmy ogłoszenia, zanim sami zaczniemy pisać.

- Kobiety czy mężczyźni?

- Faceci. Muszę sprawdzić, czy jest ktoś, kim warto sobie w ogóle zawracać głowę.

Kliknęłam na wyszukiwanie, wpisałam kryteria wieku i stanu cywilnego.

- Możemy też przeszukiwać ogłoszenia za pomocą słów-kluczy.

- Wegetarianin - powiedziała Cassie.

- Nie! - krzyknęłyśmy zgodnie z Louise. - Żadnych wegetarian - dodałam.

- Czemu nie?

- Bo niełatwo ich karmić - wyjaśniłam.

- Dziękuję ci bardzo.

- Och, Cass, ty jesteś w porządku. Nie robisz zamieszania. Ale umawianie się z facetem... Nie chcę, żeby mnie zabierał do jarskich restauracji. I jak miałabym przyprowadzić wegetarianina na obiad do rodziców?

Scott przerwał konsumpcję.

- Pozwolą ci wyjść tylko za mięsożerzego?

- Wszystkożerzego. To by po prostu było krępuj ące. Wyobraźcie sobie: „Przepraszam, tato, Jeffrey nie będzie jadł żeberka z grilla. Czy mógłbyś upiec mu ten kotlet sojowy?” Nie byłoby temu końca.

Cassie wciąż wydawała się trochę urażona.

- Nie rozumiem, dlaczego czyjeś przyzwyczajenia żywnościowe mają być dla ciebie krępujące. Jeśli jemu to nie przeszkadza, tobie też nie powinno.

- Jestem zbyt niedojrzała, żeby oddzielić swoją tożsamość od tożsamości mojego chłopaka - wyjaśniłam.

- Jakby dojrzałość miała tu coś do rzeczy - powiedziała Louise. - Żadne z nas tego nie potrafi. Ja na pewno nie.

- To babska sprawa - stwierdził Scott. - Facetów nie obchodzi, co je dziewczyna albo co inni mogliby pomyśleć o jej ciuchach czy czymś takim.

- Pieprzysz - powiedziała Louise.

- Louise! - zrobiłam buzię w ciup, udając oburzenie wywołane jej słownictwem.

- Naprawdę! - upierał się Scott.

- Co za bzdury - powiedziała Louise. - Pewnie, że was obchodzi, tylko stosujecie inne kryteria.

- Nie stosujemy.

Louise opuściła głowę, a potem podrzuciła ją do góry niczym uliczny rozrabiaka gotujący się do bijatyki.

- Chcecie, żeby wasze kobiety miały wielkie piersi i długie włosy. Chcecie, żeby miały ładne tyłki, na które będą się gapić inni faceci.

- Hej, to nie ma nic wspólnego z wizerunkiem.

- Pewnie, że ma - powiedziałam, podchwytując myśl Louise. - Im ładniejsza dziewczyna, tym bardziej męski się wydajesz. Możesz sam wyglądać jak zdechły opos, ale jeśli idziesz pod ramię z piękną kobietą, inni faceci uznają, że jesteś wyjątkowy. Nawet inne kobiety tak pomyślą. I że jesteś bogaty. Albo...

- Albo co?

- Nieważne.
- Albo co, Hanno?
- Przecież wiesz.

Spojrzałam znacząco na jego krocze. Louise odezwała się z przeciągłym, teksańskim akcentem:

- Pomyślą, że między nogami masz piękną parówkę.
- Jako wegetarianka - wtrąciła się Cassie - nic o tym nie wiem.
- Niektóre dziewczyny jedzą mięso, inne nie
- stwierdziłam z afektacją. Scott gapił się na nas.
- I one mówią, że to faceci są źli. We trzy razem jesteście gorsze od każdej bandy mężczyzn.

- Och nie, wcale nie - powiedziała Louise, machając lekceważąco ręką.

- Moje intymne części ciała nie powinny stanowić tematu rozmowy.

- To nie my nalegałyśmy - stwierdziłam. - Swoją drogą, dlaczego zawsze mówi się o tym, jak o wyrobach mięsnych? Kielbasa, parówka, polędwica.

- Bo to wy, kobiety, spędzacie cały czas na dyskusjach o tym. Przez wieki przesiadywałyście w kuchni, gdzie się przyrządza mięso.

- A tak, tam właśnie byliśmy. Trudząc się z mięsem

- powiedziałam i zachichotałam. Louise i Cassie schowały się za swoimi musztardówkami. - Ale chleb też by mógł przecież być. „Mój mężczyzna ma świetny bochenek”. Może być. Albo: „Całą noc wyrabiałam ciasto”.

- Lecz nie chciało rosnać - weszła mi w słowo Louise. - Trzymałam je w ciepłym miejscu, ale to nic nie dało.

- Może miałam nieświeże drożdże - dodałam. Cassie jęknęła.  
- Drożdże. O, Boże.  
- Wiem, jestem straszna.  
- Wcale nie lepsza od Scotta - stwierdziła Louise. Podniósł głowę znad ostatniej frytki.  
- Hej, nie miałem swojego wkładu w ostatnią część rozmowy.  
- Jesteś winny przez skojarzenie - powiedziała Louise. - Wy dwoje powinniście napisać powieść grozy. Moglibyście siedzieć razem i godzinami wymyślać odrażające sceny.  
- Tylko gdyby potwór był dentystą - sprostowałam.  
- Nigdy nie mógł wsadzić swoich owłosionych łap w usta pacjenta - powiedział Scott. - Ale zdobył upartą krawcową.  
- Tak, nieźle - syknęłam i odwróciłam się do komputera. Nagle poczułam się niezręcznie i zapragnęłam zmienić temat. - W tym tempie nigdy nic nie zrobimy.  
Czasami trochę się denerwowałam przy Scotcie. Wiedziałam, że ze mną flirtuje. Wiedziałam, ale mimo to kiedy przystojny facet wspomina coś o zdobyciu cię, to zaczynasz myśleć o rzeczach, które nie powinny cię interesować w odniesieniu do byłego chłopaka twojej najlepszej przyjaciółki.  
- Wpisz „gotowanie” - powiedziała Louise.  
- Dobrze. - Kliknęłam wyszukiwanie i kilka sekund później wyświetliła się lista nazwisk, a koło niektórych był mały rysunek aparatu fotograficznego, co oznaczało zdjęcie.  
Kliknęłam pierwsze imię ze zdjęciem. Scott i Cassie dołączyli do nas przy komputerze.



Najpierw pojawił się pusty prostokąt, który potem zaczął się stopniowo od góry wypełniać zdjęciem.

- Jak dotąd drzewo - powiedział Scott.

Pojawił się czubek głowy, ciemne włosy, a potem czoło. Twarz, długa i wąska. Szyja. Ramiona.

- Zaraz, zaraz - powiedział Scott. - Czy on siedzi na drzewie?

Louise zasłoniła sobie usta dłonią, żeby stłumić śmiech, gdy pojawiła się reszta jego ciała. Zapierał się nogami o rozgałęzienie pnia drzewa.

- Co on chce przez to powiedzieć? - zapytała Louise. - Ze jest wiewiórką?

- Jest całkiem miły - powiedziała Cassie. - Dzięki temu wygląda chłopięco i figlarnie.

- Trzydzieści cztery lata, informatyk... oczywiście... nigdy nie był żonaty, bezdzietny, bla, bla, bla - przeczytałam, a potem kliknęłam przewijanie i przeszłam do podstawowych wiadomości, jakie podał o sobie Chłopiec-Wie wiórka.

- „Przystojny, wysportowany, kreatywny szuka aktywnej, drobnej kobiety, która chciałaby dzielić z nim szalone chwile i spacerować po plaży” - odczytałam, a potem jęknęłam tak jak inni. - Spacerować po plaży... Czemu oni zawsze mówią o spacerach po plaży? Przechadzki w świetle księżyca, kolacje przy świecach, pieszczoty przed kominkiem. Dlaczego nie zdobędą się na odrobinę oryginalności?

- Nie zapominaj o „deszczowych nocach” - dodał Scott.

- To już o stopień wyżej. Trzeba nieco bardziej wyrobionego gustu, żeby docenić deszcz.

- Co on ma na myśli, pisząc: „drobna kobieta”? - zapytała Louise. - Chodzi mu o niską czy chudą?

Wróciłam do danych. Chłopiec-Wiewiórka miał metr siedemdziesiąt pięć wzrostu i ważył sześćdziesiąt jeden kilogramów.

- Pewnie o jedno i o drugie. Znam niewielu facetów, którzy chcą mieć dziewczynę większą od siebie.

- Chudzi faceci czasem lubią pulchne kobiety - powiedział Scott. - Wcale nie jest miło, gdy twoje kości dotykają jej kości.

Zmarszczyłam brwi.

- Nie rób takiej miny. Większość znanych mi facetów woli, żeby dziewczyny było raczej trochę za dużo niż za mało. Trzeba mieć za co złapać.

Cassie szturchnęła mnie z drugiej strony.

- Przecież ci mówiłam. Nie możesz być dobrą tancerką brzucha, nie mając brzucha. To źle wygląda. Kobiety powinny być miękkie.

Nie przekonali mnie. Chciałam, żeby mnie przekonali, szczerze pragnęłam uwierzyć, że te kilka nadliczbowych kilogramów jest piękne, ale musiałabym odciąć się od reszty mieszkańców Stanów Zjednoczonych, żeby w to uwierzyć.

Miałam jednak niepokojące przekonanie, że nawet gdyby ubyło mi pięć kilo w ciągu jednej nocy, wciąż bym myślała, że powinnam pozbyć się kolejnych pięciu. Były jeszcze dwie blizny po trądziku na policzku, które chciałam usunąć laserem, wysunięcie brody i elektroliza w celu zlikwidowania tych paskudnych włosów rosnących mi dookoła pępka oraz - horror nad horrorami - dookoła sutków. Nie widziałam końca tych poprawek, które trzeba by zrobić.

- To ogłoszenie jest nudne - przerwała moje zamyślenie Louise. - Pokaż jakieś inne.

Następne zdjęcie przedstawiało byczka opartego

o błyszczącego pikapa. Od błotników i okularów przeciwsłonecznych odbijało się słońce. Miał na sobie na tyle obcisłe dzinsy, że dobrze było widać wszelkie zgrubienia w spodniach.

- Pełen siebie. Następny - powiedziała Louise, nie zostawiając mi nawet czasu na przeczytanie tego, co facet miał do powiedzenia.

Łysiejący, ze skłonnością do tycia, klęczący obok labradora.

- Może - stwierdziła Louise. Scott parsknął z niedowierzaniem.

- On?

- To przez psa - wyjaśniła Louise. - Dzięki niemu wygląda na troskliwego.

- Przypomnijcie mi, żebym sobie sprawił zwierzaka. Najlepiej kota. Koty są niezależne, nie ma z nimi dużo kłopotów.

- Nie kupuj sobie kota - powiedziałam.

- Dlaczego nie?

- Faceci, którzy mają koty, to dziwaki.

- Och, na litość boską. Czemu?

- Po prostu tacy są. Zaczynają gadać, że „kotek zrobił to” czy „kotek zrobił tamto” i już wiadomo, że nic z tego nie będzie. Poza tym będziesz miał smród w mieszkaniu. Jak wtedy przyprowadzić dziewczynę?

- Ona ma rację - zgodziła się Louise. - Biorąc pod uwagę stan, w jakim utrzymujesz mieszkanie, lepiej ci będzie z... Nie przychodzi mi do głowy żadne zwierzę, które ostatecznie nie śmierdzi.

- Będziemy tak siedzieć cały dzień, jeśli zamierzacie przeglądać ogłoszenia. Zabierzmy się do pracy.

- Och, wyszedł z ciebie facet - powiedziałam. - Zorientowany na zadanie.

- Zgadza się.

Niemniej jednak musiałam przyznać mu rację. Ignorując protesty Cassie i Louise, kliknęłam na stronę, gdzie należało wpisać swoje ogłoszenia.

- Kto pierwszy?

- Ja - powiedziała Cassie. - Zaraz muszę się szykować do pracy.

Wstałam od komputera, a Cassie zajęła moje miejsce. Usiadłam na drugim końcu kanapy, na której siedział Scott. Po drodze urwałam kolejną porcję winogron.

- Z twoją teorią jednego na milion jest pewien problem, gdy chodzi o Portland - powiedziała Louise, rozparta na naszym starym, sponiewieranym leżaku, który uratowałyśmy z wyprzedaży u sąsiada.

- A mianowicie?

- Bliskość. W Portland i okolicach może i mieszkają dwa miliony ludzi, ale to ogromny teren. Badania wykazały, że mamy tendencję do wiązania się i zawierania związków małżeńskich z tymi, którzy mieszkają najbliżej. Weź na przykład dwie pary, z których jedna mieszka w odległości trzydziestu kilometrów od siebie, a druga - ośmiu. Ci ostatni mają większe szanse na to, że się pobiorą.

- Skąd to wiesz? - zapytałam.

- Czytałam.

- To ma sens - mruknął Scott zajęty teraz ciastkami. Jedną nogę zarzucił na drugą i odchylił kolano w klasycznej pozie przyjmowanej przez mężczyzn. - Mniej kłopotów ma się z dziewczyną, która mieszka pięć minut drogi od ciebie niż pół godziny.

- Ach, jaki jesteś romantyczny - powiedziałam. - Mam wrażenie, że poszedłbyś w ogień w imię prawdziwej miłości.

Wzruszył ramionami. W ręce trzymał ciastko.

- Taka jest prawda. Mężczyźni są leniwymi niechlujami. Powinnaś to już dawno wiedzieć.

- Tak więc chodzi o to - wtrąciła się Louise - że jeśli możemy się zakochać w kimś mieszkającym blisko, to tak naprawdę nie ma sensu przeszukiwać okolic Portland. A to oznacza, że krąg zdecydowanie się zawęża.

Zagryzłam wargę. Zastanawiałam się nad jej słowami.

- Nie, moim zdaniem, to nie stanowi problemu. Nie zakładaliśmy, że jest milion samotnych facetów w naszym wieku, którzy chcą się ożenić: zakładaliśmy, że jest milion facetów w ogóle. Już zawężamy krąg, wybierając ich ze względu na wiek i stan cywilny. Jeśli odrzucimy jeszcze kilku z powodu miejsca zamieszkania, to nie ma wielkiego problemu. Chociaż przyznaję, że krąg kandydatów robi się w ten sposób bardzo wąziutki.

Cassie spojrzała na nas przez ramię.

- Witajcie w świecie randek.

Trochę ostudziło to mój entuzjazm dla sprawy. Nie tak dawno Portland jawiło mi się jako rozległy, niezbadany ocean mężczyzn, który teraz skurczył się do rozmiaru błotnistej sadzawki.

- Co jeszcze odkryłaś? - zapytałam Louise, licząc na coś podnoszącego na duchu.

W swoim mieszkaniu miała minibiblioteczkę psychologiczną. Na ogół, poza pracą z pięćdziesięcioletnimi doradcami i pracownikami społecznymi, miała dostęp do interesujących informacji. Była dość cyniczna, jeśli chodzi o życie i miłość, dlatego wiecznie szukała naukowego wytłumaczenia spraw osobistych, które większość z nas brała za pewnik.

- Poza bliskością jest jeszcze czynnik znajomości. To nie jest tak, że znamy to, co lubimy: lubimy to, co znamy. Dlatego im więcej czasu się z kimś spędza, tym bardziej się go lubi.

- Czy to nie działa w przeciwnym kierunku? - zapytał Scott.

Zrobiłam do niego minę. Uśmiechnął się.

- To samo jest z muzyką czy sztuką - wyjaśniała Louise. - Albo modą. Zwracasz uwagę na coś nowego i przysięgasz, że w życiu tego nie włożysz, a pół roku później masz to już w swojej szafie.

- Niestety - potwierdziłam.

- Jest jeszcze kwestia podobieństwa - ciągnęła Louise. - Wiek, rasa, pochodzenie, wykształcenie, status społeczny, rodzina, religia.

- To rozumiem. Mniej powodów do kłótni - powiedziałam. - Mniej rzeczy, do których trzeba się przyzwyczaić. A jeśli wybierasz osobę, która mieszka blisko, to już na wstępie prawdopodobnie macie wiele wspólnego.

- Status społeczny? - zapytała Cassie, odwracając się od monitora. - Chodzi ci o różnice klasowe? Gdzie my niby jesteśmy? W Indiach?

Cassie była chyba jedyną osobą, jaką znałam, która czułaby się równie dobrze w towarzystwie narkomana, który rzucił szkołę, i matrony z West Hills w średnim wieku. Tak mocno tkwiła w swoim świecie, że relatywne pozycje innych nie były w stanie nią wstrząsnąć.

Czasami chciałam być taka jak Cassie.

- I ostatnia rzecz to... - ciągnęła dalej Louise - atrakcyjność fizyczna.

- Hura! - krzyknął Scott.

- Och, przestań - strofowała go Louise. - Nie jesteś takim zwierzakiem, za jakiego się uważasz.

- Ha. Skąd możesz wiedzieć?

- Bo jesteś „miłym facetem” - powiedziałam, czując się niegodziwie. - Mężczyznę, którego kobiety wybierają sobie na przyjaciela.

- Rany! Bardzo ci dziękuję! Chyba nie można bardziej człowieka obrazić.

Wyszczrzyłam zęby w odpowiedzi.

- Kiedy byłeś ostatni raz u kontroli? Chyba nadszedł czas na prześwietlenie.

- Nie bądź podły.

Wypełniły mnie wspomnienia twardej tektury wbijającej się w dżiasta oraz ciężaru ołowianego fartucha przykrywającego klatkę piersiową. Zapach spirytusu, smak palców w lateksowych rękawiczkach na krawędzi mojego języka...

- Problem z atrakcyjnością fizyczną polega na tym - ciągnęła Louise - że pociąga nas ktoś na tyle urodziwy, na ile możemy go zdobyć, nie ryzykując odrzucenia.

- To dlatego przystojni mężczyźni są tacy przerażający - stwierdziłam.

- Aż tak się mnie boisz? - zapytał Scott. Prychnęłam.

- Daj spokój, Scott, z tobą jest tak samo - wtrąciła się Louise. - Byłam z tobą, kiedy nie chciałeś podejść do kobiety, bo uważałeś, że jest dla ciebie zbyt piękna.

To brzmiało ciekawie. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że Scott może uważać siebie za nie dość atrakcyjnego dla kogokolwiek. Kto by nie chciał przystojniaka z dobrą pracą? Czego nie był pewien?

- Wiesz... - powiedziałam. - Widuje się brzydkich, bogatych facetów z pięknymi kobietami, ale nigdy nie widać brzydkich, bogatych kobiet z przystojnymi męż-

czyznami. Nigdy. Zdarza się sławna, bogata, starsza kobieta z młodszym facetem, ale nawet wtedy musi wciąż jeszcze być piękna. Spojrzałyśmy na Scotta.

- Co? Nic nie zrobiłem.

- Winny przez skojarzenie - stwierdziłam.

- Myślałem, że jestem „miłym facetem”.

- Więc chcesz powiedzieć, że umawiasz się z kobietą mniej atrakcyjną od ciebie?

- To pytanie jest nie fair.

- A czemu?

- Bo jeśli odpowiem szczerze, to wyjdę na świnię.

- A co jest w tym nie fair?

- Znacie już odpowiedź. Każdy to wie, nie trzeba naukowych badań, żeby to wykazać. Faceci są wzrokowcami. Pragniemy ładnych kobiet, jeśli możemy je zdobyć.

- A jeśli nie możecie, też ich pragniecie - dodałam. Zaczynała mnie wpieniać ta niesprawiedliwość.

Nienawidziłam troszczyć się o swój wygląd. Chciałam uwierzyć, że to nie ma znaczenia, że liczy się wewnętrzne piękno, ale za każdym razem, gdy prawie się do tego przekonałam, ktoś się zjawiał i mówił, że nie mam racji.

- Widziałam w telewizji wywiad z facetem - powiedziałam - który wyznał, że intymne związki łączyły go tylko z prostytutkami, bo kobietom, które mu się podobały, on sam się nie podobał. Dlatego wolał zapłacić za fałsz niż spróbować poznać kobietę, z którą mógłby zbudować wspólne życie.

- Hanno, daj spokój! Teraz porównujesz mnie do gościa, który sypia z dziwkami? Powiedziałem tylko, że wolę osoby atrakcyjne. Ty przecież także. Chyba



każdy. Posłuchaj Louise, to ona czytała o tych badaniach!

- Dołączam to do mojego opisu - powiedziała Cassie. - „Nie może mieć za sobą doświadczeń z prostytutkami”. Myślicie, że to kogoś zniechęci?

Napięcie opadło. Rozluźniłam się. Scott szturchnął mnie stopą w kolano, a ja dałam mu lekkiego klapsa. Patrzyłam na niego kątem oka i nie mogłam powstrzymać uśmiechu.

- Jeśli tak - mruknęła Louise - to tym lepiej. Pomyśl o tych wszystkich chorobach! Fe!

*STRÓJ ŻAŁOBNY*

Mój telefon komórkowy zadzwonił, gdy jechałam wolno uliczką między obszernymi rezydencjami, rozglądając się za domem Kristiny DeFrang. Była moją nową klientką. Poleciała mnie jej Joannę od bułeczek i za dużej ilości ciuchów.

Podjechałam do krawężnika, zatrzymałam się i dopiero wtedy odebrałam telefon. Kupując go, obiecałam sobie, że nie będę drażnić reszty ludzkości prowadzeniem samochodu i jednoczesnym gadaniem przez telefon. Ze sto razy byłam bliska złamania tej obietnicy. Nikt by się nie dowiedział. Ale nie chciałam być jedną z t y c h użytkowników komórek. Pragnęłam należeć do tych lepszych, którzy w miejscach publicznych wciskali się w jakiś kąt i rozmawiali szeptem, po czym szybko kończyli rozmowę.

Być może to kryterium też należałoby umieścić w ogłoszeniu, obok wymagania braku kontaktów z prostytutkami: nie używa telefonu komórkowego, szperając w Barnes & Noble czy stojąc w kolejce w Starbucks. Cassie dodałaby jeszcze warunek: przedkłada niezależne firmy nad duże sieci i nie widzi różnicy między słowami „strzelisty” i „wysoki”.

Ja, z drugiej strony, uważałam, że Starbucks oraz Barnes & Noble to dobre miejsca do szukania faceta. Najwyraźniej niektórzy faceci tak traktowali księgarnie; kiedyś taki jeden idiota chodził za mną od półki do półki z egzemplarzem „Rosolu dla samotnych”.

- Cześć, tu Hanna.

- Hanna! Jesteś przy telefonie?

Trzeba być córką, żeby właściwie przetłumaczyć słowa matki.

- Cześć, mam. Odebrałam komórkę w samochodzie.

- Ale nie prowadzisz? A może mam zadzwonić później?

- Nie, nie, zaparkowałam. Co się dzieje?

- Gdzie jesteś?

- Blisko Camas, w drodze do klientki. - Camas leżało po drugiej stronie rzeki, w stanie Waszyngton, około pół godziny drogi z Portland. - Podobno ma dla mnie spore zlecenie, chodzi o odnowienie jej domu.

- Tato nie potrafi uruchomić magnetowidu. Gwałtowna zmiana tematu nie była niczym nowym.

Staralam się nie brać do siebie jej pozornego braku zainteresowania moją pracą. Bo była to ułuda: wiedziałam, że martwi się, jak sobie radzę i wiązę koniec z końcem, ale szczegóły tego borykania się oraz mojej pracy przekraczały jej możliwości percepcji.

Oboje rodzice zbliżali się do siedemdziesiątki. Byłam późnym, nieco nieoczekiwanym dzieckiem. Mama była emerytowaną nauczycielką, tato kiedyś zajmował się stolarką, a teraz był inspektorem bezpieczeństwa budowlanego. Przebąkiwał o emeryturze, ale wątpiłam, czy się na nią zdecyduje, jeśli nie będzie musiał. Mieszkali w Roseburgu, trzy godziny drogi na połu-

dnie od Portland, w domu, w którym dorastałam. To był odległy zakątek, ale ładny.

- Daj go do telefonu - powiedziałam. Usłyszałam odgłosy sprzeczki, stłumione szepty,

a potem odezwał się tato:

- Postępowałem zgodnie z instrukcją, ale on nie chce działać. Teraz nie mogę też oglądać telewizji. Chyba trzeba zmienić baterie w pilocie.

Powstrzymałam westchnienie. Jak to możliwe, że człowiek, który potrafi wypatrzeć pierwsze, słabe oznaki murszenia i ocenić dokładny czas, jaki wytrzyma dach, daje się ogłupić kilku czarnym przyciskom?

- Weź dużego pilota... - powiedziałam.

Nie minęło pół minuty, a zakłócenia w tle zniknęły i usłyszałam bzyczenie głosu prezentera wiadomości.

- Dzięki! Myślę, że zapamiętam, jak to się robi - powiedział tato i podał słuchawkę mamie.

- Wypożyczył jakieś straszne filmy gangsterskie. Wie, że ich nie znoszę.

- A co konkretnie?

- „Depresję gangstera”.

- Może ci się spodobać. To komedia.

- Jakim sposobem gangsterzy mają być śmieszni?

- Mamo, muszę kończyć albo się spóźnię.

- Dobrze. Kiedy przyjedziesz na obiad?

- Zadzwonię z domu. Naprawdę muszę już kończyć.

- W parku widziano niedźwiedzie. Wychodzą, żeby grzebać w śmieciach.

- Muszę lecieć, mamo!

- Kocham cię.

- Ja też was kocham.

Przerwałam rozmowę z mieszaniną poczucia winy, miłości i obaw, jaka zwykle zostawała mi po rozmowach z rodzicami. W głowie kołatała mi myśl, że śmierć, wypadek lub choroba to nie są po prostu ewentualności, a rzeczy nieuniknione. Co się stanie, gdy jedno z nich umrze?

Co będzie ze mną?

Spojrzałam na kartkę z opisem dojazdu do domu pani DeFrang i sprawdziłam adres. Jechałam wzdłuż ulicy, starając się nie myśleć o przyszłości.

*JEDWAB KONTRA STRECZ*

- Ile dostaniesz za tę pracę? - zapytała Louise, podnosząc głos, żeby przedrzeć się przez krzyki młodocianych przestępców.

Byłyśmy w holu Garlandu, niegdysiejszego kina, które stoczyło się do poziomu miejsca spotkań lokalnych zespołów i, dwa razy w miesiącu, zawodowych zapaśników.

Jeśli można ich było nazwać zawodowcami.

- Jeszcze tego nie ustaliłam, ale przypuszczam, że około półtora tysiąca. Szkoda, że nie widziałas jej domu: leży na terenie jednego z tych nowych osiedli, gdzie każdy dom ma jakieś tysiąc dwieście metrów kwadratowych powierzchni, ale ogródki są mikroskopijne. Otwórz okno, a możesz uścisnąć rękę sąsiadowi.

- Kto by tam chciał mieszkać? Wszystkie wyglądają tak samo.

- Tak, wiem, ale dom Kristiny DeFrang jest inny. Kiedy się wejdzie do środka, aż trudno uwierzyć, że jest zupełnie nowy. Można by pomyśleć, że mieszkał tam Tomasz Jefferson albo król Ludwik któryś tam.

- Mnóstwo antyków?

- Ale nie tak, jak u innych, gdzie cały dom zapychają

wiktoriańskie graty. U niej jest... inaczej. Żadnego określonego stylu, wszystko przemieszane.

- Mogliby o nim napisać w „House Beautiful”? - zapytała Louise.

- Chciałabym umieć w ten sposób umeblować pokój. I nie miałabym nic przeciwko zostaniu pewnego

dnia panią DeFrang. Zbliżała się do pięćdziesiątki, była w świetnej formie typowej dla bogatych kobiet korzystających z centrów odnowy biologicznej, ale bez towarzyszącej zwykle oprawy w postaci złoto-diamento-wych kajdanków na nadgarstkach i palcach. Włosy miała obcięte na pazia, podobnie jak ja, była prawie bez makijażu. Strój miała prosty i wyraźnie kosztowny. Wiedziałam, że poniżej jej godności byłoby pokazywanie metek projektantów lub paradowanie w czymś, co sugerowałoby świadome podążanie za modą.

Nie miałam pojęcia, jakim sposobem znalazła się w tym nuworyszowskim sąsiedztwie. Robiła wrażenie, że jest zdecydowanie z innej, lepszej gliny.

Dla mnie te progi także były za wysokie, ale pani DeFrang należała do ludzi, którzy okazywanie tego uznawali za oznakę złego wychowania.

Gdy oprowadzała mnie po domu, czułam się jak tandetnie ubrane czupiradło. Moje buty wyglądały jak podróbki z wyprzedazy, którymi zresztą były, a rajstopy miały gruboziarnistość splotu dostępną tylko w supermarketach. Bluzkę uszyłam sama według wzoru podejrzanego w Saksie, ale przez to, że miała rękawy sfałdowane przy nadgarstkach oraz zmarszczony obrębek przy szyi, wyglądała kiepsko w konfrontacji z ponadczasowością stroju pani DeFrang.

- Ona za nic w świecie nie przyszłaby do takiego miejsca, jak to - powiedziałam.

- Słucham?

- Pani DeFrang. Lecz gdyby musiała tu przyjść, starałaby się robić wrażenie, że cieszy się z zaproszenia.

- W takim razie ma więcej taktu niż ja. Dlaczego dałam ci się na to namówić? Przypomnij mi.

- Och, przestań. Potrzebujesz nowych doświadczeń - powiedziałam, kiedy weszłyśmy do środka i próbowałyśmy się przedrzeć do naszych miejsc.

- Nie, wcale nie.

- Będiesz miała co opowiadać - stwierdziłam.

- Jeśli przeżyję.

- Tu są ojcowie z dziećmi. To rodzinna rozrywka!

- Wszystkie one wyrosną na morderców. Zajęłyśmy miejsca. Pod nogami położyłam sobie

papierową torbę z kostiumem, który miałam dostarczyć.

- Więc ona chce, żebyś skopiowała cały gabinet pana domu? - zapytała Louise, wracając do pani DeFrang.

- Od początku do końca, tylko z użyciem innych tkanin, które zamówiła u swojego dekoratora. Ona i jej mąż mają dom na wyspie Orcas, w zatoce Puget, o tym samym rozkładzie, co ten dom w Camas. Chce też, żebym zajęła się pokojem gościnnym, którego używa jej teściowa.

- Więc co to ma być? Falbanki i kapy?

- I z tuzin dekoracyjnych poduszek oraz baldachimy nad łóżka. Większość zadań jest prosta, ale z poduszkami będzie trochę zabawy. Mają kontrastowe, pasiaste obramowania z rulonikami, które muszę zrobić sama, i narożnikami szytymi na ukos. Będzie z nimi utrapienie. I sama muszę zamówić u hurtownika modele poduszek.



- Przecież za to właśnie dostaniesz kupę forsy.

- O, tak, będę spać na pieniądzach.

Na scenie pojawił się konferansjer, mniej więcej pięćdziesięcioletni mężczyzna z brzuszkiem i włosami ciemnoblond zaczesanymi w fale nad czołem. Rozpoczął gadkę, próbując - moim zdaniem na próżno

- dodać dramatyzmu konfrontacji lokalnych zapaśników.

- Oto Drwal! Przybył prosto z lasu, gdzie je się sowy na kolację - powiedział, wzbudzając zarówno aplauz, jak i gwizdy. - A to Worek, sami wiecie, czemu go tak nazywają...

- Bo wysyła przeciwników do domów w czarnych workach! - wrzasnął jakiś dzieciak z prawej.

- Nie mogę uwierzyć, że dałam ci się na to namówić

- powiedziała Louise.

- Odczekamy tylko do walki Elroya i pójdziemy do przebieralni.

Elroy był moim klientem. To jego streczowe spodnie miałam w torbie pod nogami. W pracowni przeróbek w Eugene szylałam kostiumy dla kilku zapaśników. Ktoś podał moje nazwisko dalej.

Było w tym coś perwersyjnego, ale miałam pewną słabość do zapaśników. Moją uwagę przyciągali nie tyle „niskoligowi”, ile zawodnicy ligi. Te natłuszczone, muskularne ciała zmagające się ze sobą rozbudzały we mnie jakieś pierwotne instynkty.

Co nie znaczy, że miałabym ochotę zostać żoną któregokolwiek z nich. Byli zabawkami mojej wyobraźni i chciałam, by tam pozostali, gdzie ich natłuszczone włosy nie mogły poplamieć mi poduszki. Choć może jeden raz...

Okrzyki przybrały na sile, gdy pojawili się pierwsi

zapaśnicy. Jednemu towarzyszyły dwie raczej mało reprezentacyjne kobiety. Zapaśnicy nie robili lepszego wrażenia. Mieli beczkowate torsy pokryte warstwą tłuszczu.

- Nawet ja mam lepsze mięśnie pośladkowe niż ci dwaj - stwierdziła Louise. - Czy oni w ogóle ćwiczą?

- Wieczór zawsze zaczyna się od występów nieznanymi zawodników. Później będą ci bardziej interesujący.

- Nie mogę się doczekać.

Niektórzy chłopcy na widowni podekscytowani walką zaczęli krzyżeć i gwizdać. Kilka rzędów od nas siedziało kilku pijanych młodzieńców, którzy zachowywali się okropnie. Reszta widowni robiła wrażenie raczej zmęczonej, jakby oglądanie tłustego faceta w sznurowanych, czerwonych butach, którego przeciwnik rzuca na matę, nie było doskonałą rozrywką.

- Chcę zobaczyć krew - powiedziała Louise. - Krwi!

- powiedziała podniesionym głosem.

Usłyszał ją dzieciak siedzący obok i zawtórował:

- Krwi! Krwi! Rozwal go!

Ojciec chłopca wychylił się z za syna i posłał nam karcące spojrzenie. Wzruszyłam ramionami, starając się wyglądać na niewinną. Mężczyzna pokręcił głową.

- Nie jest taki zły - powiedziała Louise, zerkając w stronę oburzonego ojca. - Ma obrączkę?

- Zaczynasz mnie przerażać.

- Nawet mi się to podoba. Kogo tutaj obchodzi, co robię? - Wstała i zaczęła krzyżeć w stronę ringu:

- Załóż mu nelsona, skarbie! Gwizdnij nim o ziemię! Policz mu kości!

- Co ty wyprawiasz? - syknęłam i szarpnęłam ją za bluzkę. - Siadaj! Louise!

- Załatw go! Usiądź na nim! Łuuu!

- Louise! Przestań!

Czułam, że zaczynam się czerwienić, bo coraz więcej ludzi odwracało się w naszą stronę.

- Huknij go!

- Louise!

- Łuuu! - wyła, wymachując pięścią, lecz wreszcie, gdy walka się skończyła, poddała się i usiadła. Wyszli nowi zapaśnicy. - Fajnie było - powiedziała.

- Wykrzykiwałaś jakieś nonsensy.

- No i co z tego? Nikogo to nie obchodzi. Może sobie pomyśla, że jestem ekspertem.

- Wątpię.

- Och, rozchmurz się.

- To do ciebie niepodobne!

- Co mam na to odpowiedzieć? To przez ten testosteron unoszący się w powietrzu. Powinnam przyprowadzić tu kilku moich kolegów z pracy, dla wyładowania stresów. Boże, robi mi się niedobrze od uważania na każde słowo.

- Masz na myśli rozmowy telefoniczne?

- Nie możesz traktować niedoszłych samobójców z nonszalancją. Albo faceta, od którego właśnie odeszła żona.

- Pewnie masz rację - stwierdziłam.

- Ale wiesz - ciągnęła dalej z namysłem - nie mam nic przeciwko rozmowom z umysłowo chorymi. To te chodzące otwarte rany, czyli tak zwani normalni ludzie doprowadzają mnie do szaleństwa. Zwłaszcza rodziny chorych psychicznie. Oni są tacy irytujący. Nawet poza telefonami... Ostatnio mam wrażenie, że każdy, kto pracuje w linii kryzysowej, jest wplątany w te głupie przepychanki.

- To znaczy?

Machnęła lekceważąco ręką.

- Och, sama nie wiem. Kto zostanie kierownikiem? Jak będziemy odbierać wolne? Komu zmieni się harmonogram pracy? Czy ktoś schrzanił sprawę przez telefon i co powinno się z tym zrobić? Mam czasem wrażenie, że muszę po prostu siedzieć cicho i mieć nadzieję, że na mnie nikt nie zwróci uwagi.

- Czy tak było wcześniej?

- Chyba zawsze, tylko mnie to nie dotyczyło, bo pracowałam w nocy.

- Ale nie zamierzasz wracać do nocnej pracy, co? Zawahała się.

- Nie. Miło jest prowadzić normalne życie.

- Ale?

- Ale w nocy jest dużo spokojniej. Sama nie wiem... Może zacznę się rozglądać za inną pracę. Derek też o tym myśli.

- Ten rozwiedziony facet, któremu trzeba zwięzić spodnie? Powiedz mi, ile czasu właściwie ty i Derek spędzacie na rozmowach?

- Wczoraj byliśmy razem na kolacji.

- Louise!

- To tylko kolacja! Spotkaliśmy się jak przyjaciele i rozmawialiśmy o pracy. Powiedziałam mu też o naszym przedsięwzięciu internetowym.

- „Tylko kolacja"! Do diabła! Co powiedział na ogłoszenia w Internecie?

- Oczywiście, żebym była ostrożna.

- Chyba nie musisz się martwić. Dałaś takie ogłoszenie, że nikt nie odpowie - stwierdziłam.

- Nie widzę powodu, żeby nie stawiać wysokich wymagań, jeśli już się coś takiego robi.

- A kto spełni te wszystkie kryteria? Ogłoszenie Louise składało się z dwóch długich list

cech pożądanych i niepożądanych.

Pożądane: ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, dyplom magistra lub wyżej, wiek 28-34, wysportowany, wszystkożerny, miłośnik książek, umiejący tańczyć, gotować przynajmniej trzy potrawy warte zaserwowania gościom, właściciel maksimum pięcioletniego samochodu, podróżujący za granicę.

Niepożądane: palący, lubiący narkotyki, nadużywający alkoholu, rozwodnik, zarażony chorobą weneryczną, posiadający lub pragnący mieć dzieci, lubiący jazdę na snowboardzie, polowania, gry wideo, wyprawy do Las Vegas.

- Sama powiedziałaś, że jest jeden na milion.

- Mam wrażenie, że nie chcesz, by ktokolwiek odpowiedział na ogłoszenie. Wtedy nie będziesz musiała chodzić na randki.

- Nie mam nic przeciwko randkom. Tylko nie czuję takiego musu, jak ty.

- To dlatego, że nie chcesz mieć dzieci - stwierdziłam.

Louise nigdy nie była nimi zainteresowana i, o ile można było powiedzieć, nigdy nie będzie.

- Prawdopodobnie.

- Czasem myślę, że ty się po prostu nie chcesz z nikim wiązać, i już. Wzruszyła ramionami.

- Może i nie. Brakuje mi kontaktu fizycznego, ale potem sobie myślę o całym wysiłku, jaki trzeba włożyć w znalezienie kogoś, kogo chciałoby się poznać, o wszystkich tych paskudnych randkach, jakie trzeba odbyć, i o tym, ile czasu potrzeba, by być pewnym, że

przed tą drugą osobą można się otworzyć i... I nagle talerz lasagne i telewizja zaczynają wyglądać na całkiem dobre substytuty.

- Męczy mnie samo słuchanie ciebie.

- Życie to nie tylko seks i związki.

- Tak? A co jeszcze? - zapytałam z uśmiechem na znak, że żartuję.

W pewnym sensie.

- Według Freuda w życiu liczy się praca i miłość.

- To mamy tylko połowę.

- Ale możemy kochać rodziny i przyjaciół - powiedziała, zatrzepotała rzesami i cmoknęła głośno w moją stronę.

- Super.

Spojrzałam na ring w chwili, gdy zupełnie przypadkowo łokieć Vinniego Uderzeniowca wyślizgnął na ustach Yeti. Trysnęła krew, a Yeti wypluł na dłoń trochę czerwonego śluzu. Nawet z naszego miejsca było widać, że tkwił w nim ząb.

- Boże - powiedziałam, zasłaniając oczy.

- Hej, to nie wygląda na fałszywkę.

- Bo nie jest.

- Vinnie wydaje się trochę zakłopotany. Ha. Szkoda, że nie ma tu Scotta. Co się robi z wybitym zębem? Wkłada do szklanki z mlekiem?

- Nie wiem - powiedziałam, nie odrywając rąk od oczu. - I nie chcę wiedzieć.

- Łuhu! To bardziej ekscytujące, niż się spodziewałam. Dziękuję, że mnie tu zabrałaś!

Jęknęłam. Staralam się nie myśleć o wybitym zębie.

*ZIELONA KRATA**Droga Hanno,**Wydaje mi się, że mamy wiele wspólnego. Czy chciałabyś się spotkać? Zadzwoń do mnie. Mój numer to 503-555-83-80.**Wade*

- Cass, mam!

- Co masz? - odkrzyknęła zaniepokojona z kuchni. - Tylko nie mów, że karalucha.

- Nie, faceta! Być może to jakiś karaluch podaje się za faceta, ale mam nadzieję, że nie.

To ją wzięło. Przyszła z wegetariańskim burrito w ręce. Miała na sobie czarny, sportowy stanik i brązową, batikową spódnicę biodrówkę z pasem ze starych monet dookoła bioder. Nim złapał ją głód, ćwiczyła taniec w naszym salonie.

- Który? - zapytała, podchodząc do komputera i stając obok mnie.

- Biolog naturalny.

- Ale który?

Sięgnęłam po segregator i przerzuciłam kartki. Dostałam tyle odpowiedzi na moje ogłoszenie, że za-

czynano mi się już mieszać, kto jest kto, i musiałam zrobić listę.

- Trzydzieści sześć lat, ciemne włosy, niebieskie oczy, kawaler, trzy miesiące temu przyjechał tu z Utah, bo dostał pracę w Audubon Society. Zbiera stare płyty, chodzi na wycieczki, jeździ na biwaki. Lubi kanał Discovery. Ulubiony film: „Polowanie na Czerwony Październik” - tak jak ja! Ulubiona książka: „Władca much”.

- To nie brzmi obiecująco. Ten „Władca much”.

- Czemu nie? Uwielbiam tę książkę - powiedziałam.

- Bo masz kłopoty z sobą. Popatrz na ten segregator.

- Hej, wypełniam misję.

- Miłość to nie misja - stwierdziła Cassie.

- Dla mnie tak. Czy też może raczej powinnam powiedzieć: interes.

- Zastanowiłam się przez chwilę.

- A może nie... To brzmi jakoś nieodpowiednio.

- Nieważne.

- No i jest pewien element synchroniczności. Pamiętasz, jak mówiłam o pieszej wycieczce z przewodnikiem? Słuchaj, mam własnego eksperta na podorędziu!

- Mhm - mruknęła nieprzekonana.

Spodziewałam się, że zareaguje inaczej, bo to w końcu ona twierdziła, że powinnam być czujna na punkcie zbiegów okoliczności.

- Odpisałaś już któremuś? - zapytałam. Ugryzła kęs burrito.

- Nie.

- Cass! - jęknęłam doprowadzona do rozpacz.

- Dlaczego? Wzruszyła ramionami.

- Żaden nie wydaje mi się odpowiedni.



- Nie wydaje ci się odpowiedni?! Nie znasz ich, to wszystko. Na moje oko było kilku, którzy mieli z tobą dużo wspólnego.

- Niewłaściwa energia.

Zacisnęłam usta. Nigdy nie radziłam sobie w dyskusjach o „energii”.

- Czy w ich listach było coś, co wzbudziło twoje podejrzenia? Coś, co cię zirytowało? Na przykład facet, który twierdzi, że szuka bystrej kobiety, i robi błąd w słowie „inteligentna”?

Poruszyła jednym ramieniem.

- Może. Po prostu nie wydaje mi się, żebym mogła znaleźć właściwą osobę przez Internet.

- I nie znajdziesz, jeśli tak będziesz do tego podchodzić.

- Nigdy nie wiadomo. Miłość się zjawia, gdy jej wcale nie szukasz. Trzeba wyswobodzić własne żądze, aby móc je zaspokoić.

Spojrzałam na nią spod oka, po czym odwróciłam się do monitora. Jak można nie szukać miłości, skoro dało się ogłoszenie? I jakim sposobem można dostać to, czego się chce, jeśli zaniecha się starań?

- Gdzie zamierzasz się z nim spotkać? - zapytała.

- W jakimś miejscu publicznym. Może w Starbucks na Pioneer Courthouse Square. To powinno być bezpieczne, nie uważasz?

- Powinno. Tylko bądź ostrożna.

- Nie jestem głupia. Nie wsiądę do jego samochodu ani nic takiego.

- Hanno, czy nie sądzisz, że ta rozmowa w ogóle nie powinna mieć miejsca?

- Biorąc pod uwagę fakt, że każdy, kogo spotykamy, jest potencjalnym psychopata? - zapytałam.

- Randki nie powinny tak wyglądać.

Zagryzłam wargę. Moi rodzice poznali się na miejskim pikniku. Czy jest coś bardziej anachronicznego? Mieli tylu wspólnych znajomych, że bez trudu mogli nawzajem poznać swoją reputację. O ile się orientuję, mama nigdy nie musiała się zamartwiać, że tato mógłby wyciągnąć ją do lasu, zgwałcić, a potem zostawić ciało zakopane pod stertą liści.

- Wiem o tym - powiedziałam. - Ale jaki mamy wybór?

- Zawsze jest jakiś wybór.

- Tak. Cóż, ja zamierzam sprawdzić wszystkie ewentualności. Wiesz, to tylko jeden z tropów w moim wielowątkowym planie ataku.

- Naprawdę? - Ruszyła w stronę kuchni. - Powiedz mi, gdzie i kiedy się z nim umówiłaś. I zostaw mi jego nazwisko oraz numer telefonu. Tak na wszelki wypadek.

- Dobrze, mamusiu - odpowiedziałam.

Tak naprawdę byłam zadowolona, że o to poprosiła. Czułam się nieco lepiej, mając świadomość, że ktoś będzie wiedział, gdzie jestem i jak długo. To mogłoby się okazać ważne dla policji tropiącej na przykład mojego zabójcę.

Cassie miała rację. To nie powinno tak wyglądać.

Minęły cztery dni. Siedziałam na stołku przy bufecie stojącym przy oknie i sączyłam ziołową herbatę. W Starbucks tłoczno było od biznesmenów, którzy przyszli na lunch. Kawiarnia mieściła się nad północno-zachodnim rogiem Pioneer Courthouse Square, placu otoczonego budynkami z czerwonej cegły, często nazywanego „salonem Portland”.

Siedziałam tyłem do okna oraz grupy ludzi, którzy kręcili się na zewnątrz. Biali faceci z dreadami, ubrani w pulowery wykonane w krajach trzeciego świata; dziewczyny z włosami ufarbowanymi na zjadliwy błękit albo czerwień ketchupu, ze srebrnymi kolczykami wbitymi tu i ówdzie na twarzach; Maorysi imitatorzy z policzkami i nosami wytatuowanymi na zielono. Nie miałam pojęcia, jak mogą liczyć na znalezienie pracy gdzieś poza epigońskimi sklepami z hipisowską odzieżą, gdzie części garderoby o zabawnych zapachach uchodziły za stylowe i śmiałe.

Problem w tym, że aż za bardzo przypominali mi dzieciaki z college'u w Eugene. Osiągnęłam wreszcie wiek, gdy ten rodzaj indywidualnej ekspresji w stroju, który miał być wyzwalający i zawierać pewną dawkę magicznego symbolizmu, wydawał się po prostu głupi. I ograniczający. Nikt nie traktuje poważnie kobiety z kolczykiem w dolnej wardze sterzącym niczym wielki, metalowy pryszcz.

Napiłam się jeszcze herbaty. Patrzyłam na wchodzących i wychodzących. Przyjechałam dziesięć minut za wcześnie na moje spotkanie z Wade'em, biologiem naturalnym, a co za tym idzie, miałam mnóstwo czasu na trapienie się, który z nieodpowiednich facetów może, a który nie może nim być.

Napisał, że będzie miał na sobie jasnobrązowy płaszcz. Uznałam, że to musi być podstawowy kolor biologa, który stara się wtopić w otoczenie. Do swojego ogłoszenia nie dołączył zdjęcia i nie miał skanera, żeby mi je przesłać e-mailem, więc jedyny obraz jego osoby miałam w głowie. Wyobraziłam sobie wydatną szczękę, szerokie ramiona i zmarszczki w kącikach oczu od

patrzenia w słońce. Oraz, oczywiście, niski, spokojny głos narratora filmu przyrodniczego.

Przez chwilę zaciskałam kciuki. Proszę, niech ma taki głos. Podobno u kobiet najbardziej seksowne są włosy, a u mężczyzn - głos. Uwielbiałam czuć wibracje męskiego niskiego głosu: to tak, jakbym zawierała z nim intymną znajomość poprzez sam dźwięk.

Do kawiarni wszedł mężczyzna w spodniach khaki i niebieskiej koszuli. Ciemne włosy, beżowa wiatrówka przerzucona przez ramię. Stał w kolejce, rozejrzał się po wnętrzu, prześlizgnął po mnie wzrokiem, a potem zadzwonił jego telefon. Wyciągnął go z kieszeni.

Przyglądałam mu się jeszcze przez chwilę, ale najwyraźniej nie rozglądał się za mną, a telefon komórkowy zupełnie nie pasował do mojej wizji Pana Przyrodnika.

Zastanawiałam się, czy z kolei ja spełnię oczekiwania Pana Przyrodnika.

Moje ogłoszenie wyglądało tak:

***Jeden na milion Jestem pewną siebie, niezależną mistrzynią igły, która szuka Tego Jedyne. Mam 29 lat, jestem blondynką, szaroniebieskie oczy, bezpretensjonalnie ładna, hetero. Kocham rękodzielniczo, spotkania z przyjaciółmi oraz zwiedzanie dziwnych zakątków miasta i kraju.***

***Mój partner: 29-39 lat, bezdzietny (jak dotąd<sup>1</sup>), zadowolony z pracy, z upodobaniem do przygód, ale wybierający spokojniejsze strony życia - żadnych narkotyków, dużych ilości alkoholu itp., itd., wiadomo, o co chodzi.***

Początkowo napisałam o upodobaniu do przygód bez żadnych zastrzeżeń, ale Louise ostrzegła mnie, że to mogłoby przyciągnąć sadomasochistów.

Kiedyś odrobinę się bawiłam niewoleniem, nawet myślałam o zrobieniu własnych opasek na nadgarstki z rzepa, ale na pewno nie miałabym ochoty na spotkanie się z kimś, kto wybiera kobietę na podstawie takiego kryterium. Z podejrzliwością traktowałam ogłoszenia, w których była mowa o „kobiecej” partnerce. Co dla faceta znaczyło „kobieca”? Uległa? Niecierpliwie czekająca na rozkazy? Słaba?

Zaczynałam zachowywać się paranoicznie. Większości tych facetów prawdopodobnie chodziło tylko o to, żeby dziewczyna była zadbana i nie brała udziału w zawodach w bekaniu.

- Hanna?

Odwróciłam się i poczułam, że się czerwienię, a serce nagle zaczęło mi łomotać.

- Wade?

- Miałem nadzieję, że to ty - powiedział, wyciągając do mnie rękę.

Zsunęłam się ze stołka, przełożyłam herbatę do drugiej ręki i uścisnęłam mu dłoń. Byłam tak zdenerwowana, że czułam drżenie mięśni.

Nie był taki, jak się spodziewałam. Miał jakieś metr osiemdziesiąt wzrostu, był zgarbiony, chudy i nie wykazywał ani śladu tężyzny fizycznej. Z twarzy przypominał nieco Anthony'ego Hopkinsa, gdyby Anthony Hopkins miał trzydziestkę, włosy i był bardziej przerażony niż przerażający.

A głos miał przeciętny.

Wyglądał całkiem sympatycznie. Nie był nieprzyjemny.

- Trafiłeś bez trudu? - zapytałam nieco głupio. Do Starbucks było wyjątkowo łatwo trafić.

- Właściwie tak, chociaż trochę się kręciłem w kółko, żeby uporać się z ulicami jednokierunkowymi. Byłem w centrum tylko dwa razy - powiedział. - Ostatnio zdarzyło mi się niechcący przejechać trzema różnymi mostami.

- Trzema? - zapytałam.

Nabrałam nadziei. Oto facet, który przyznaje się do tego, że się zgubił, i uznaje to za zabawne.

- Jechałem sobie ulicą, aż tu nagle pojawiły się barierki, a pode mną ukazała się rzeka. I już byłem po wschodniej stronie.

- Trzeba trochę czasu, żeby się we wszystkim zorientować. Zamówisz coś? - zapytałam, wskazując na bar.

- Pomyślałem, że może byśmy się przeszli?

- Dobrze.

Byłam zbyt zdenerwowana, żeby skończyć herbatę, więc odstawiłam ją na tacę po drodze do wyjścia. Otworzył przede mną drzwi, a potem przytrzymał je jeszcze dla innej kobiety.

- Dokąd idziemy? - zapytałam.

- Nie wiem. Miałem nadzieję, że pospacerujemy, a ja przy okazji zobaczę trochę miasto.

- Mogę cię oprowadzić - zaproponowałam. - Jeśli masz ochotę.

- Byłoby wspaniale.

Ruszyliśmy Broadwayem w stronę Centrum Sztuk Scenicznych, potem skręciliśmy między dwoma budynkami do Park Blocks, który rozciąga się na południe od kampusu uczelni, Muzeum Sztuki oraz Oregon Historical Society.

Rzucałam na niego ukradkowe spojrzenia, wskazując różne punkty orientacyjne. Przyjrzałam się T-shirtowi, starej, zielonej koszuli w kratę, zniszczonym spodniom khaki i poplamionym tenisówkom. Zdaje się, że niespecjalnie troszczył się o swój wygląd.

Może to i dobrze. Robił wrażenie spokojnego. Nie był specjalnie elegancki, ale przynajmniej czysty i miał krótkie włosy. Rzecz w tym, że przywykł do towarzystwa kaczek i szopów, to wszystko.

Chyba że to kamuflaż i tak naprawdę jest psychopatycznym seryjnym mordercą. W końcu oni wyglądają na ogół nieszkodliwie. Albo jak Anthony Hopkins.

Czy to właśnie przypadek synchroniczności, o jakim mówiła Cassie podczas stawiania tarota? Boże, miałam nadzieję, że nie.

- Z iloma dziewczynami umówiłeś się przez Internet? - zapytałam, kiedy poszliśmy w stronę rzeki i parku Waterfront ciągnącego się wzdłuż zachodniego nabrzeża.

Była to otwarta przestrzeń w centrum miasta, więc nie musiałam obawiać się zaciągnięcia w krzaki.

- To pierwszy raz. A ty?

- Ja też.

Miły facet, ale zaczynałam się czuć tak, jakbym to ja odwaliała całą robotę z podtrzymywaniem rozmowy. Może jak będę cicho przez chwilę, to się rozgada.

Szliśmy w milczeniu przez kilka minut, aż wreszcie z jego strony rozległ się jakiś dźwięk. Czekałam. Poczekalam jeszcze chwilę.

- Jesteś głodna? - zapytał. Nareszcie! Mówi!

- Trochę. A ty?

- Trochę. Znasz jakieś miejsce, gdzie moglibyśmy coś zjeść?

Mój wybuch ekscytacji w jednej chwili zgasł. Nie chciałam wybierać restauracji, teraz jego kolej na podjęcie decyzji. Poczułam się nagle znużona. Kusiło mnie, żeby powiedzieć, że muszę wracać do domu, ale spojrzał na mnie z takim nieśmiałym uśmiechem, że nie miałam serca tego zrobić.

- Lubisz tajskie jedzenie? - zapytałam.

- Jest takie jak chińskie?

- Podobne.

- Dobrze.

A więc dobrze. Lunch.

- Dostałem Moocha, kiedy zbierałem materiały do pracy magisterskiej w Kolorado - powiedział Wade.

Dwie minuty wcześniej przyniesiono nam rachunek, który leżał sobie teraz w czarnej okładce na brzegu stołu. Wade nie wykonał żadnego ruchu w jego kierunku.

- Był nie większy niż moja dłoń.

Spojrzałam na rachunek. Czy powinnam po niego sięgnąć? Zajrzeć?

- Jego matka była owczarkiem birmańskim, a ojciec niemieckim.

Wade w końcu znalazł temat do rozmowy i, mimo że spojrzał na kelnera, gdy ten przyniósł rachunek, nie byłam pewna, czy to zdarzenie wryło się w jego świadomość. Kiwnęłam głową, uśmiechnęłam się i udawałam, że słucham. Czy powinnam powiedzieć „pół na pół” i zobaczyć, jak się zachowa?

A może powinnam po prostu poczekać?

Ja wybrałam restaurację: czy to znaczy, że mam zapłacić za nas oboje?

- Zjadł całą tapicerkę z zagłówek w samochodzie, więc są teraz oklejone taśmą.



W doskonałym świecie zgarnąłby rachunek i powiedział „ja płacę”. Albo nawet lepiej,“ nic by nie powiedział i nie przerywając rozmowy, wsunąłby swoją kartę MasterCard między okładki, jakby pieniądze były zbyt prozaiczną sprawą, by zakłócać rozmowę.

Marzyłam na jawie. Byłam nowoczesną kobietą i powinnam chcieć sama za siebie zapłacić. Przecież nie szukałam okazji do darmowego lunchu.

Szukałam?

Nie, zasady powinny być jasne i ja powinnam je ustalić. Nie wiedziałam, czego on oczekuje. Nie wiedziałam, czego sama chcę. Nie miałam pojęcia, co to będzie znaczyło, jeśli on zapłaci, jeśli ja zapłacę, jeśli zapłacimy oboje. A on wcale nie spieszył mi z pomocą.

Nie mogłam już dłużej wytrzymać. Sięgnęłam po rachunek.

Zamrugął z zaskoczeniem.

- Och, nie martw się tym - powiedział, kładąc na nim rękę i przesuając go w swoją stronę. - Zostaw to mnie.

Uśmiechnęłam się. Chłopak miał jednak pewien potencjał.

*KALOSZE*

- Nic nie rozumiem. Byliśmy na trzech randkach, a on nie posunął się ani o krok poza trzymanie mnie za rękę.

- Hej, zobacz, to byłoby dobre do terroryzowania turystów - powiedział Scott, biorąc nóż myśliwski.

Byliśmy w GI Joe, sklepie turystycznym. Scott szukał pompki do roweru, a ja pary czarnych kaloszy, takich, jakie nosiłam w szkole podstawowej.

- Jak myślisz, co z nim jest? Nie jest zainteresowany?

- Przecież zaprosił cię znowu, nie?

- Niezupełnie, ale przysłał e-maila.

- Czym dokładnie zajmuje się biolog naturalny?

- Leczy zranione zwierzęta w Centrum Opieki nad Dzikimi Zwierzętami. Obserwuje ptaki. I robi „piś”.

- Piś?

Wydałam z siebie jeszcze raz ten dźwięk.

- Ptaki to podobno lubią.

- Przylatują na ten dźwięk?

- Nie wiem. Ale Wade robi miłe wrażenie, kiedy tak je przywołuje.

Scott ruszył w stronę sekcji namiotów, gdzie

pachniało syntetycznymi tkaninami. Dookoła jednego rozłożone były śpiwory.

- Masz ochotę na drzemkę? - zapytał.

- Kuszące, prawda? Louise zawsze się wstydzi, gdy wypróbuję wszystkie krzesła i kanapy w sklepach meblowych.

- Uwielbiam ją, ale czasem przydałoby się jej trochę więcej luzu - stwierdził Scott.

- Szkoda, że jej nie widziałeś podczas walki zapaśniczej. Wcale bym się nie zdziwiła, gdyby któregoś dnia sama znalazła się na ringu, żeby wyładować wszystkie frustracje nagromadzone w wyniku wkurzających telefonów.

- Hej, sprawdzę to - powiedziałam po chwili, biorąc lornetkę i rozglądając się po sklepie.

Spojrzałam przez nią na Scotta i zobaczyłam tylko wielką, rozmazaną plamę. Obróciłam lornetkę i spojrzałam z drugiego końca.

- Dentysta na horyzoncie! Człowiek-wiertło!

- Lubię robić z tobą zakupy - powiedział Scott. Opuściłam lornetkę. Wyglądał poważniej, niż wymagał tego sklep z namiotami.

- Naprawdę?

- Tak.

- Tylko dlatego, że wszystko za ciebie sprawdzam, oszczędzając w ten sposób twój cenny czas i pieniądze.

- Oczywiście.

Zostawiliśmy namioty i poszliśmy szukać kaloszy. Wade zaprosił mnie na wyprawę na jedno ze swoich ulubionych bagnisk i potrzebowałam odpowiedniego obuwia.

- Czternaście dolców - przeczytałam, biorąc do ręki

parę w moim rozmiarze. - Myślisz, że Wade jest tego wart?

Scott wzruszył ramionami, wziął ode mnie kalosze, powąchał je i odłożył z powrotem na metalową półkę.

- Jest chyba miły. Tylko...

- Tylko co? - zapytałam, zastanawiając się, dlaczego wachał buty.

- Może jest trochę zbyt pasywny, jak dla ciebie. Przydałby ci się ktoś bardziej agresywny.

- Nie lubię macho.

- Nie to miałem na myśli. Chodzi mi o kogoś... kto czasem wykona jakiś ruch. Kto nie pozwoli rozstawiać się po kątach.

- Nie rozstawiam ludzi po kątach. Myślisz, że jestem despotką?

- A czy nie o to oskarżył cię twój ostatni chłopak?

- Nie jestem despotką.

- Nie, pewnie, że nie.

- Nie jestem! Moi przyjaciele tak nie uważają.

- Bo to kobiety.

- A co? Despotyzm u kobiet różni się czymś od despotyzmu w wydaniu męskim?

- Kobiety próbują matkować facetom, z którymi się umawiają - powiedział.

- Tylko wtedy, gdy faceci zachowują się jak dzieci, czyli trzy czwarte czasu.

- A może zachowują się jak dzieci dlatego, że kobiety zachowują się jak matki.

- Czy to pytanie z gatunku: czy jajko jest mądrzejsze od kury? I co to ma wspólnego z Wade'em? I dlaczego wachałeś kalosze?

- Pachną dzieciństwem.

Właśnie kiedy się nieźle nakręciłam, musiał powiedzieć coś takiego.

- Rzeczywiście - przyznałam. - Sprawiają, że mam ochotę wskoczyć w błotnistą kałużę.

- Trudno to sobie wyobrazić.

- Czemu?

- Bo zawsze jesteś tak starannie ubrana.

- Muszę. Moim interesom nie robiłoby dobrze, gdybym się pokazywała w niedopasowanych, nie-twarzowych ciuchach.

Wyrzuciłam wszystkie swoje wygodne, ale nieładne rzeczy, postanawiając zacząć nowe życie od nowego stylu.

- Chciałbym cię zobaczyć pomiętą.

- To wcale nie jest ładny widok.

Miałam wrażenie, że chciał coś jeszcze powiedzieć, ale zrezygnował. Spojrzał na kalosze, które trzymałam w objęciach.

- Pasują?

- Tak.

- Chodźmy do działu z rowerami i znikajmy stąd.

*SZTUCZNE FUTRO*

- Wiem, że jestem niski - powiedział zapaśnik Elroy. - A zawodowcy robią się coraz więksi, ale i tak najbardziej liczy się osobowość. Charakter.

- Mhm - mruknęłam wymijająco, bardziej zainteresowana zębem, który zachowywał się dziwnie.

Ostatnio, kiedy byłam zdenerwowana, zaciskałam szczęki. Zacząłam się martwić, że być może w ten sposób niszczę sobie ząb. Mogłabym, oczywiście, zapytać o to Scotta, ale on pewnie chciałby obejrzeć moje uzębienie, a wtedy doszukałby się całego mnóstwa problemów wymagających interwencji. Skończyłoby się tym, że miałabym leczenie kanałowe, koronki, wrywane i borowane zęby i...

Elroy siedział na fu tonie w naszym salonie. Za ostatni kostium wystawił mi czek bez pokrycia. Udało mu się namówić mnie przez telefon, żebym pozwoliła mu przyjść i zapłacić za tamte oraz następne spodnie kombinacją barteru i gotówki.

Zapasy na lokalnym poziomie nie dawały praktycznie żadnych pieniędzy - może jakieś dwadzieścia dolarów za wieczór. Elroy zarabiał więc na życie jako bramkarz w klubie ze striptizem. Używał swojej masy

mięśni i szyderczych uśmieszków stosowanych na zapaśniczym ringu do zastraszania pijanych gości.

Zarabiał też jako medium i właśnie wykorzystując tę „umiejętność”, chciał mi zapłacić.

- Ludzie lubią słabszych. Podoba im się mały facet, który walczy jak wściekły byk. Chętnie oglądają upadki gigantów. Dzięki temu czują się silni, jakby byli w stanie pokonać każdego, kto próbuje ich stłamsić.

- Rozumiem.

Chyba. Bo tak naprawdę nie do końca rozumiałam, dlaczego faceci oglądają zapasy. Kobiety tak: dawało to okazję do popatrzenia na prawie nagiego mężczyznę.

- Dlatego nazywają mnie Buldog. Mały, krępy i silny.

Uniosłam brwi i kiwnęłam głową, jakbym właśnie została oświecona. Elroy miał falujące, utlenione na blond włosy do ramion i cerę, jakby był wiecznie poparzony słońcem. Kostium, który dla niego uszyłam, składał się z nabijanej ćwiekami, czarnej, skórzanej opaski na szyję i pary luźnych spodni ze sztucznego futra w brązowym kolorze z małym ogonkiem na pupie. Moim zdaniem, wyglądało to bardzo zabawnie, ale tego właśnie chciał.

- Ale czy musisz robić ten numer z podnoszeniem nogi, jakbyś sikał na przeciwnika? - zapytałam.

Ten ruch stał się jego znakiem. Według młodych chłopców na widowni to było bardzo śmieszne.

- To symbol. Wiesz. Metafora.

Czułam się trochę urażona, że mój kostium będzie brał w tym wszystkim udział, i wdzięczna za to, że walki uważano za rodzinną rozrywkę. W przeciwnym razie Elroy mógłby sobie zażyczyć przyczepienia do spodni imitacji psiego przyrodzenia z pojemniczkiem,

który po naciśnięciu tryskałby wodą. To był jego poziom.

W zasadzie był dobrym facetem, uczciwym i pełnym entuzjazmu. Trudno było nie życzyć mu odniesienia sukcesu w ramach tego schematu „słabszego”.

- Jestem umówiona za godzinę - powiedziałam. - Chyba powinniśmy zaczynać...

- Och, dobrze. Można zaciągnąć zasłony? Wstałam i zasłoniłam okna cienką, bladezieloną

tkaniną. Światło tylko trochę osłabło, ale wewnątrz zrobiło się intymniej, spokojniej. Przeleciało mi przez głowę, że tak naprawdę nie znam Elroya zbyt dobrze: chyba nie zamierzał spróbować niczego zabawnego? Nie miałabym szansy w walce wręcz.

- Masz świecę?

Zdjęłam jedną z półki na książki, postawiłam ją na ławie i zapaliłam.

- Dobrze?

- Tak. A teraz usiądź koło mnie.

Ostrożnie przysiadłam na drugim końcu futonu. Potarł szybko dłońmi o uda, a potem złączył je i zamknął oczy. Oddychał głęboko. Czas mijał. Otworzył oczy i spojrzał na mnie.

- Daj mi ręce.

Wydawało się, że traktuje to poważnie, co podniosło mnie na duchu. Jeśli miał jakieś nieczyste zamiary, to był lepszym aktorem niż na ringu. Podałam mu obie dłonie.

- Czego pragniesz? - zapytał. Zaśmiałam się nerwowo.

- Och, wiesz... To zwykłe rzeczy. Miłość, praca. Ścisnął moje palce i zamknął znowu oczy.

- Dookoła ciebie są mężczyźni. Ciągnie ich do ciebie. Tylko jeden z nich jest dla ciebie dobry.



- Który?
- Nie mogę powiedzieć.
- Czy jestem z nim związana? - zapytałam.
- On jest blisko, bardzo blisko.
- Jak blisko? - zapytałam podejrzliwie.
- Bardzo.

Rany, ale mi pomógł.

- Coś jeszcze o nim?

- Jest wysportowany, mniej więcej w twoim wieku. Uważa, że jesteś piękna. - Elroy otworzył oczy, a spojrzenie, jakie na mnie skierował, było trochę zbyt znaczące, jak na mój gust. - Będzie cię dobrze traktował. Tobie się wydaje, że on nie jest dla ciebie odpowiedni, ale jest inaczej.

- Co przeszkadza mi w dostrzeżeniu, że to ten właściwy? - zapytałam.

Elroy mówił o sobie, prawda?

- Opinia innych. Czy raczej to, co według ciebie powiedzą inni. Musisz pójść za głosem serca, a nie rozsądku.

Umarłabym ze wstydu, gdybyś ktoś mnie zobaczył u boku Elroya. Bo na pewno mówił o sobie... Nie znałam nikogo innego, z kim wstydziłabym się pokazać. Poczułam się oszukana. Medium od siedmiu boleści.

- A co z moją pracą? - zapytałam. Może powie coś użytecznego. Zamknął znowu oczy.

- Będzie coraz lepiej. Może aż za dobrze. Stanie się coś, co zrównoważy twoje życie, gdy praca zacznie zajmować zbyt wiele miejsca.

- Muszę pracować jak najwięcej. - W co my gramy? We frazesy? Jego „przepowiednia” pasowałaby do każdego.

Nagle ścisnął moje palce, mocno, i otworzył oczy.

- Ufff! Zobaczyłem coś.

- Naprawdę? Pokręcił głową.

- To mi się zdarzyło tylko dwa czy trzy razy.

- Ale co to było?

- Coś złego.

- Och, wspaniale!

- Nie martw się. Będzie dobrze. Wiesz, to część procesu. Nauka.

Niczego się nie można nauczyć, gdy cały czas wszystko idzie dobrze.

Przyszło mi do głowy, że Elroy byłby niezłym partnerem dla Cassie.

- Kiedy to się zdarzy, będziesz widziała wszystko wyraźniej - powiedział.

- Super.

- Jesteś wolna w sobotę? Oswobodziłam ręce z jego uścisku.

- Przykro mi. Mam robotę.

*OBCISŁA BIELIZNA*

Przesunęłam swój pionek dookoła planszy do trik-traka, po czym spojrzałam spod oka na Wade'a i uśmiechnęłam się szelmowsko.

- Co?

- Zastanawiałam się właśnie, co powiedzą moi przyjaciele, gdy im opowiem, że w ramach randki oglądałam wymiociny sowy.

- Myślałem, że cię to zainteresuje - odparł. Dobry Boże, ten chłopak nieustannie potrzebuje zapewnień.

- Owszem. To było fascynujące, te wszystkie kosteczki i zęby tkwiące w wypluwce. Tylko że to dość niezwykła randka: przedzieranie się w kaloszach przez chaszcze i oglądanie wymiocin.

- Ale ci się podobało? Nie zmarzłaś za bardzo? Zmarzłam i przemokłam, ale gdybym się do tego

przyznała, Wade schowałby się w jakimś ciemnym kącie. Nawet teraz, siedząc na podłodze jego małego mieszkania, czułam, że mam wilgotne spodnie. Buty były, zgodnie z obietnicą, nieprzemakalne, ale nic nie mogło powstrzymać deszczu chłoszczącego moje nogi.

- Było super.

Zakrawało na cud, że udało mi się nakłonić go, by zaprosił mnie do swojego domu. Wydawało się, że z jednej strony się cieszy, a z drugiej - nie może pozbyć nieufności.

Cisza się przeciągała. Śmierzący mokrą sierścią Mooch przeciągnął się i westchnął. Leżał blisko nas. Oboje spojrzeliśmy na niego z ulgą. Przerwał ciszę.

- Twój ruch - powiedziałam.

Była to piąta randka z Panem Przyrodnikiem, a wciąż nie otrzymałam nic oprócz pocałunku. Kiedy byliśmy w zoo (czwarta randka), wzięłam go zachęcająco pod ramię, ale niespecjalnie tona niego podziałało. Miałam wrażenie, że zachodzi w głowę, co też mi się stało, że nie potrafię iść o własnych siłach.

I nie zrobił nawet najdelikatniejszej aluzji erotycznej - nawet gdy staliśmy przed wybiegiem dla słoni i patrzyliśmy na kiwającego się, najbardziej monstrualnego penisa. Był ogromny, niczym piąta słoniowa noga, na tyle przerażający w swoim rozmiarze, że powinien wywołać choćby porozumiewawczą, milczącą wymianę pełnych respektu spojrzeń. I strachu. I rozbawienia.

Czegokolwiek.

Jak można było nie skomentować takiego widoku? Ja, oczywiście, nie mogłam się powstrzymać.

- Założę się, że na taki widok kobiety uciekają gdzie pieprz rośnie - powiedziałam.

Spojrzał na mnie, a ja zalałam się rumieńcem. Czułam, że zachowałam się mniej więcej z taką klasą, jak tancerka topless.

- Penis słonia może wykonywać różne ruchy - odezwał się właśnie w chwili, gdy chciałam go przeprosić i ukryć się w toalecie. - Ma mięśnie, żeby samiec mógł znaleźć pochwę.

- Faj - powiedziałam z obrzydzeniem.

Nie miałam ochoty wyobrazić sobie penisa słonia poruszającego się z własnej woli, niczym gruby pyton wślizgujący się w samicę.

- A łechtaczka samicy może mieć nawet czterdzieści centymetrów długości i jest zdolna do erekcji.

- Założę się, że mężczyźni chcieliby, żeby i kobiety to potrafiły... Oszczędziłoby im to sporo kłopotu.

Posłał mi lekko osłupiałe spojrzenie, po czym zaśmiał się z przymusem.

- Pewnie w szkole nauczyłeś się wielu dziwnych rzeczy o zwierzętach - powiedziałam i znowu poczułam, że ujawniłam swój nietakt.

- Organy seksualne w królestwie zwierząt są nadzwyczaj różnorodne. Na przykład opos ma zygzakowatego penisa...

- Nie mów mi tego!

Rozmowa w żaden sposób nie wpłynęła na poziom mojego pobudzenia.

Spojrzałam teraz na Wade'a ponad stolikiem, przy którym graliśmy w trik-traka. Czy był tak nieśmiały, że oczekiwał ode mnie jakiegoś działania? Miałam wrażenie, że mnie lubi. Wciąż mnie gdzieś zapraszał. O co mu chodzi?

Dość już tego.

Obeszłam na czworakach stolik. Poruszałam się wolno, cały czas patrząc Wade'owi prosto w oczy niczym czający się kot.

Spojrzał na mnie rozszerzonymi oczami. Kiedy się zbliżyłam, odchylił się nieco.

Zatrzymałam się dopiero wtedy, gdy moja twarz znalazła się kilka centymetrów od jego twarzy. Nie spuszczałam z niego wzroku. Zamrugał powiekami.

Pokonałam ostatnie dzielące nas centymetry i pocałowałam go.

Nie odsunął się, więc nie oderwałam warg od jego ust. Leciutko dotknęłam jego górnej wargi koniuszkiem języka.

I wtedy, w końcu, podniósł rękę i wplątał palce w moje włosy. Czułam, że drży.

Nachylił się, zmuszając mnie w ten sposób, bym podniosła się na kolana. Otoczył mnie ramieniem i pogłębił pocałunek.

Zwycięstwo!

Byłam zbyt zaaferowana mechaniką pocałunku, by odczuć jakieś fajerwerki. To był mój stały problem: nie byłam w stanie się rozluźnić. Ale tak naprawdę tym razem i tak musiałam trzymać swoje zmysły na wodzy. Jeden fałszywy ruch i on by się wycofał. Bardziej liczyło się to, żeby nabrał trochę pewności siebie, niż żeby ja miała frajdę.

Prawda?

Pocałunek był wilgotny. Staralam się oderwać od myśli o jakimś dużym zwierzęciu, które obślinia mi usta i brodę.

Ujęłam jego twarz w dłonie i delikatnie przytrzymałam, na nowo odzyskując kontrolę nad pocałunkiem. Obsypałam jego twarz pocałunkami, mając zamknięte usta. Siedział spokojnie, więc przesunęłam się na bok jego szyi, odciągając palcem brzeg swetra, by odsłonić skórę.

Zamachał rękoma i znowu położył je niepewnie.

Odepchnęłam go, zmusiłam, by położył się na dywanie. Uderzył głową w tylną łapę Moocha. Pies uniósł łeb i spojrzał na nas z wyrzutem. .

Wade nie protestował. Uznałam jego milczenie za zachętę. Wsunęłam dłoń pod jego bluzę, pod którą

odkryłam jeszcze T-shirt. Wyszarpnęłam go ze spodni, po czym przesunęłam dłonią po obnażonym brzuchu w stronę klatki piersiowej.

Miał chłodną, miękką, lekko sflaczałą skórę. W ubraniu nie było widać, w jakiej kiepskiej jest formie. Podciągnęłam ubranie, obnażając otoczone puszkami sutki. Musnęłam dłońmi jego obojczyki: były delikatne niczym skrzydełka kurczaka. Ścisnęłam go za ramiona. Palce zatopiły się w chłodnym, ciastowatym ciele.

Gdzie się podział mój męski mężczyzna, mój Pan Przyrodnik? To, co miałam przed sobą, było wydłużonym, miejskim cukierkiem ślazowym.

Jednak miły był z niego facet i nie wątpiłam, że gdzieś tam w środku drzemie w nim dzikie zwierzę. Schyliłam się i obsypałam pocałunkami jego tors, a potem zeszałam niżej, w stronę pępka. Na wszelki wypadek wsunęłam w niego palec, żeby sprawdzić, czy nie ma tam brudu. I dobrze, że to zrobiłam, bo znalazłam jakieś włókna i kawałki złuszczonej skóry.

Dlaczego mężczyźni nigdy nie czyszczą pępków? Dlaczego?

W każdym razie mój język tam nie powędruje, nie ma co do tego wątpliwości. Ruszyłam dalej. Całowałam bok miękkiego brzucha, podczas gdy ręce zajęte miałam rozpinaniem jego spodni.

Pokonałam guzik i zamek błyskawiczny. Spojrzałam na niego, gdy rozsuwałam tkaninę. Leżał z zamkniętymi oczami, nieruchomy niczym prawiczek.

I wtedy w głowie zaświtała mi pewna myśl.

Nie był nim, prawda? W wieku trzydziestu sześciu lat? To na pewno niemożliwe. Znałam kilku cichych, nijakich facetów. Większość z nich pod spokojną powierzchownością ukrywała wściekłe seksualne bestie.

Kobiety może nie padały im do stóp, ale kiedy już mieli jakąś w swoich objęciach, wykazywali się zdecydowanie większą pomysłowością i entuzjazmem niż przystojniacy, którzy nie musieli się wysilać.

Wade był miłym, przyzwoicie wyglądającym facetem. Nie mogłam uwierzyć, że nie znalazła się ani jedna kobieta, która by nie była nim zainteresowana.

Miał na sobie obcisłe slipy. Nie widziałam penisa. Rozsunęłam szerzej rozpięte spodnie, po czym je szarpnęłam. Wade uczynnie uniósł biodra i pozwolił mi je z siebie zsunąć.

Ach, tutaj jest. Małe wybrzuszenie. Nie wyglądało na specjalnie podniecone czekającym go spotkaniem ze mną.

Położyłam dłoń na białej bawełnie i nacisnęłam. Delikatnie masowałam i czekałam na zmianę rozmiaru.

Nic. Wciąż miało rozmiar ogrodowego ślimaka.

Poczekalam jeszcze trochę. Nie przerywałam masażu. Coś tam się poruszyło, jednak nie tyle, ile powinno...

Licząc na to, że by mi powiedział, gdyby było tam coś łatwo się przenoszącego, czego mogłabym nie chcieć dotykać, wsunęłam dłoń za gumkę slipów i dotknęłam przerażonego stworzonka.

Ścisnęłam je w dłoni. Objęłam i połaskotałam jądra. Lekkie stwardnienie, nic więcej.

Może jest po prostu nerwowy. Może to jeden z tych, którzy się ćwiczą w tym, żeby nie sztywnieć, żeby za szybko nie dojść...

Położyłam się na boku. Głowę miałam na wysokości jego piersi. Nie przerywałam zabawy.

- Hanno - powiedział łamiącym się głosem.

Tuliłam jego penisa w dłoni jak małą myszkę.



- Tak? - odpowiedziałam, powtarzając sobie w myślach słowa otuchy.

Nic się nie stało. To się zdarza każdemu. Nie, nic nie szkodzi. Nie martw się tym. Rozkoszuję się samym dotykaniem ciebie. Odpręż się.

- Powinnaś coś wiedzieć.

Moja dłoń znieruchomiała. Boże. Ma chorobę przenoszona drogą płciową. Wciągnął powietrze.

- To mój pierwszy raz...

Naprawdę jest prawiczkiem? Jak należy postępować z prawiczkiem? Będę musiała wspierać go duchowo jeszcze bardziej niż dotąd.

- Naprawdę? Jak daleko zaszedłeś z kobietą? - zapytałam, starając się udawać nonszalancję.

Wydał z siebie bulgoczący dźwięk, jakby zdusił w gardle histeryczny śmiech.

- Z kobietą? Tylko pocałunek.

Zmarszczyłam brwi, usiadłam i spojrzałam na niego. Rękę wciąż trzymałam na jego genitaliach. Popatrzył na mnie, po czym znowu wlepił wzrok w sufit. Uderzyło mnie, że położył akcent na słowa „z kobietą”.

- Więc nikt cię nigdy nie dotykał tak, jak ja przed chwilą? - zapytałam.

Miałam ochotę wyciągnąć rękę z jego majtek, ale nie chciałam, żeby poczuł się odrzucony, w razie gdyby moje podejrzenia okazały się niesłuszne.

- To mój pierwszy raz... z kobietą. Do tej pory byli tylko mężczyźni.

Jego interes był w tyłku jakiegoś faceta. Wyszarpnęłam rękę ze slipów. Miałam ochotę pobiec do umywalki i wymoczyć ją w gorącej wodzie oraz środkiem dezynfekującym.

- Nic się nie martw. Nie mam HIV ani nic takiego - powiedział z sarkazmem.

Usiadł i w końcu spojrzał mi prosto w oczy.

- Dlaczego? - zapytałam ochrypłym głosem, gdy dotarło do mnie, że rzuciłam się na geja.

Poza zażenowaniem z powodu swojego idiotyzmu, że na to sama nie wpadłam, czułam się też zupełnie pozbawiona kobiecości. Musi być we mnie coś męskiego, skoro wybrał mnie gej. Chciało mi się płakać.

- Dlaczego odpowiedziałeś na moje ogłoszenie?

- To nowe miasto, nowa praca. Chciałem spróbować nowego życia - odparł, a uprzedni sarkazm zniknął, ustępując miejsca smutnej rezygnacji.

Miałam ochotę go uderzyć. Przecież nie mógł zmienić tak łatwo swojej orientacji seksualnej. I do tego jest biologiem! Powinien to wiedzieć! Zachował się samolubnie, wciągając mnie w swój eksperyment.

- Zawsze uważałem, że kobiety są piękne - powiedział. - Dlatego pomyślałem, że mógłbym spróbować. Chciałem zobaczyć, jak to jest, gdy żyje się tak jak inni.

- Och, ale ze mnie szczęściara, że zostałam twoim szczurem doświadczalnym - powiedziałam. Nie byłam w nastroju, w którym mogłabym się zdobyć na współczucie.

- Ja cię naprawdę lubię. Jesteś bystra i pewna siebie. Szkoda, że nie wypaliło... - Spojrzał na swoje podbrzusze. - Po prostu się nie udało.

- Ale dlaczego ja? - zapytałam. Nie obchodziło mnie, przez co on teraz przechodzi, bo byłam zbyt zajęta próbą połapania się w świecie, który nagle stanął na głowie i wyrócił się na lewą stronę. - Czy jestem męska? - jęknęłam.

- Nie wiem, dlaczego ty. - Wzruszył ramionami.

- Po prostu mi się spodobałaś. Wydawało mi się, że moglibyśmy dobrze się razem bawić. I tak było, prawda?

- Chyba.

Jeśli tak chcesz to nazywać. I po to włączyłam się po deszczu i oglądałam wymiociny sowy?

- To znaczy... Chyba możemy pozostać przyjaciółmi, prawda? Przykro mi, że cię zraniłem, ale tu naprawdę nie chodzi o ciebie. Wciąż chciałbym się z tobą widywać.

Otworzyłam usta i spojrzałam na niego z niedowierzaniem. Skierowano do mnie tę samą przemowę, którą ja wygłaszałam kilkakrotnie do różnych facetów. I tu chodziło o mnie - w końcu to mnie przecież wybrał

- i nie, nie chciałam się z nim przyjaźnić. Nagle zdałam sobie sprawę, że intrygowało mnie w nim tylko i wyłącznie wyzwanie, jakie kryło się w przełamaniu jego pasywności.

Bez tego był jedynie nudnym, onieśmielonym facetem z miłym psem.

I pozwolił mi pieścić swojego ptaszka. Dobrze, że nie wzięłam go do ust. Na samą myśl o tym, gdzie był, robiło mi się niedobrze.

Wstałam, odszukałam swój płaszcz. Miałam wrażenie, że jestem oddalona od swoich planów o tysiące lat świetlnych.

- Muszę nad tym pomyśleć - skłamałam. - Dam ci znać.

- Nie jesteś chyba na mnie zła?

- Tylko zaskoczona. Zadzwoń do ciebie, dobrze?

- powiedziałam z wysiłkiem. Musiałam się stąd wydostać.

- Dobrze. Zadzwoń. Tak, na pewno.

*BUTY DO CHODZENIA*

- Przynajmniej już wiesz, dlaczego cały czas był taki spłoszony - powiedziała Louise, gdy przechodziłyśmy przez ulicę.

Szłyśmy z mojego domu do Laurelhurst Park na nasz cotygodniowy, niedzielny spacer. Od tej strony, biednej dzielnicy, park zarastały jodły. Pół przecznicy dalej, z drugiej strony, okalały go duże, stare, drogie domy ze starannie utrzymanymi ogrodami.

- Tak, nie wiedział, jak się zachowywać jako hetero-seksualista. Pewnie powinnam uznać to za zabawne. Wyobrażam sobie, jak musiał się przez cały czas bać, że się zdradzi - powiedziałam, chociaż wciąż nie uważałam tego za śmieszne. - I nic dziwnego, że tak niepewnie na mnie spojrzał, gdy wspomniałam w zoo, w związku z łechtaczką słonic, że to ułatwia facetom życie. Nie miał zielonego pojęcia, o czym mówię.

- Wciąż jesteś rozstrojona? - zapytała. - Jeszcze sobie z tym nie poradziłaś? To musiał być wstrząs dla twojego ego.

- Wypracowałam sobie własną formę terapii - odpowiedziałam z uśmiechem.

- Jaką? - Była wyraźnie zaciekawiona.

- Zrobiłam sobie lalkę wudu przedstawiającą Wade'a.

- Co?

- Wudu Wade'a - powtórzyłam. - Zrobiłam małą lalkę w jego ubraniu i powiesiłam ją na kawałku nitki na oknie szwalni. Wiruje sobie jak wisielec na linie.

- I to pomaga?

- Cóż... Byłam w centrum i wpadłam na genialny pomysł. Wstąpiłam po procę do sklepu z zabawkami. Nie było proc, ale za to kupiłam rewelacyjną gumkę.

- Nie mów.

- A, tak. Kiedy tylko odbija mi w związku z Wade'em i jego eksperymentem dotyczącym orientacji seksualnej, siadam sobie na podłodze z moją bronią i strzelam do niego.

- To wspaniale.

- I bardzo terapeutyczne. Sama wykonuję jego krzyki, które nieco niepokoją Cassie. Muszę więc robić to cicho, w nocy, żeby się nie zdenerwowała.

Skreśliłyśmy w jedną z brukowanych ścieżek, która wiła się wzdłuż trawników i zielonych wzniesień.

- Czy zamierzasz dać sobie już spokój z tymi randkami przez Internet? - zapytała tonem besztającej matki.

Tylko że kogoś piegowatego i z kręconymi włosami trudno było traktować poważnie.

- Nie wiem. Bo widzisz, to nie było niebezpieczne doświadczenie. Tylko dziwaczne. - Jeszcze nie byłam gotowa przyznać, że mój plan poszukiwań partnera okazał się niewypałem. - A ty nie dostałaś żadnych odpowiedzi? - zapytałam.

- Nie odpowiedziałam na żaden z e-maili - odparła cicho.

- Louise!

Co jest nie tak z moimi przyjaciółmi?

- Mnie się to wydaje nie w porządku.

- Nie w porządku w stosunku do kogo?

- Do nich.

- Przecież tak naprawdę nie chcę się w to bawić. Zaraz zrobisz mi o tym wykład, wiem, ale, no cóż... jestem zainteresowana Derekiem.

- Tym rozwiedzionym? Och, Louise. Powiedz, że to nieprawda.

- Wiem, wiem. Wiem wszystko o facetach z odzysku, rozwiedzionych. Wszystko wiem. Ale tak miło się z nim rozmawia. W piątek znowu byliśmy na kolacji...

- Louise!

- Wiem! To niewłaściwe. Ale uwierz mi, do niczego nie doszło.

- Wiesz przecież, że to kiepski pomysł.

- Wiem.

- Ale i tak zamierzasz to zrobić.

- My się tylko przyjaźnimy.

Wyszliśmy po drugiej stronie parku, przeszliśmy przez ulicę i zagłębiłyśmy się w dzielnicę Laurelhurst. Lubiłam sobie wyobrazać, w którym domu bym mieszkała, gdybym miała pieniądze.

- Czy on jest tobą zainteresowany inaczej niż jako przyjaciel? - zapytałam.

- Nie wiem. Nie umiem ocenić - odpowiedziała z cieplejszym uśmiechem, prawdopodobnie traktując to pytanie jako oznakę tego, że w końcu przyjąłam rzecz do wiadomości. - Czasem mi się wydaje, że tak, ale wszyscy faceci z pracy są psychologami, więc w pewnym sensie są podobni do kobiet. Lubią rozmawiać. To znaczy o ludziach, a nie o sporcie czy

zabawkach. Są inni niż przeciętny komputerowiec czy biznesmen. Więc nie wiem, czy jest w stosunku do mnie bardziej otwarty, niż byłby w stosunku do każdego innego.

- Kto zasugerował kolację?

- To było obustronne. A może on? Jakoś tak się potoczyło... Kończyliśmy pracę o tej samej porze. Kiedy wychodziliśmy, zaczęliśmy rozmawiać o tej nowej chińskiej restauracji położonej o przecznicy dalej i postanowiliśmy tam pójść. - Zerknęła na mnie. - Co o tym myślisz?

- Nie wiem - odpowiedziałam zgodnie z prawdą. Kto może powiedzieć, że to nie wypali? A jeśli

nawet, to niedługo sama się o tym przekonam, a wtedy będę mogła powiedzieć „a nie mówiłam”.

- Bądź ostrożna - dodałam.

- Jasne!

- Może powinnaś umówić się też z kilkoma innymi facetami, którzy do ciebie napisali. To by ci pozwoliło oderwać się trochę od Dereka.

- No, może.

Wiedziałam, że tego nie zrobi.

- Cassie też się z nikim nie umówiła - przyznałam. Moi przyjaciele byli bandą tchórzy. - A Scott? Nie wiesz przypadkiem?

- Umówił się. Wczoraj - powiedziała i posłała mi uważne spojrzenie.

- Żartujesz!

- To jakaś świeżo upieczona prawniczka, która pracuje w prokuraturze hrabstwa Clackamas. Powiedział, że jest naprawdę bystra.

- Aha. - Moje zaskoczenie zastąpiło jakieś inne, trochę dziwne uczucie. Prawniczka. Ha. - Ładna?

- Tak mówi Scott. Jest prawie tak wysoka jak on. Powiedział, że miło jest móc dla odmiany popatrzeć kobiecie prosto w oczy.

Ja sięgałam mu zaledwie do brody. Ale czy to miało jakieś znaczenie?

- Spodobała mu się?

- Mówi, że jeszcze za wcześnie, by to ocenić. Zadzwoń do niego, to ci wszystko opowie. Musieliśmy skończyć rozmowę, bo odezwał się jego pager.

- Hm. - Z jakiegoś powodu te wieści mnie przygnębiły. - Tak, będę musiała do niego zadzwonić.

Mnie przypadł w udziale speszony gej, a Scott znalazł sobie piękną prawniczkę. Powinnam się cieszyć z jego szczęścia. Ale zamiast tego czułam zazdrość i chyba wiedziałam dlaczego. To ja wpadłam na pomysł z randkami przez Internet: mnie jako pierwszej należała się nagroda.

Miałam nadzieję, że sprawa prawniczki nie będzie kontynuowana. Pewnie i tak była dla niego zbyt natarczywa. Zbyt agresywna. Nie warto się więc martwić.



*HAFTOWANY LEN*

- Jak mam się pozbyć tego małego obrazka?

- To guzik „owo”, tato. Oznacza „obraz w obrazie” - wyjaśniłam, a tato nadal bawił się pilotem, starając się usunąć mały kwadracik z prawego dolnego rogu ekranu telewizora.

Zniknął dźwięk. Po chwili wrócił, ale tak głośny, że zatrzęsły się ściany.

- Daj, ja to zrobię! - wrzasnęłam, zabierając mu pilota i doprowadzając wszystko do normy.

- Nie rozumiem, dlaczego to musi być takie skomplikowane. Po co w ogóle są te wszystkie przyciski? „Nauka”. Co się dzieje po przyciśnięciu tego guzika?

- Kierujesz pilota na swoją czaszkę, naciskasz i nagle wszystko nabiera sensu.

- Cha, cha, bardzo śmieszne.

Wstałam i poszłam pomóc mamie w kuchni. W piekarniku tkwiła pieczeń wieprzowa z rozmarynem. Ślinka mi ciekła od samego zapachu. Jabłka na sos czekały na obranie i pokrojenie w kostkę, więc wzięłam nóż i zabrałam się do pracy, podczas gdy mama zaczęła łączyć tłuszcz z mąką na ciasteczka.

Dom rodziców był dwupiętrowym budynkiem far-

merskim z 1930 roku. W pobliżu znajdowały się o wiele młodsze domy. Z oryginalnej farmy nic nie pozostało, ziemię rozparcelowano na długo przed tym, zanim rodzice kupili ten dom. Mama lubiła jego stary wygląd, a tato każdego roku naprawiał konstrukcję i odgrażał się, że „następnym razem kupimy nowy dom”. Ta groźba kiedyś robiła na mnie wrażenie, bo myślałam, że będziemy się musieli przeprowadzić, ale koniec końców przyzwyczaiłam się do tego narzekania i zrozumiałam, że tato nie miał zamiaru się przenieść.

W ogrodzie, zarówno od frontu, jak i z tyłu, pełno było karmników i basenów dla ptaków oraz troskliwie pielęgnowanych klombów róż. Z tyłu mieścił się warsztat wzniesiony przez tatę do pracy nad „projektami”, który jednak służył głównie za skład jego rupieci, byle z dala od oczu mamy.

Poza pracą w ogrodzie i karmieniem taty, mama dwa razy w tygodniu pracowała jako ochotniczka w bibliotece. Uwielbiała czytać powieści. Tato siedział i oglądał mecze w telewizji z głosem ustawionym na cały regulator, a ona zagłębiała się we własny świat. Wydaje mi się, że przez wszystkie lata pracy w szkole wykształciła w sobie umiejętność wyłączania się na zawołanie.

W sumie byłam zdania, że rodzice mi się całkiem udali. Nie byli wyrafinowani, nie byli bogaci, ale byli mili i kochający, i nadal razem, mimo okazjonalnych ostrych kłótni, których, dzięki Bogu, już nie bywałam świadkiem.

- Spotykasz się z jakimś miłym chłopcem? - zapytała mama.
- Aktualnie nie.

Opowiedziałam jej o nieoczekiwanym końcu mojej znajomości z Wade'em.

- Wciąż myślę o tym biologu. Biedny chłopiec. Spojrzałam na nią z dezaprobatą.

- Biedny? A co ze mną? To mnie powinnaś żałować. Machnęła ręką.

- Ty jesteś silna, zawsze sobie poradzisz. Ale ten biedny chłopak... Musi być bardzo nieszczęśliwy. Zamierzasz pozostać z nim w kontakcie, zaprzyjaźnić się?

- Nie! Na Boga, mamó, czemu miałabym to zrobić?

- Bo mi się zdaje, że on potrzebuje przyjaciół.

- Nie powinien mnie okłamywać. Trzeba było wszystko od razu powiedzieć.

- Biedaczek.

- Nie zrobiłam nic złego! - Wzbudzała we mnie poczucie winy, a to ja byłam ofiarą. Prawda? - Nie chcę się z nim przyjaźnić. Tak naprawdę niewiele nas łączyło.

- To dlaczego się z nim umawiałaś? Powinnaś się przyjaźnić z mężczyzną, z którym się spotykasz. Wiesz, namiętność nie trwa wiecznie. Kiedy znika, potrzebna jest przyjaźń.

- Twoim zdaniem, ty i tata jesteście przyjaciółmi? Nabrała ciasta na łyżkę i rzuciła je nierówno na blachę.

- Dajemy sobie pociechę, wspieramy się.

- Mamó?

Pociecha i wsparcie? To wszystko? Uśmiechnęła się, moim zdaniem, raczej smutno.

- Wybierz kogoś, z kim będziesz mogła rozmawiać.

- Ty i tato się kochacie, prawda?

- Oczywiście, że kocham twojego ojca. Tylko że trudno się z nim rozmawia.

Dodałam wody i cukru do rondelka z pokrojonymi jabłkami, a potem postawiłam go na ogniu. Idealistyczna wizja moich rodziców straciła swoją różową barwę.

Nie chciałam tak naprawdę słyszeć o rozczarowaniach małżeńskich mojej mamy. Chciałam myśleć, że ich życie było i jest szczęśliwe i pełne zadowolenia. Chciałam myśleć, że to samo czeka mnie, kiedy już znajdę właściwego faceta.

A już szczególnie nie podobała mi się myśl, że kiedy moja mama siedziała w fotelu z powieścią Jackie Collins, to tak naprawdę w duchu marzyła, by tato wyłączył telewizor i z nią porozmawiał. Od jak dawna mama tęskniła za czymś, czego nie miała?

Czy istnieją w ogóle szczęśliwe małżeństwa, kiedy się im przyjrzeć z bliska?

Może lepiej, jak zostanę samotna i bezdzietna.

Lecz nie, to też mnie nie pociągało. Zbyt łatwo mogłam sobie wyobrazić przyszłość wypełnioną dzień po dniu poprawkami krawieckimi, tysiącami spodni do przeszycia, projektami sukien dla drухen, fast-rygowaniem poszewek na poduszki.

Mogłabym spędzić następne pięćdziesiąt lat w ciasnym mieszkanku, otoczona ubraniami innych ludzi, nigdy nie przekraczając minimum socjalnego, nigdy nie odkładając tyle, by móc kupić dom albo wybrać się na prawdziwe wakacje. A kiedy osiągnęłabym wiek, gdy moje palce pokręciłyby artretyzm, musiałabym przestać szyć. Pewnego dnia bym umarła jako zapomniana stara kobieta, której nie miałby kto opłakać.

Fe! To dopiero przygnębiająca myśl. Gdy ma się męża, przynajmniej jest na kogo utyskiwać i kogo obwiniać za swoje kłopoty.

Nakryłam stół ręcznie haftowanym, lnianym obrusem,

zastawiłam go, po czym wróciłam do salonu i opadłam na sofę. Tato oglądał turniej golfa; według mnie golf był stosunkowo najmniej irytującym sportem w telewizji. Nawet komentatorzy mówili przyciszonymi głosami.

Siedzieliśmy z tatą w milczeniu i przyglądaliśmy się brzuchatym mężczyznom w obwisłych ubraniach.

- Hej, tato.

- Taaa? - mruknął, nie odrywając oczu od ekranu.

- Gdybyś miał mi doradzić, za jakiego typu faceta mam wyjść, to co byś mi powiedział?

- Co?

- Tato, jesteś tam? - zapytałam, machając ręką. W końcu oderwał wzrok od telewizora.

- Nie wiem.

- Przestań, tato, musisz mieć szczyptę mądrości, którą mógłbyś się ze mną podzielić.

- Nie jestem w tym dobry.

Wpiłam się w niego wzrokiem, nie pozwalając mu wrócić do oglądania telewizji. Chciałam, żeby powiedział coś więcej. Długo żył na tym świecie, pracował z mnóstwem mężczyzn. Powinien co nieco wiedzieć.

- Wyjdź za kogoś, z kim lubisz spędzać czas.

- I nieważne, czy ma dobrą pracę? Tato wzruszył ramionami.

- Nie. To musi być ktoś, kogo towarzystwo lubisz. Nie wiem, co ci jeszcze powiedzieć.

To chyba miało swoje zalety. W końcu, jeśli nie lubi się z kimś przebywać, to po co za niego wychodzić? Lecz z drugiej strony, gdy człowiek jest w kimś zakochany, nawet w ofierze losu, która wpakuje ich oboje w kłopoty, to pewnie zawsze lubi jego towarzystwo. Dobra praca mogłaby, moim zdaniem, nieść jakieś pocieszenie.

- Jak myślisz, dlaczego mama się w tobie zakochała?

Zamrugął, a potem jego oczy się zamglily. Pograżył się we wspomnieniach, ściągnął brwi, jakby próbował znaleźć odpowiedź.

- Tak naprawdę to nie wiem - odezwał się w końcu. - Chyba po prostu miałem szczęście.

- A czemu ty się w niej zakochałeś?

- Była najładniejszą, najmiłą i najbystrzejszą dziewczyną, jaką znałem - odpowiedział z łagodnym wyrazem twarzy.

Zapatrzył się w przestrzeń. Znowu zmarszczył brwi.

- Ale dlaczego ona się we mnie zakochała?

*POLIESTROWY BROKAT Z PODWIĄZKAMI*

To był długi dzień. A teraz utknęłam w korku między Hillsboro i Beaverton, dwiema dzielnicami podmiejskimi słynącymi z korków. Samochody sunęły wolno na drugim biegu. Żeby pokonać skrzyżowanie, trzeba było średnio trzech zmian świateł.

Od 8.30 rano spalałam benzynę na trasie od Vancouver po Wilsonville, od śródmieścia do granic miasta. To był jeden z tych dni, kiedy okazywało się, że wszyscy moim klienti mieszkają i pracują z dala od siebie, a tylko dziś mogli mnie wcisnąć w swój harmonogram.

Na wieszaku na tylnym siedzeniu wisiały ubrania warte jakieś trzy tysiące dolarów. Szpilkami zaznaczono, ile trzeba skrócić rękawy, jak założyć zaszewki sukienek, jak podszyć brzegi; były tam wełniane spodnie i skórzane marynarki potrzebujące podszewki; pewna kobieta dała mi garsonkę od znanego projektanta i poprosiła o uszycie spodni ze spódnicy i żakietu. Podobał się jej materiał. Ktoś inny powierzył mi delikatną, wykonaną z czarnego aksamitu pelerynę operową z lat dwudziestych, żeby uszyć jej kopię.

Wykonanie tych zleceń zabierze mi ponad tydzień,

włączając w to wyprawy do sklepu z tkaninami, co oznaczało zwłokę, do której zaczynałam się już przyzwyczajać. Moja firma kwitła, czułam się nieco bezpieczniej pod względem finansowym, ale jednocześnie miałam coraz większą skłonność do marnowania czasu. To zły nawyk, będę musiała zwrócić na to pilniejszą uwagę.

Chociaż teraz, tkwiąc w korku, nie miałam nic do roboty. Mogłam bez wyrzutów sumienia pograć się w marzeniach na jawie. Tylko że od razu zaczęłam myśleć o zębie, który zrobił się wrażliwy na zimno i sprawiał, że się krzywiłam, gdy jadłam czekoladę. Obawiałam się, że to po prostu może oznaczać dziurę.

Próbowałam myśleć o czymś innym. Włączyłam stację z muzyką z lat osiemdziesiątych i zaczęłam zawodzić do „Girls Just Want to Have Fun” (Dziewczyny chcą tylko dobrze się bawić) Cyndi Lauper, chociaż tak naprawdę nie wkładałam w to serca.

Zabawa. Niewiele tego miałam, prawda? Od porażki z Wade'em z nikim się nie umawiałam. Przez kilka dni podejrzliwie traktowałam Internet, nie sprawdzałam swojej skrzynki pocztowej, a kiedy to w końcu zrobiłam, znalazłam w niej kilka niemiłych listów od facetów, wściekłych, że im nie odpisałam. To wywołało we mnie trwałą niechęć i od tego czasu nie sprawdzałam poczty.

Byłam napalona, tęskniłam za mężczyzną, ale w polu widzenia nie było żadnego rozwiązania. Żadnej zabawy. A może?

Z posepnego mroku przede mną wynurzył się falliczny wieżowiec, którego zarys podkreślały drobniutkie białe lampki świąteczne. Podświetlony szyld poniżej głosił: „Purpurowy Pałac,” a mniejsze, drukowane litery informowały: „Sklep dla dorosłych”.



Tkwiąc w korku, miałam mnóstwo czasu do zastanowienia, nim dotarłam do wjazdu na parking. Nigdy nie byłam w takim miejscu. Wydawało mi się, że przychodzili tu głównie mężczyźni w średnim wieku. Wyobraziłam sobie ustronne kabiny filmowe na tyłach, wyposażone w dozowniki chusteczek i winylowe fotele. Wyobraziłam sobie tablicę ogłoszeń z nazwami i numerami telefonów agencji towarzyskich i rząd stojaków wypełnionych pornograficznymi magazynami. Lecz wyobraziłam sobie również wibratory i sztuczne penisy.

Kiedyś miałam wibrator, zamówiony z katalogu dla kobiet, ale wysiadł podczas użytkowania. Wciąż go miałam, bo paranoicznie się bałam, że właśnie tego dnia, kiedy go wyrzucę, rozsypią się śmieci i ten różowy przedmiot wypadnie na środku ulicy, prosto pod koła jadących na rowerze dzieci, które go podniosą i zapytają, co to jest. Albo jeszcze gorzej, będzie mnie właśnie mijał przystojny facet uprawiający jogging, który bez trudu rozpozna, co to za przedmiot.

Chciałam zamówić drugi wibrator, ale każda nadchodząca paczka spotykała się z zaciekawieniem Cas-sie. I chociaż ona pewnie entuzjastycznie poparłaby kupno wibratora, jakoś nie mogłam znieść myśli, żeby o tym wiedziała. Nie miałam ochoty omawiać ze współlokatorką moich obyczajów masturbacyjnych.

Parking był prawie pusty. Kilka okien zasłonięto od wewnątrz papierem. Budynek był nowy i mógłby udawać sklep z elektroniką albo, odrzucając wieżyczkowy szczyt, dziecięcą pizzerię.

Serce łomotało mi w piersi, gdy znalazłam się koło skrzyżowania. Czy naprawdę to zrobię?

Wrzuciłam kierunkowskaz i skręciłam. Powtarza-

lam sobie, że dzięki temu opuszczę drogę, a potem korek się rozluźni. A jeśli nic nie kupię, będę mogła rozbawić przyjaciół, opowiadając im o tej wizycie.

Na drzwiach wisiało ogłoszenie, że trzeba mieć dwadzieścia jeden lat, aby wejść do środka. Ścisnęłam kurczowo torebkę. Byłam ciekawa, czy będą sprawdzali dowód tożsamości.

Pchnęłam drzwi. Przywitała mnie rażąca biel. Jarzeniówki odbijały się od białych ścian i białej terakotowej podłogi tak oślepiająco, że nie powstydziałaby się tego efektu sieć sklepów Target lub K-Mart. Krępa kobieta siedziała w środku okrągłej wysepki kasowej i czytała książkę. Podniosła głowę i uśmiechnęła się do mnie.

- Dzień dobry.

- Dzień dobry - odpowiedziałam.

Dlaczego musiała zwrócić na mnie uwagę? Nie powinna być taka głupia. Powinna pozwolić klientom wślizgnąć się do środka i zaszyć w kącie.

- Jeśli mogę w czymś pomóc, proszę mnie zawołać.

- Dobrze. Dziękuję.

Ruszyłam chyłkiem pierwszą alejką. W czym niby mogłaby mi pomóc? Miałabym ją zapytać: „Przepraszam, czy mogłaby pani polecić dobry wibrator? Zależy mi na umiarkowanej giętkości, regulacji prędkości, ale przede wszystkim na niezawodności. Zamierzam często go używać i nie chcę, żeby się zepsuł. Możliwość pobudzania punktu G? Ależ tak, to by było miłe”.

Alejką, którą wybrałam, mogła zaspokoić artystę sadomasochizmu w każdym z nas. Ze ścian zwieszały się pasy i kajdanki, pierścienie ze skóry, metalu, poliestrowe siatki oraz sztuczne futro lamparta. Zatrzymałam się na chwilę przed kompletem dużych, przezroczystych przyssawek z pierścieniami do używania

pod prysznicem lub w kąpielni. Wyglądały na coś, czego mógłby używać Człowiek-Pająk.

Gdyby były tu Louise i Cassie, niezłe byśmy się ubawiły. Ale sama... wyobraziłam sobie, że jestem skrepowana w dużej wannie, a jakiś anonimowy mężczyzna polewa moją pachwinę ciepłą wodą. Oooh...

Czmychnęłam z tej alejki i znalazłam się w sekcji kaset wideo, w części dla gejów. Wzięłam pierwszą z brzegu: „Dzicy w lesie”. Aktorów porastało gęste owłosienie. Dlaczego Wade tak nie wyglądał? Chociaż jemu pewnie ta kasetka podobałaby się bardziej niż mnie.

Na górze stojaka umieszczono półmetrowego, lawendowego penisa z pluszu, coś, co można by wygrać na odpuszczeniu. Obok stała para wielkich, zielonych, pluszowych piersi z paskiem, dzięki któremu można je było zawiesić na szyi.

Uśmiechnęłam się. Odrobinę się rozluźniłam. Właścicielom „Purpurowego Pałacu” nie brakowało poczucia humoru.

Poszłam dalej. Usłyszałam jakieś głosy. Podniosłam głowę i zobaczyłam parę dwudziestolatków oglądających środki nawilżające.

Dwie kobiety w moim wieku przeglądały sprośne kartki z życzeniami. Inna młoda para oglądała bieliznę. Nie było tu żadnych samotnych mężczyzn. Ani starszych.

Nic nie było takie, jak oczekiwałam. Wszyscy wyglądali tak jak ja, tylko zachowywali się swobodniej. Nie było powodu do zażenowania, ale wciąż nie potrafiłam poradzić sobie z pragnieniem przycupnięcia gdzieś w kącie.

Zmusiłam się, by przejść do działu z wibratorami.

Zwolniłam na widok zabawek dla chłopców. Były tam lateksowe usta na baterie wykończone gumowymi wypustkami, które przypominały setki zębów.

Ruszyłam dalej. Znalazłam plastikowe koraliki na żyłce służące do wciskania w odbyt, wibrujący palec (trzeba być strasznie leniwym, żeby kupować coś takiego), dłoń, która wyglądała, jakby odpadła manekinowi. Były też sztuczne penisy.

Penisy w rozmiarach, jakich nigdy nie widziałam i nie potrafiłam sobie wyobrazić ich zastosowania; chyba że ktoś chciał trzymać jeden koło drzwi na wypadek najścia intruza.

Widok kobiety dzierżącej w dłoni jedno z tych monstrów wystarczyłoby, żeby odstraszyć każdego mężczyznę. A jeśli nie, to starczyłoby walnąć go tym w skroń i straciłby przytomność.

Już widziałam nagłówek w gazecie: „Kobieta obezwładnia napastnika gigantycznym penisem!” I sam artykuł: „Zdaniem policji, silikonowe penisy są lepszym narzędziem obronnym niż pistolety. Giętkością przypominają gumowego węża i nie zostawiają żadnych śladów poza czerwoną szramą. Atak ogromnym penisem jest znany na ulicach i potocznie określany jako smaganie bananem”.

Kusiło mnie, żeby kupić jeden z gigantów, ale ten, który mi się podobał - z groteskowymi, grubymi na palec żyłami po bokach - kosztował osiemdziesiąt pięć dolarów. Szkoda.

W sekcji wibratorów nikogo nie było. Dokonałam wyboru najszybciej, jak potrafiłam. Przez chwilę się zastanawiałam, jaką średnicę wybrać. Jeśli wezmę za małą, to jaki to ma sens? A jeśli za dużą, to będzie niewygodnie.

W końcu wybrałam jeden z zagiętych, które miały docierać do punktu G. Z radością ominęłam różowe z małymi, lateksowymi zwierzątkami przykucniętymi u nasady, których języki był wysunięte, żeby lizać lechtaczkę.

Ruszyłam w stronę kasy z pudełkiem w ręku obróconym przezroczystą stroną do mnie, tak żeby nikt nie mógł widzieć, co niosę. Kobieta siedziała przy kasie, ale była zajęta zakupami jednej z par. Postanowiłam poczekać, aż sobie pójdą, i schowałam się w sekcji z bielizną.

Był tu cały asortyment kiepskich gorsetów, które przyciągnęły moje oko. Niektóre były niemal ładne, uszyte z białego brokatu wykończonego u góry marszczeniem. Były takie, które kosztowały nawet więcej niż gigantyczny sztuczny penis. Przyjrzałam się ich konstrukcji i uznałam, że bez trudu sama potrafiłabym taki uszyć, zakładając, że będę kiedykolwiek miała okazję włożyć coś takiego.

Spojrzałam w stronę kasy. Para zniknęła. Jak również kasjerka. Przy kasie stał teraz pryszczaty facet, który nie mógł mieć więcej niż dwadzieścia dwa lata. Drapał swoją podrażnioną skórę.

O rany. Tak jak w sklepie spożywczym: zawsze kupowałam paczkę tamponów, gdy za kasą stał nastolatek, a pakowaniem zajmował się jego chichoczący kolega.

To jest seks shop. Zadanie tego faceta polega, na przyjmowaniu opłat za różne przyrządy i kasety wideo. Nie będzie żadnej kłopotliwej sytuacji, żadnego chichotania ani uśmieszków.

Zmusiłam się, by podejść do kasy, i położyłam pudełko celofanem do góry.

- Znalazła pani to, czego pani szukała? - zapytał chłopak, przyciągając pudełko bliżej siebie.

- Tak. Odwrócił je.

- Właśnie dostaliśmy ten model. Jeszcze nie wiemy, czy się spodoba klientkom, ale to dobra firma.

Czemu on się nie zamknie? Bądź cicho! Spod kontuaru wyciągnął koszyk pełen różnych baterii.

- Mimo to mamy obowiązek sprawdzania każdego egzemplarza, zanim go sprzedamy. Czasem coś nie działa.

Patrzyłam przerażona, jak otwiera pudełko i wyciąga mój wibrator ręką, która wyciskała pryszcze. Odkręcił go u podstawy i wsunął do środka dwa paluszki.

W kolejce za mną stanęła para.

Sprzedawca włączył regulator szybkości. Sprawdził wolne, średnie i szybkie obroty. Wibrator nie działał. Przerzucił go z ręki do ręki, potrząsnął i popatrzył zmrużonymi oczami na biały, plastikowy przedmiot wycelowany w niego niczym zagięty palec.

- Może pójde po drugi? - zapytałam, choć słowa z trudem przechodziły mi przez gardło.

- Nie, proszę chwilę poczekać.

Znowu odkręcił podstawę, przyjrzał się bateriom, po czym wyjął jedną, odwrócił ją i włożył z powrotem. Tym razem zadziałało. Wibrator zaszumiał.

- Proszę. Jest całkiem cichy, prawda? To dobra marka - powiedział.

- Yhm - odparłam, co miało oznaczać przytakiwanie. Miałam ochotę wepchnąć mu go do gardła. Dla mnie

brzmiał jak motocykl bez tłumika. Na plecach czułam wzrok pary przyglądającej mi się z zainteresowaniem.

Wyjęłam pieniądze, podczas gdy kasjer wyciągnął baterie i włożył wibrator z powrotem do pudełka. Przyszło mi do głowy, że przed użyciem będę go musiała wygotować, żeby pozbyć się zarazków.

- Czy wpisać panią na naszą listę adresową? - zapytał, gdy zapłaciłam.

- Nie! - powiedziałam.

Złapałam torbę i rzuciłam się do drzwi, unikając wzroku czekających w kolejce.

Wypadłam na zewnątrz, na zalany ostrym światłem parking. Bardzo, bardzo ostrym światłem. Oraz zatłoczony skandującym tłumem.

Pikieta.

Dwadzieścia kilka kobiet maszerowało w kółko z transparentami:

„Nie chcemy seks shopów koło szkół!”

„Chrońmy nasze dzieci!”

„Czy chcesz mieć TO w swojej okolicy?”

„Dzieci + porno = zły pomysł!”

Źródłem jasnego światła były wozy reporterskie.

O rany! Myślałam, że zemdleję.

Próbowałam przemknąć koło protestujących. Większość z nich wyglądała na kury domowe, których życie obsesyjnie obraca się wokół dzieci. Były jakieś dwa metry od mojego samochodu, który na drzwiach miał napis: „Usługi Krawieckie Hanny” oraz mój numer telefonu.

Już prawie dobiegłam do drzwi, gdy nagle ktoś zaświecił mi prosto w oczy i stanęła przede mną kobieta w kurtce z Gore-Texu, z logo jednej z lokalnych stacji telewizyjnych. W ręce trzymała mikrofon.

- Jako stała klientka „Purpurowego Pałacu” co pani myśli o jego położeniu w pobliżu szkoły podstawowej? - zapytała.

- Stała klientka? - powtórzyłam przerażona. Reporterka spojrzała na torbę, którą trzymałam kurczowo w ręce.

- Czy, pani zdaniem, ten sklep stanowi zagrożenie dla dzieci?  
Rozejrzałam się dookoła, szukając pomocy.

- Dzieci...?

- Cztery przecznice stąd mieści się szkoła. Czy „Purpurowy Pałac” im nie zagraża? Czy to nie przyciąga zboczeńców?

- Nie wydaje mi się, że bym widziała tam jakichś zboczeńców - odparłam, grzebiąc w torebce w poszukiwaniu kluczyków i starając się jednocześnie zasłonić napis na samochodzie.

- Dzieci codziennie przechodzą tędy w drodze do szkoły.

- Tak? - mruknęłam. Wreszcie wsunęłam klucz do zamka i nie byłam w stanie się skoncentrować.

- A więc pani to nie przeszkadza?

- Przecież by ich nie wpuszczono do środka - powiedziałam nieco odważniej, bo czułam już wolność na wyciągnięcie ręki. Otworzyłam drzwi auta. - Założę się, że dzieci mają łatwiejszy dostęp do pornosów, które są chowane w domach przez ich ojców.

Wskoczyłam za kierownicę i zatrzasnęłam drzwi. Mam nadzieję, że vibrator okaże się tego warty.



*BIAŁA SATYNA*

- Mogę pożyczyć twoje żelazko? - zapytała Cassie, stając w drzwiach szwalni z białą koszulą do pracy przerzuconą przez ramię.

- Pewnie.

Miałam profesjonalne żelazko parowe oraz mocną deskę do prasowania, która się nie składała. Ucieszyłam się, że zapytała; kiedyś tego nie zrobiła i jakimś sposobem umazała powierzchnię żelazka szarą, kleistą mazią. Kiedy następnym razem użyłam żelazka, maź przeniosła się na jedwabną sukienkę klientki.

- Szyjesz sukienkę ślubną?

Siedziałam na podłodze w otoczeniu wielu metrów białej satyny. Przykładałam do niej cienkie, papierowe wykroje.

- Tak. Ta kobieta wychodzi za mąż po raz trzeci, jeśli możesz w to uwierzyć. Skąd niektóre mają tyle szczęścia?

- Twoim zdaniem to szczęście, że się dwa razy rozwiodła? - zapytała Cassie, rozkładając swoją koszulę na desce.

- Chodzi mi o to, że miała dość szczęścia, żeby znaleźć trzech facetów, którzy chcieli się z nią ożenić.

- Ale co to za faceci?

- Stroisz sobie żarty - poskarżyłam się.

- Nie pozwalałam ci bujać w obłokach.

To zabawne słowa, zwłaszcza w jej ustach.

- A co powiesz na to: ona twierdzi, że jej młodsza siostra uszyła sobie suknię ślubną i zaplanowała wesele, gdy wciąż jeszcze była samotna. No i pojawił się facet, zakochali się w sobie i zdążyli ze ślubem na termin zarezerwowanej sali weselnej. Możesz w to uwierzyć?

Żelazko dmuchnęło parą na kołnierzyk koszuli.

- Była gotowa i wiedziała o tym.

- Ale uszyć sobie wcześniej sukienkę! I wpłacić zaliczkę za wynajęcie sali!

- Dokładnie tak, jak mówiłam. Kiedy będziesz gotowa, pojawi się właściwa osoba.

- Dobrze by było się z tym pośpieszyć - zrzędziłam.

- Im bardziej tego chcesz, tym dalej od tego jesteś.

- Nie rozumiem.

Wzruszyła ramionami i skończyła prasowanie.

- A ty masz jakieś perspektywy? - zapytałam. Na jej wargach zatańczył cień uśmiechu.

- Cass! Opowiadaj!

- Nie spodobałby ci się. Pracuje ze mną w pubie.

- Dlaczego by mi się miał nie spodobać?

- Ma długie włosy. I jest młodszy.

- O ile? - zapytałam.

- Ma dwadzieścia cztery lata. Wykrzywiłam wargi.

- Dwadzieścia cztery? Okropne. Co cię ciągnie do faceta, który jest osiem lat młodszy od ciebie? Rany, mało ci, że sama jesteś taka stara? Dwadzieścia cztery to praktycznie jeszcze nastolatek.

- Wiedziała, że coś takiego powiesz. Zagryzłam pokazowo wargę.  
- Przepraszam. Musi być w nim coś dobrego, skoro go lubisz. W wieku dwudziestu czterech lat jest jeszcze blisko szczytu możliwości seksualnych.

- Wiem - powiedziała z uśmiechem.

- Co robi, poza pracą w pubie?

- Jest muzykiem i pisze piosenki.

Starłam się zachować spokój i przyjazną minę.

- Poza tym kończy studia na PSU. Chce być nauczycielem.

- Och, to brzmi nieźle.

Posłała mi znaczące spojrzenie, a ja próbowałam wyglądać niewinnie. Według niej zbyt dużą wagę przywiązywałam do jego celów zawodowych. Z radością zamieszkałaby w takim ciasnym domu jak ten i słuchała, jak jej pracujący dorywczo kochanek brzdąka na gitarze swoje piosenki.

Jak zwykle nie wiedziałam, kto tu jest szalony: ona czy ja.

- Obiecuj, że jeśli zrobi się z tego coś poważnego, przyprowadzisz go do domu - poprosiłam. - Moglibyśmy zjeść kolację czy coś w tym rodzaju.

- Oczywiście, mamusiu.

- Jak ma na imię? - zapytałam, gdy wychodziła z pokoju.

- Jack.

Jack, dwudziestoczteroletni student i muzyk. Cóż, jeśli tylko jest szczęśliwa...

Wróciłam do pracy nad sukienką. Przypinałam szpilkami fragmenty wykroju, a potem je wycinałam, dwa lub trzy razy sprawdzając, czy się nie pomyliłam. Mięsiasta jedwabna satyna kosztowała na wyprzedaży

trzydzieści dwa dolary za metr, więc nie chciałam popełnić błędu.

Wciąż chodziła mi po głowie historia o dziewczynie, która uszyła sobie sukienkę i zaplanowała wesele. Czy naprawdę, gdy przychodzi właściwy moment, jest to oczywiste? Czy wyczuwa się to instynktownie? A jeśli tak, dlaczego ja nie byłam w sposób naturalny świadoma, że jeszcze nie jestem gotowa na spotkanie z moim partnerem?

Czułam się bardziej niż gotowa.

A może Cassie nie ma racji. Może to wcale nie jest kwestia gotowości i pojawienia się tej właściwej osoby. Może rzecz polega na wzięciu spraw w swoje ręce, na wysłaniu odpowiedniej energii, poinformowaniu świata, że jestem pewna, iż wszystko potoczy się zgodnie z moimi oczekiwaniami.

Ta dziewczyna musiała być bardzo zdeterminowana. Gotowa sukienka oraz sala weselna...

Odłożyłam nożyczki i podeszłam na czworakach do chybota biblioteczki stojącej przy ścianie, gdzie przechowywałam stertę grubych na palec magazynów ślubnych.

Na wszystkich tych stronach znalazłam zaledwie sześć czy siedem sukienek ślubnych, które mi się podobały, i żadnej, którą zaakceptowałabym dokładnie taką, jaka była. Otworzyłam pisma na zaznaczonych stronach i przyjrzałam się strojom. Podobał mi się wysoki stan jednej z nich, koronka na podszewce w drugiej, rękawy z pęknięciami w trzeciej. Była też para butów w kolorze złamanej bieli barokowo naszywanych koralikami, które aż się prosiły, żeby je skopiować.

*Jeśli ją uszyjesz, on się zjawi.*

Myśl przeleciała mi przez głowę niczym szept bogów.

Skoro to działało w przypadku Kevina Costnera i graczy w baseball, to czemu nie miałyby zadziałać u mnie i mojego narzeczonego?

Poza tym był to rodzaj higieny psychicznej. Czasem mi się wydawało, że chcę wyjść za mąż tylko ze względu na suknię. Kiedy zniknie ta potrzeba, będę dążyła do małżeństwa z właściwych powodów.

Zaoszczędzi mi to też mnóstwo czasu, gdy przyjdzie czas na planowanie wesela. Mając gotową sukienkę, będę mogła skoncentrować się na układaniu kwiatów i ustalaniu menu.

Złapałam długopis oraz kartkę papieru i zaczęłam szkicować moją wymarzoną suknię.

To było wybitnie rozsądne posunięcie.

*PASKUDNY SWETER*

- Chodziła z tą łupinką od prażonej kukurydzy pod dżiastem przez przynajmniej miesiac - powiedzial Scott. - Zrobil sie stan zapalny, zaczelala sie saczyc ropa i krew...

- Przestań, na Boga!

- Naprawde powinnaś wybrać sie do kontroli.

- Kiedy na to zarobie - odparlam, odrywajac kawalek cynamonowego rogalika z odchylonym na bok malym palcem, jakby to moglo ocalic inne palce przed ubrudzeniem syropem.

Siedzieliśmy na stolkach przy jednym z malutkich stolikow w piekarni w Pioneer Place, centrum handlowym w srodku miasta. Scott mial pare wolnych godzin i poprosil mnie, bym wybrala sie z nim na zakupy. Twierdzil, ze zupełnie sobie nie radzi w sklepach z męską odzieżą i potrzebuje rady eksperta.

Co nie znaczy, ze zawsze stosowal sie do moich zalecen. W jednej z toreb, które lezaly na podlodze pod naszymi nogami, tkwil sweter w okropnym zestawie kolorow ziemi, które przenikaly sie niczym na zasypanej nitkami macie na podlodze mojej szwalni.

- Dam ci zniżkę - powiedzial.

- Nie chcę, żebyś mi zaglądał w usta.
- No to Neena. Ona może to zrobić.
- Zastanowię się nad tym - odpowiedziałam.

Spotkałam kiedyś współpracowniczkę Scotta, drobną Indiankę, i bardzo ją polubiłam. Miała łagodny głos i emanowała spokojem, mimo że wedle słów Scotta czasami entuzjastycznie podchodziła do robienia czegoś, co wcale nie było absolutnie konieczne. Wynikało to z perfekcjonizmu, a nie zachłanności na honoraria.

Jednakże ja nie chciałam, żeby ktokolwiek grzebał mi w zębach, a już na pewno nie miałam ochoty na robienie z nimi czegokolwiek ponad to, co niezbędne. Nadal męczył mnie wrażliwy na zimno ząb, ale z zapamiętaniem wmawiałam sobie, że to nic takiego. Nie było przecież powodu, by wystawiać go na pastwę ludzi wyposażonych w ostre, metalowe narzędzia.

- A co słyhać u ciebie i pani prokurator? - zapytałam, żeby zmienić temat. - Louise twierdzi, że umówiliście się już trzy czy cztery razy.

- Dwa.

- I?

- I co? Jest inteligentna, wydaje się interesująca, ale tak naprawdę jeszcze jej nie znam.

- Ale spotkasz się z nią znowu?

- Tak. Czemu nie?

- Nie pałasz wyjątkowym entuzjazmem.

- Sam nie wiem... To mogłoby wypalić. Tylko na razie nie mam pewności.

- A przecież zawsze się to wie, prawda? Od samego początku - powiedziałam.

- Ja nie wiem.

- Pewnie, że wiesz. To za każdym razem jest ta rzecz, nad którą zastanawiałeś się na początku, to, co

wzbudziło w tobie wątpliwości. Narasta i narasta, aż w końcu niszczy związek i zostajesz sam, zastanawiając się, dlaczego po prostu nie posłuchałeś głosu instynktu.

- Moim zdaniem, nie można wiedzieć od razu. Uważam, że istnieje coś takiego, jak nagłe zauroczenie, ale sprawdzenie, czy ktoś będzie dobrym partnerem, zabiera dużo czasu.

- W takim razie może na tym właśnie polega różnica między kobietami i mężczyznami.

- Zakochałaś się kiedyś w kimś, kto cię nie pociągał od pierwszej chwili?

Ścisnęłam rogalika cyjamonowego na myśl o żalosalnej historii moich randek.

- W ilu facetach się w ogóle zakochałam? - powiedziałam, patrząc mu w oczy. - Może w dwóch? To znaczy, tak naprawdę się zakochałam, a nie tylko spotykałam się przez jakiś czas. Dwóch facetów w niemal piętnastoletniej historii umawiania się z mężczyznami. Smutny wynik.

Zaczynało mnie ogarniać przygnębienie. Prawie rok minął od rozpadu mojego ostatniego związku: czy minie następne sześć lat, zanim dostanę kolejny przydział miłości?

- Mnie się to wydaje zupełnie normalną średnią.

- A ile razy ty byłeś zakochany? - zapytałam.

- Trzy albo cztery razy. Nie zawsze z wzajemnością.

- Ojjoj, jak można cię nie kochać?

- Też tego nie rozumiem. W końcu moja kobieta miałaby darmową opiekę dentystyczną do końca życia. Jak można przepuścić taką okazję?

- I jest jeszcze ten męski samochód.

- Może powinienem popracować trochę nad swoim pakietem.



- Czym?

- Pakietem. Ofertą. Tym, co mogę dać.

- Scott! Twój „pakiet” jest jak najbardziej w porządku. Jesteś w świetnej formie, masz dobrą pracę, jesteś uprzejmy, dobrze ubrany, nie masz złych nawyków poza obsesją na punkcie Tater Totów. Ta laska od prawa ma na ciebie ochotę. Skąd podejrzenie, że z twoim „pakietem” coś nie gra?

Utkwił wzrok w resztkach kawy na dnie filiżanki i wzruszył ramionami. Prychnęłam.

- A mówi się, że to kobiety nie wierzą w siebie.

*NIEBIESKI MUNDUREK*

- Lubisz łowić ryby?

- Słucham? - powiedziałam, odwracając się od gigantycznego akwarium z łososiami.

Nie do wiary, odezwał się do mnie młody facet tak szeroki w ramionach, że można by na nich wygodnie spać.

- Lubisz łowić? - zapytał jeszcze raz.

- Och! Nie robiłam tego od dzieciństwa. Ale lubię patrzeć na ryby. Są ładne, takie srebrzyste i falujące - odparłam, przeciągając słowo: faa-luu-jaą-cee.

Dotarło do mnie, że zabrzmiało to tak, jakbym była kompletną idiotką. Nie mogłam wymyślić czegoś jeszcze głupszego? Może. Facet był wspaniały, a cała moja inteligencja skupiła się w innym miejscu.

Byłam sama na wystawie Sportsman's Expo. Zobaczyłam reklamy w telewizji i gazetach. Pomyślałam, że to doskonała sceneria do polowania na mężczyznę. Ani Louise, ani Cassie nie chciały iść ze mną. Uznałam, że jestem zbyt nieśmiała na samotną wyprawę, dlatego zrezygnowałam z ekspedycji. Pocieszałam się, że i tak będą tam same mięśniaki.

Lecz potem, wracając do miasta po umówionym

spotkaniu, przejeżdżałam koło centrum wystawowego Expo Center i gdy zobaczyłam tam mnóstwo samochodów na parkingu, opanowało mnie to samo szaleństwo, co pod „Purpurowym Pałacem”. Sama nie wierząc w to, co robię, skręciłam na parking.

Mogłam tylko mieć nadzieję, że ta przygoda nie będzie równie kłopotliwa, co wizyta w „Purpurowym Pałacu”. Dobrze, że dzięki opiece łaskawych bogów wywiad ze mną nie został wykorzystany w czasie programu telewizyjnego.

Jeszcze nie użyłam wibratora. Odechciewało mi się na samą myśl o tym, co tam przeżyłam, nie wspominając o sprawie bakterii na rękach sprzedawcy.

A teraz oto znalazłam się tutaj: samotna kobieta w morzu aluminiowych łódek i wśród lasu sprzętu łowieckiego. Była tu sadzawka dla pstrągów, żeby dzieci mogły poćwiczyć łowienie, odbywały się pokazy znajdujących przynęty psów myśliwskich, stały namiotowe miasteczka i tyle różnorodnego sprzętu turystycznego, że Scott byłby zachwycony.

A teraz pojawił się ten facet, który wyglądał na młodszego ode mnie. Jedną ręką oparł się o podstawę stojącego na podwyższeniu akwarium z łososiami. Był tak blisko mnie, że czułam zapach jego wody po goleniu.

Przypomniałam sobie rozmowę ze Scottem o nagłym zauroczeniu. Nigdy nie czułam tego równie silnie, jak w tej chwili. Jakie by to było uczucie, gdybym dotknęła tych ramion?

- Ja sam nie łowię. Przyszedłem z kolegami. Ale mają tu całkiem niezły sprzęt do pieszych wędrówek. Widziałaś?

Bez wątpienia zaproszenie.

- Nie, jeszcze nie.

Wziął mnie pod rękę, a ja ledwie powstrzymałam się, by nie przyłgnąć do niego całym ciałem, gdy tak ciągnął mnie w stronę rzeczonoego sprzętu. Był taki przystojny, że moim zdaniem, samo dotknięcie ramienia powinno przyprawić mnie o konwulsje seksualnej rozkoszy. Tak się nie stało, ale nawet wdychanie jego zapachu było lepsze niż używanie wibratora.

Miał ciemnopopielate włosy i niebieskie oczy, kwadratową, odrobinę za szeroką szczękę i nieco zbyt płaski nos, ale, mój Boże, to ciało... Pozwoliłam mu zaciągnąć się do sekcji plecaków, butów i wełnianych skarpet.

- Często chodzisz na wycieczki? - zapytał.

- Tylko na jednodniowe, do Forest Park, do wąwozu, czasem do wodospadów Silver.

- Te trasy w Forest Park trudno tak naprawdę nazwać turystycznymi - stwierdził. - Trzeba wybrać się do rezerwatu, i nie chodzi mi tylko o okolice Mt. Hood, chociaż i tam jest mnóstwo pięknych szlaków. Słyszałaś o szlaku Pacific Crest? Kilka lat temu zrobiłem tam kilkadziesiąt kilometrów, zanim wstąpiłem do biura.

- Do biura?

Uspokoiliam moje szalejące hormony na tyle, żeby zechcieć poznać jego profesję. Trzeba trzymać się pewnego poziomu, bez względu na walory ciała.

- Pracuję w portlandzkim biurze śledczym policji. Czy masz coś przeciwko temu?

Ooooch... mundury.

- Nie, wcale nie.

Wielki facet z pistoletem. Obrońca niewinnych. Łapie łobuzów, tropi bandziorów i gwałcicieli, śpieszy z odsieczą dziewczicom w niedoli.

Przyszłość stanęła mi przed oczami. Mieszkalibyśmy w domu na przedmieściach, latem organizowalibyśmy w ogrodzie grille, na których spotykałyby się dziesiątki postawnych gliniarzy pijących piwo prosto z butelki i ich żony w białych, bawełnianych topach i jaskrawych rybaczkach, rozmawiające o dzieciach.

Sami mielibyśmy dwójkę dzieci. On należałby do tych tatusiów, którzy umieją się wspaniale z nimi bawić i wyglądają bosko, karmiąc butelką, ale z drugiej strony są za bardzo męscy, żeby stać się jednym z tych zniewieściałych ojców, którzy szybko robią się tłuści i niezdrowo bladzi.

A potem minęłaby euforia związana z dzieckiem i byłby zbyt zapracowany, by spędzać więcej czasu z chłopcem aż do chwili, gdy ten będzie miał kilkanaście lat. Wtedy rozlegałyby się krzyki, a w powietrzu unosiłby się płomiennie gorący testosteron. Nasza córka i ja chodziłybyśmy na palcach, z nisko opuszczonymi głowami. Rodzinne wakacje byłyby pełne napięcia, więcej byłoby pracy niż przyjemności, powstałyby urazy, które w przyszłości powstrzymałyby dzieci od przyjazdów do domu na Święto Dziękczynienia.

A potem zostałby zastrzelony na służbie, a ja dostałabym po nim emeryturę.

- To dobrze. Niektórzy dziwnie na to reagują. Wiesz pewnie, o co chodzi? - powiedział. - Myślą, że ich za coś aresztuję.

- Nawet kobiety?

Uśmiechnął się, prezentując białe, szerokie zęby supermodela.

- Nie, przede wszystkim faceci. Każdy facet ma coś do ukrycia przed glinami.

- Na przykład co? - zapytałam, łapiąc przynętę.

- Niezapłacone mandaty, trawka w szufladzie ze skarpetkami, pistolet pod siedzeniem samochodu. Może kiedyś poszedł do prostytutki albo ściągnął z Internetu coś, co chyba nie jest legalne.

- To niemożliwe, żeby wszyscy faceci mieli takie tajemnice - powiedziałam, myśląc o mężczyznach, z którymi wymieniłam e-maile i których brałam pod uwagę w kwestii umawiania się na randki.

Może wszyscy oni są dziwakami, dwóch czy trzech mnie śledzi, a ja jestem zbyt naiwna, żeby to zauważyć? Pewnego wieczoru wyskoczą z krzaków i mnie zaatakują.

- Prostitutki? Przecież nikt w naszym wieku tego nie robi, prawda?

- Zdziwiłabyś się, ile szumowin chodzi po świecie. Założę się, że jest tu przynajmniej z dziesięciu facetów, których szuka policja, i druga dziesiątka na zwolnieniu warunkowym.

Przysunęłam się bliżej do niego.

- Naprawdę?

- Kiedy się jest gliniarzem, trzeba zawsze zachowywać czujność. Zamykasz czasem któregoś z tych gości, zeznajesz przeciwko niemu w sądzie, a kiedy go skazają, to przysięga, że cię dopadnie, jak tylko wyjdzie na wolność. Nigdy nie wiadomo, kiedy się natknę na kogoś, kogo wsadziłem za kratki.

- I co byś wtedy zrobił? - zapytałam, rozglądając się dookoła i przypatrując różnym mężczyznom, którzy nagle zaczęli wyglądać groźnie.

- Zawsze jestem w gotowości.

- Nosisz broń?

- Zawsze.

- Żartujesz... - powiedziałam, odsuwając się.

- W żadnym razie.

- Gdzie? - zapytałam, lustrując go od stóp do głów.

- Kabura na kostce. Mam też nóż.

- Dlaczego?

- Kiedy się widzi takie rzeczy, jakie ja widuję, trzeba być zabezpieczonym. Gdyby coś się stało z pistoletem, mam nóż w odwodzie. - Spojrzał na mnie i chyba dotarło do niego, że nie dodawał mi otuchy. - Hej, ja jestem z tych dobrych. Mnie się nie musisz obawiać.

- Nie?

- No pewnie, że nie. Ja jestem pan Czyste Ręce. Trzeba mieć szacunek do samego siebie. Człowiek widuje tylu szmaciarzy, że nie chce zrobić nic, co włączyłoby go do tej samej kategorii.

- Nie przekraczasz nawet prędkości?

- Nie daję się złapać - odparł i błysnął kolejnym chłopięcym uśmiechem jak z okładki czasopisma.

- I nie ściągasz porno z Internetu?

- Pokaż mi faceta z dostępem do komputera, a ja się założę o sto dolców, że przynajmniej raz ściągał obrazki. Niektóre rzeczy trzeba przyjąć za normę. Ale tylko ofiara losu siedzi nocami przed monitorem i się podnieca.

- A ty nie?

- Wolę prawdziwe życie - odparł, patrząc mi prosto w oczy.

Rozmowa zboczyła na seksualne tory. Sama byłam sobie winna. Powinna wiedzieć, że wystarczy wspomnieć tylko o czymś związanym z seksem i facet wie, że o tym myślisz, więc od razu zakłada, że ma u ciebie jakieś szanse.

Co w przypadku tego faceta może być prawdą.

Miałam wrażenie, że moje feromony wydostają się wszystkimi porami skóry.

- Mam na imię Pete - powiedział, podając mi rękę. Uścisnęłam ją.

- Hanna.

- Masz dobrą parę butów do chodzenia, Hanno?

- zapytał, gdy zatrzymaliśmy się przed wystawą.

- Nie. Zwykle wkładam stare tenisówki.

- Znajdźmy coś dla ciebie. Muszę cię zabrać na wyprawę, na prawdziwy szlak.

Pozwoliłam mu zaprowadzić się do półki z jego ulubioną marką i zaproponować model. Czemu miałabym protestować? Lecz gdy zobaczyłam metkę z ceną, zmieniłam zdanie.

- Sto siedemdziesiąt pięć dolarów? No, nie wiem, to trochę za dużo... Pracuję na własny rachunek.

- Naprawdę? W takim razie co powiesz na te?

- Wziął do ręki parę kobaltowych zamszowych butów ze wstawkami z siatki. - Lekkie. Nie są stuprocentowo nieprzemakalne, ale powinny szybko schnąć.

Trochę dziwne, że nie zapytał mnie, czym się zajmuję. Większość ludzi, gdy słyszy, że mam własną firmę, od razu chce wiedzieć, co robię. No, ale w końcu to facet. Zajmował się mną, próbując wybrać dla mnie dobre buty.

Kobaltowe buty kosztowały tylko osiemdziesiąt dolarów, co w porównaniu z poprzednimi wydawało się całkiem niezłą ceną, więc poddałam się i je kupiłam. Nowa obrębiarka będzie musiała jeszcze trochę poczekać.

- Masz ochotę coś przekąsić? - zapytał Pete. - Umieram z głodu.

- Pewnie.



Facet działał z prędkością światła. Posiłek, ogólnikowe plany wspólnej wycieczki... Czy zawsze taki był, czy też to ja ścięłam go z nóg?

- Możemy jechać twoim samochodem? Przyjechałem z kolegami, swoje auto zostawiłem w domu.

- Nie ma sprawy - powiedziałam i zaraz tego pożałowałam, gdy sobie uświadomiłam, że zgodziłam się zabrać do samochodu obcego faceta plus pistolet i nóż.

Znakomicie odczytał moją minę.

- Hej, jeśli to cię uspokoi... - powiedział, wyciągnął portfel i pokazał mi odznakę. - Nie jestem żadnym świrem.

Odznaka mogła być fałszywa, ale i tak mu uwierzyłam. Upewniłam się jeszcze bardziej, gdy zabrał mnie do przyjaciół, którzy robili miłe wrażenie. Wszyscy przypominali mi typ faceta, jakiego nienawidziłam w szkole średniej - nosili czapki baseballowe z daszkami wygiętymi w idealny łuk, a na czubku mieli lustrzane okulary przeciwsłoneczne. Byli zadowolonymi z siebie „równiachami”, których nie interesowało nic poza sportem, ale najprawdopodobniej nie należeli do bandy psychopatycznych kryminalistów.

- To jest Hanna, idziemy coś zjeść.

- Miło cię poznać, Hanno - powiedział serdecznie jeden z nich i uścisnął mi dłoń, prezentując zaskakujące maniery.

Reszta wyszczerzyła zęby w uśmiechu. Wystudiowane pozy świadczyły o tym, że ze swoimi dwudziestoma dwoma lub trzema latami, czy ile tam ich mieli, uważali się za całkiem dorosłych.

- Nie pozwól Pete'owi wziąć cię pod włos - powiedział jeden z zarozumialców. - Niezły z niego czaruś, jeśli się postara.

- Czarus? - uśmiechnęłam się niepewnie. Myśleli, że będę kolejną zdobyczą Pete'a. Zniknął

mój entuzjazm dla zaimprovizowanego lunchu.

- Hej, nie słuchaj ich - powiedział Pete, prowadząc mnie w stronę drzwi i wykazując się spostrzegawczością, o którą bym go nie podejrzewała. - To fajni goście, ale powinni dorosnąć.

- Wiesz, że jestem od ciebie starsza, prawda? - zapytałam, czując się z tego powodu nieswojo.

- Domyśliłem się. Ile masz lat, dwadzieścia siedem, dwadzieścia osiem?

- Prawie trzydzieści. A ty?

- Dwadzieścia pięć.

Tylko rok starszy od najświeższej zdobyczy Cassie. Teraz nie będę już mogła jej dokuczać. Wiedziałam, że powinnam posłuchać własnej rady i natychmiast zakończyć tę znajomość, ale on był taaaaki milutki. I wydawał się mną zainteresowany.

- Co jest z wami, młodszymi facetami, że lubicie starsze kobiety? - zapytałam, kiedy szliśmy przez parking w stronę mojego samochodu.

- Naprawdę chcesz wiedzieć?

- Tak.

- Jesteście pozbierane. Dziewczyny w moim wieku mają ogromne potrzeby. Przyklejają się do człowieka jak ośmiornica. Nie można się ich pozbyć. Starsze kobiety są bardziej niezależne.

Ciekawa byłam, czy chciał przez to powiedzieć, że według niego potrzebujemy mniej uwagi.

- Można by pomyśleć, że wolicie młodsze ciała - powiedziałam. - Bez cellulitisu, jędrne.

- Mają dobre ciała, ale nie wiedzą, co z nimi robić. Starsze laski lepiej umieją z nich korzystać.

- Zawsze myślałam, że śmiesznie byłoby zabawić się raz w panią Robinson - powiedziałam jakoś bez entuzjazmu.

- W kogo?

- Nieważne...

Dotarliśmy do samochodu, wsiedliśmy do środka. Gdy wyjeżdżałam z parkingu, zaczął bawić się radiem, przeskakiwał ze stacji na stację i zmieniał mi ustawienia głośników.

- Dokąd jedziemy? - zapytałam.

- Co powiesz na pizzę? Lubię takie jedno miejsce na Broadwayu.

- Pewnie.

Pizza nie była dla mnie specjalnie romantycznym jedzeniem - nic, co jadło się rękoma, nie było romantyczne, nie wspominając o czosnku i resztkach, które mogły utknać w zębach - ale chyba właśnie pizzy można było się spodziewać po dwudziestopięciolatku.

Podczas jazdy rozmawialiśmy o muzyce i filmach, a potem, w restauracji, kiedy czekaliśmy na jedzenie, o książkach.

- Uwielbiam czytać - powiedział Pete.

- Książki? Nie tylko magazyny?

- Nie. Czytam właśnie „Grona gniewu”.

Byłam pod wrażeniem. Może i jest w nim coś więcej niż tylko ciało i płyn po goleniu. Wciąż ześlizgiwałam się wzrokiem z jego twarzy na ramiona w ten sam sposób, w jaki facet nie potrafi oderwać spojrzenia od kobiecego biustu. Miał na sobie niebieską, zapinaną na guziki płócienną koszulę, a pod nią biały T-shirt. Bawełna robiła wrażenie bardzo miękkiej i cieplej w dotyku. Ledwie byłabym w stanie objąć dłońmi takie ramię.

- Jesteś stąd? - zapytał, przerywając moje pożądlive zadumanie.

- Z Roseburga. Całe życie mieszkam w Oregonie.

- A ja jestem z Ohio. Ale tu mi się podoba, lubię góry. Chociaż myślę o przeprowadzce do Seattle albo może do San Francisco.

- Naprawdę? Czemu? - zapytałam lekko zaniepokojona.

Nie miałam ochoty myśleć o rychłym wyjeździe tego wspaniałego egzemplarza męskiego gatunku.

- Tu się niewiele dzieje. Mam na myśli pracę. Mało ekscytujących wydarzeń. A przecież właśnie dlatego zostałem glina. Mam zespół nadpobudliwości i pomyślałem, że to mi dostarczy odpowiedniego typu stymulacji.

Zamrugałam. Miał trudności z koncentracją. Nie znałam nikogo z tym konkretnym problemem i nie wiedziałam, co to może oznaczać dla ewentualnego przyszłego związku.

- Nie martw się. Biorę odpowiednie leki, wszystko jest pod kontrolą. Mam tylko bardzo dużo energii. Muszę robić różne rzeczy.

- Aha.

Podano pizzę. Zjedliśmy niemal połowę, ja piłam piwo korzenne, a Pete prawdziwe. Zastanawiałam się nad efektem, jaki będzie ono miało w połączeniu z jego lekami. Poszłam do łazienki, a kiedy wróciłam, reszta pizzy była już zapakowana, a rachunek zapłacony.

- Mogłabyś zostawić napiwek? Wydałem resztę gotówki.

- Pewnie.

Położyłam na stoliku dwa dolary, zastanawiając się, dlaczego nie zapłacił kartą kredytową lub debetową. Może lubił płacić gotówką. Nieważne.

Jego wiek, zespół nadpobudliwości, wzmianki o przeprowadzce do innego miasta powinny mnie wystarczająco zaalarmować, ale żadne ostrzeżenie nie okazało się wystarczające, żebym go sobie odpuściła.

A może po prostu nie miałam ochoty zrezygnować z tych ramion. Podobno na kobiety nie działa aż tak bardzo piękne ciało, lecz bardziej zwracamy uwagę na możliwości zarobkowe faceta, ale, do licha, z niego był naprawdę wspaniały kawał mężczyzny. A ponieważ nigdy dotąd nie miałam takiego okazji, uznałam, że jestem wytłumaczona z braku praktycznego podejścia.

- Masz ochotę wypożyczyć film czy coś takiego?

- zapytał, gdy wracaliśmy do samochodu.

- Nie jestem pewna... - odparłam, myśląc o stercie poprawek czekającej na mnie w domu.

Butler & Sons mieli wyprzedaż męskich spodni. Dostałam jakieś czterdzieści par do podszycia.

- Zgódź się - poprosił, otaczając mnie ramieniem.

- Jutro idę do pracy. Przez cały tydzień nie będę mógł się z tobą zobaczyć.

W jego głosie brzmiało takie podniecenie, że nie potrafiłam mu odmówić. Poszliśmy do wypożyczalni kaset wideo, gdzie dostaliśmy egzemplarz „Poznaj mojego tatę”, po czym według wskazówek Pete'a pojechaliśmy do jego mieszkania, które mieściło się na nowym osiedlu w południowo-wschodniej części miasta.

Po krętym wjeździe i parkingu między obsadzonymi drzewami budynkami biegały wrzeszczące dzieciaki. Piłki i rowery pojawiały się przede mną niczym scenki z egzaminu na prawo jazdy.

- Chyba mieszka tu dużo rodzin?

- Co? A, tak. Właściwie mnóstwo samotnych matek.

To niby wygląda nie najgorzej, ale mówię ci, dzieją się tu zabawne rzeczy. Nieważne, jak czyste wydaje się jakieś miejsce, zawsze znajdziesz brud, jeśli wiesz, gdzie szukać.

Na moje oko dzieci wyglądały całkiem niewinnie.

- Na przykład?

- Handel narkotykami. Przemoc w domu. Boże, jak ja nienawidzę tych szmaciarzy, którzy biją żony. Mówię ci, kiedy to widzę, jestem tak blisko... - tu pokazał kciuk i palec wskazujący rozdzielone o centymetr - ...tak blisko od spuszczenia facetowi lania. Z wszystkich plugastw najgorsze jest właśnie to, bicie kobiety. Albo dziecka. Powinni dawać nam pozwolenie na strzelanie do takich skurwieli. Dla dobra społeczeństwa. Wybacz mi ten język...

- Nie ma sprawy.

Zaparkowałam tam, gdzie mi wskazał. Wspięliśmy się zewnętrznymi schodami na trzecie piętro.

Podobało mi się, że gardzi damskimi bokserami oraz maltretującymi dziećmi. Te męskie odruchy opiekuńcze powinny chyba wywołać u mnie łomotanie serca, ale z jakichś powodów jego pasja raczej zmniejszyła mój podziw. Być może miał zbyt uproszczone podejście, zbyt oczywiste cele, obliczone na zyskanie kobiecej aprobaty.

Chociaż mogło być i tak, że naprawdę podchodził do tego z taką zaciętością. Albo czułam się nieswojo z powodu całej tej tłumionej energii, która z niego wypływała.

- Tłusty tyłku! - wrzasnął, otwierając drzwi. Opadła mi szczeka. Niby czyj tyłek jest tłusty? Mój na pewno nie.

Schylił się, a potem odwrócił w moją stronę,

trzymając w ramionach ogromnego, szarego królika z oklapniętymi uszami. Wszystkie obawy wzbudzone przez jego zagorzałość czy pistolet w kaburze zniknęły w jednej chwili. Facet miał królika.

Kto by się nie zachwycił wspaniałym mężczyzną z królikiem?

- To jest Frank, królik o tłustym tyłku - powiedział Pete i podał mi zwierzaka.

Ugięłam się pod jego ciężarem. Ważył co najmniej pięć kilo - więcej, niż miał prawo ważyć przeciętny królik. Tylnymi łapami wbił mi się w brzuch, a przednimi drapał mnie w przedramię. W końcu udało nam się wypracować satysfakcjonującą obie strony pozycję. Weszłam za Pete'em do jego mieszkania. Po drodze pomyślałam, że króliki zdecydowanie lepiej oglądać, niż je nosić.

- Od jak dawna go masz? - zapytałam.

- Uważaj!

Spojrzałam pod nogi i zobaczyłam kupkę okrągłych króliczych bobków.

- Frank, ty paskudo - powiedział Pete, po czym poszedł do kuchni i wrócił z papierowym ręcznikiem, na który zebrał grudki. - Jest nauczony nie brudzić w domu. Założę się, że robi to złośliwie. Należał do mojej byłej, ale zamieszkała z właścicielem rotwailera. Pewnie wystarczyłby tydzień, żeby Frank stał się psią przekąską.

- Czy twoja była... przychodzi w odwiedziny? Spojrzał na mnie z klęceczek. W ręce trzymał ręcznik pełen króliczych bobków.

- Janet? Tak, wpada czasem, ale staram się być wtedy poza domem. Wciąż ma do mnie słabość.

Zapewne należy do tych czepiających się dziew-

czyn-ośmiornic, o jakich wspominał. Ciekawa byłam, czy powiedział to jako ostrzeżenie czy też przechwalał się, że żadna kobieta nie może bez niego żyć.

- Wiesz, powinna sobie po prostu odpuścić. To nie jest dla niej dobre. Zostawia mi karteczki za wycieraczką samochodu, podrzuca do biura prezenty. To mnie wprawia w zakłopotanie.

- Pewnie inni faceci dają ci popalić?

- Nie mają żadnego szacunku dla prywatności. Jeśli jakaś laska zostawia dla ciebie kwiaty, możesz mieć pewność, że przeczytają liścik i będą ci dokuczać przez tydzień.

- Po prostu urocze.

- To dobrzy faceci, ale w ten sposób odreagowują stresy.

Poszedł wyrzucić papierowy ręcznik. Frank zaczął się wiercić, więc postawiłam go na podłodze, a sama otrzepałam się z króliczej sierści.

- Chcesz coś do picia? - zapytał z kuchni Pete.

- Poproszę wodę z lodem - odparłam i skorzystałam z okazji, żeby się rozejrzeć.

W pokoju panował większy porządek, niż się spodziewałam. Beżowy dywan był względnie nowy, ściany pomalowane na biało, minirolety w oknach. Pete był posiadaczem jakiegoś wielofunkcyjnego urządzenia do podnoszenia ciężarów, które zajmowało jedną trzecią powierzchni. Reszta wyglądała dość rozsądnie, jak na faceta w jego wieku. Kanapa (oczywiście), telewizor, byle jaki sprzęt grający i, o dziwo, duży regał z książkami.

Wcześniej pomyślałam, że przesadza z tym czytaniem. Podeszłam bliżej i przyjrzałam się tytułom. Kiedy to robiłam, uświadomiłam sobie, że coś jest nie



tak z grzbietami książek. To w ogóle nie były tomy. To były pudełka.

Wyciągnęłam jedno. Była to książka na taśmie magnetofonowej. Sprawdziłam resztę. Na półkach było kilka prawdziwych książek, ale większość stanowiły taśmy.

- Hej, Pete - powiedziałam, kiedy wyszedł z kuchni i podał mi szklankę zimnej wody. - Mówiłeś, że lubisz czytać. A to są wszystko taśmy.

- Przecież to to samo, nie? Te same słowa. Zmarszczyłam brwi. Mnie się to jakoś nie wydawało

tym samym, chociaż nie potrafiłabym precyzyjnie powiedzieć dlaczego.

- To przez tę nadpobudliwość - stwierdził. - Trudno mi usiedzieć spokojnie w miejscu i czytać słowo drukowane, ale mogę słuchać kaset, kiedy ćwiczę albo prowadzę samochód.

- Aha.

Nie pozbyłam się wrażenia, że to oszustwo. Wspaniale, że słuchał nagranych książek. Pewnie znał więcej dzieł z kanonu klasyki niż ja, sądząc po tym, co stało na półkach, ale mimo to czułam, że oszukiwał, gdy mówił, że lubi czytać. Powinien chyba zadeklarować miłość do słuchania opowieści. Cóż, przynajmniej lubił prozę, a nie tylko magazyny techniczne i sport w telewizji.

Włączyliśmy kasetę, przygasiliśmy światła i zasiedliśmy do oglądania filmu. Frank, kicając, opuścił pokój. Siedziałam otoczona ramieniem Pete'a. Po kwadransie odwrócił się w moją stronę.

- Mogę cię pocałować?

Zastanowiłam się nad tym przez chwilę. Cóż to jest pocałunek? To nie powinno zaszkodzić.

- Dobrze.

Przyssał się do moich ust. Połowę mojej uwagi przykuwał film „Poznaj mojego tatę”, a połowę jego ciało. Pozwoliłam moim dłoniom prześlizgiwać się po jego ramionach i plecach.

Pete całował moją szyję i lizał ucho. A ja słuchałam dialogu filmowego i zastanawiałam się, dlaczego to nie jest bardziej ekscytujące. Wspaniałe ciało, dotykające mnie i dotykane przeze mnie powinno wystarczyć, żebym już leżała na podłodze. Czyż nie?

Ścisnął moje piersi, po czym wsunął mi dłoń pod bluzkę. Ściągnął miseczkę stanika i nacisnął sutek. Zero efektu. Ha.

Przewrócił nas. Leżał teraz pode mną, a ja siedziałam mu okrakiem na biodrach. Obiema rękami masował mi piersi. Pozwoliłam mu na to. Zastanawiałam się, kiedy w końcu zacznie mnie to podniecać.

W tle Ben Stiller zaczął mówić o życiu na farmie. Uśmiechnęłam się.

- Co?

- Nic.

Podciągnął mi koszulę, usiadł i wziął jeden z sutków do ust, gryząc go delikatnie. Spojrzałam w dół na jego głowę i wypatrzyłam kilka przedwcześnie posiwiałych włosów. Ben Stiller opisywał dojenie kota. To był mój ulubiony fragment.

Pete z powrotem się położył, zaczął mnie pieścić.

- Chcę być w tobie - powiedział. Uśmiechnęłam się, słuchając dialogu.

- Pójdziemy do sypialni?

Skupiłam uwagę na tym, na czym powinna być skupiona.

- Prawie cię nie znam - stwierdziłam.

- Tak mi z tobą dobrze...

Uniosłam się i poruszyłam biodrami. Zamknął oczy i wydał z siebie jęk, który brzmiał tak, jakby udawał. Nie zrobiłam tego, żeby mu sprawić przyjemność: próbowałam sprawdzić, czy ma erekcję. Nie czułam nic poza zamkiem dżinsów.

Czy istniał jakiś powód, dla którego byłam pozbawiona wzwodów na randkach? Czy to kolejny przykład znaczącej synchroniczności? Nie byłam też w stanie użyć wibratora. Może to coś znaczy.

- Myślę, że powinniśmy najpierw lepiej się poznać, nie uważasz? - powiedziałam, wciąż zastanawiając się nad skorzystaniem z jego propozycji pójścia do sypialni.

Nigdy dotąd nie miałam przelotnego romansu. Ciekawa byłam, czy to warte zachodu, oczywiście z uwzględnieniem odpowiednich lateksowych i chemicznych zabezpieczeń.

A potem znowu, zważywszy mój obecny brak pobudzenia, wydało mi się to skazane na niepowodzenie.

- Masz rację - powiedział, przerywając pieszczoty i otwierając oczy. - Tylko że jesteś taka cholernie gorąca - stwierdził z nadzieją.

Położyłam się na kanapie i przytuliłam do niego całym ciałem. W ten sposób mogłam głaskać jego pierś, a było to wszystko, na co w tym momencie miałam ochotę.

Otoczył mnie ramieniem.

- Pracuję w tym tygodniu na drugą zmianę, od czwartej do północy, ale kiedy będę miał wolny dzień, to może byśmy się gdzieś wybrali? Na plażę albo na wycieczkę.

- Super.

- Dostaniesz wolne?

- Pracuję na własny rachunek, nie pamiętasz? Chrząknął.

W tle toczył się film, a ja pozwoliłam sobie na badanie jego rozluźnionych mięśni. Oddychał teraz inaczej, a ciało zrobiło się jeszcze bardziej bezwładne. Uniosłam się na łokciu. Zasnął. No tak!

Wstałam z kanapy. Wtedy się obudził.

- Wychodzisz?

- Muszę już lecieć.

- Zostaw mi swój numer telefonu. Wygrzebałam wizytówkę i podałam mu ją. Wziął

kartonik, wstał i wsunął do kieszeni.

Odprowadził mnie do samochodu i przytulił.

- Zadzwoń do ciebie - powiedział. - Umówimy się i pójdziemy gdzieś razem.

Kiwnęłam głową, jakbym mu wierzyła, po czym odjechałam.

*RÓŻOWE MAJTKI*

- Zawsze mam problem z wyborem - powiedziałam.

- Ja też - mruknęła Louise i przykucnęła obok mnie przed ladą z deserami w Papa Haydn's, restauracji leżącej w północno-zachodniej części Portland, królestwie łasuchów.

Za szkłem stały ciasta, torty, wielowarstwowe bezy wysokie na piętnaście, dwadzieścia, a nawet dwadzieścia pięć centymetrów. Ich nazwy wypisane były czekoladą na brzegu talerzyka lub złotym pisakiem na karteczkach wetkniętych z brzegu. Były tu małe, gęste wyroby z czekolady, owocowe tarty, galaretki, a nawet pieczona Alaska.

- Muszę jeszcze raz rzucić okiem na menu - powiedziałam, kiedy wróciliśmy do stolika, żeby sprawdzić szczegóły dotyczące tego, na co właśnie patrzyliśmy.

Było piątkowe popołudnie. Louise zadzwoniła rano do pracy i powiedziała, że jest chora. Dostała wolny dzień w związku ze zdrowiem psychicznym. Jej pracodawca był jedynym, jakiego znałam, który na to pozwalał, ale pewnie wszyscy pracownicy linii kryzysowej muszą być w pełni wydajni.

A Louise nie była. Pod naszym stolikiem stała torba straszliwie drogiej bielizny, która miała zostać zwrócona do butik. Okazało się, że nie będzie okazji jej włożyć.

Złożyłyśmy zamówienie, po czym skupiłyśmy się na klasycznym zajęciu kobiet: rozmowie.

- Wczoraj wieczorem znowu poszliśmy na kolację

- powiedziała Louise.

Miała podkrążone oczy. Nie bardzo to pasowało do jej piegów.

- Który to raz? Trzeci?

Odwróciła wzrok i zajęła się czajniczką herbaty, który właśnie przyniosła kelnerka.

- Czwarty. A w poniedziałek byliśmy w kinie.

- Podniosła na mnie wzrok. - Bałam się powiedzieć ci o tym. Myślałam, że na mnie nakrzyczysz.

- A kim ja jestem, żeby na ciebie krzyczeć? Jakbym sama ostatnio zachowywała się rozsądnie.

- Pete nadal nie zadzwonił?

- Nie. Właściwie się tego nie spodziewam.

- Ale mimo wszystko. Przecież wyglądało na to, że mu się spodobałaś, prawda?

- Tak myślałam. Lecz najwyraźniej tylko na tyle, żeby chcieć się ze mną przespać - powiedziałam.

- Mężczyźni... Ja ich po prostu nie rozumiem.

- Masz dyplom z psychologii.

- I na wiele mi się to nie zdało.

- Więc co się stało? Poszłaś wczoraj na kolację z Derekiem. I...?

- Zrobiłam się niecierpliwa. W kółko o nim myślę, nie mogę się skupić na pracy. Wyobrażam sobie naszą wspólną przyszłość, marzę o pocałunkach, zastanawiam się, jak byłoby w łóżku... Ale nie znam jego myśli,

uczuc. Bo, owszem, umawia się ze mną, ale nie wykonał żadnego wyraźnie określonego ruchu. Mówił takie rzeczy, że myślałam, iż jest zainteresowany, ale nic się nie działo.

- Niejednoznaczne sygnały.

- Właśnie.

Pojawiła się kelnerka z naszymi deserami: Louise zamówiła jakieś ośmiowarstwowe ciastko czekoladowe z polewą i ziarnem kawy na szczycie, ja wybrałam panna cottę, włoski pudding z malin i sosu.

- Więc postanowiłam zadziałać - kontynuowała Louise po tym, jak spróbowałyśmy swoich deserów i wymieniliśmy się próbkami. - Siedzieliśmy w restauracji, czekając na jedzenie, i opowiedziałam mu o swoich snach.

- Oho. O prawdziwych snach?

- Tak, prawdziwych. Pierwszy nie był taki zły. Złapałam gumę, zadzwoniłam po niego, a on przyjechał i zmienił mi oponę.

- Prywatna pomoc drogowa?

- Mam wykupione ubezpieczenie. Wydawałoby się, że skoro za to płacę, to powinnam z tego skorzystać. W każdym razie o tym śnie można było porozmawiać: w końcu jesteśmy psychologami, lubimy analizować sny. Według niego to oznaczało, iż uważam, że mogę na nim polegać. Chyba mu to pochlebiło.

- A sen numer dwa?

- Sen numer dwa i trzy. Tu się pojawiły kłopoty. Staliśmy gdzieś w kolejce. Otoczyłam go ramionami w pasie i położyłam mu głowę na piersi.

- Rany! Jak zareagował?

- Dziwnie się uśmiechnął. Potraktowałam to jak zachętę.

Skrzywiłam się na myśl o tym, co miało nastąpić.

- Tak. We śnie numer trzy kochaliśmy się pod prysznicem.

- Powiedziałaś mu to? - zapytałam z przerażeniem.

- Tak. A potem, jak ostatnia idiotka, zapytałam go, co czuje w związku z tym.

Zapomniałam o swoim deserze.

- Och, nie, Louise...

- Tak. - Rozgniotła widelczykiem lukier. - Zrobiło się naprawdę cicho, jakbyśmy nagle znaleźli się w mydlanej bańce pośród restauracyjnego gwaru. Czułam, jak moja twarz, szyja i dekolt oblewają się rumieńcem. Miałam ochotę zsunąć się pod stół i ukryć w jakimś miłym, ciemnym miejscu.

- Co powiedział?

Spojrzała mi w oczy, przestając masakrować ciastko.

- Powiedział... jesteś gotowa?... „Czyżbym coś przegapił? Nie zauważyłem jakiegoś sygnału?”

- Och, Louise...

- A potem dodał, że musi iść do łazienki, wstał i zostawił mnie przy stole.

- O rany... Jakie to żenujące...

- Raczej upokarzające. Więc tak siedziałam sama, przebierając palcami w butach, aż podano jedzenie, a jego wciąż nie było. Nie mogłam przełknąć ani kęsa.

- Ale wrócił?

- Tak. Nie wiem, co tam robił tak długo. Może wymiotował. Może śmiał się do łez. Myślał o ucieczce gdzie pieprz rośnie. Nie mam pojęcia. Ale stawiał temu czoło najlepiej, jak można oczekiwać od faceta. Usiadł, wziął mnie za rękę i powiedział: „Poradzimy sobie z tym. Będziemy rozmawiać”.

- Myślę, że ja bym woląa porzucić temat i iść do



domu - powiedziałam. - Udawać, że nic się nie wydarzyło.

Wzruszyła ramionami.

- Ma u mnie plus za to, że nie dał nogi.

- Więc co ostatecznie postanowiliście?

- Nie podjęliśmy żadnych konkretnych decyzji. W każdym razie on nie podjął.

- Co?

- Zaczął mnie wypytywać o to, czego chcę w życiu, czy chcę mieć dzieci, których, oczywiście, nie chcę, czy chcę kiedyś wyjść za mąż, czego szukam w mężczyźnie...

- Jakby sprawdzał, czy mógłby u ciebie dostać pracę

- zauważyłam.

- Na koniec stwierdził, że jest „zmieszany” i musi o tym wszystkim pomyśleć.

- „Zmieszany”?

- Tak. Zawsze, kiedy facet tak mówi, to znaczy, że nie chce z tobą być. Może odpowiadasz mu w roli przyjaciółki, może lubi ci się ze wszystkiego zwierzać, bo jesteś na tyle głupia, żeby go wysłuchiwać i współczuć mu, ale cię nie chce.

- Dlaczego nie potrafia tego powiedzieć wprost?

- zapytałam.

- Gdyby to robili, traciliby swoje dziewczyny na boku, te, które mogliby mieć, gdyby tylko chcieli. Nie zamierzam siedzieć i na niego czekać. W końcu mam trochę szacunku dla samej siebie.

- Naprawdę myślisz, że to o to chodzi? Ze chce cię mieć w odwodzie? - zapytałam.

- Faceci zawsze to robią. Do licha, sama to robiłam.

- W takim razie dlaczego pytał cię o te wszystkie rzeczy, o to, czego pragniesz?

- Urabia mnie. Niecelowo, ale to właśnie robi. Nigdy nie będzie mnie naprawdę chciał - oznajmiła i głos się jej załamał.

- Wydajesz się tego taka pewna... - powiedziała cicho.

Nie jest miło patrzeć, jak cierpi przyjaciółka.

- Jestem pewna. Czekanie, aż on przestanie być zmieszany, byłoby tylko torturowaniem samej siebie. Mogę zdobyć nad tym jakąś kontrolę... Do diabła, mogę odzyskać siłę tylko poprzez stanowcze podjęcie decyzji. Moja głowa wie, co powinnam zrobić. Tylko żeby serce się na to zgodziło... - Znowu miażdżyła ciastko widelczykiem. Jej dolna warga zadrżała. - Chciałabym przestać liczyć na lepsze zakończenie.

Butik z bielizną mieścił się w starym budynku na Dwudziestej Trzeciej Północno-Zachodniej, jednej z modnych ulic, wzdłuż której ciągnęły się sklepy ze zbyt drogim sprzętem domowym, wieczorowymi strojami, ręcznie przygotowywanymi ciasteczkami dla psów, pachnącymi świecami i dziwny sklepik z rzeczami sprowadzanymi z Indonezji, Indii, Chin czy Afryki. Zrzucające liście, średniej wielkości drzewa rosnące wzdłuż ulicy przez okrągły rok udekorowane były białymi lampkami bożonarodzeniowymi. Poza możliwościami zrobienia zakupów ulica oferowała liczne kawiarnie i była popularnym miejscem spotkań. Stwarzała okazję do poprzyglądania się ludziom czy po prostu do zabicia czasu.

Byłyśmy niedaleko mieszkania Scotta. Zamierzałam później do niego wstąpić. Z tej dzielnicy do śródmieścia od zaledwie sześciu miesięcy jeździły nowe tramwaje. Gdyby Scott miał na to ochotę, mógłby jeździć do

pracy właśnie tramwajami, a nie rowerem. Lecz ja widziałam jego nogi i doskonale rozumiałam, dlaczego wybierał rower.

Wspięłyśmy się drewnianymi schodkami do sklepu Belinda, oferującego europejską bieliznę, i otworzyłyśmy drzwi prowadzące do królestwa jedwabnego, perfumowanego luksusu.

- Czy uwierzysz, że zapłaciłam dwadzieścia osiem dolarów za parę majtek? - zapytała Louise, kiedy podeszłyśmy do lady. - O czym ja wtedy myślałam?

- Mogę je zobaczyć?

Wyjęła je z torby. Etykietka z ceną dyndała z boku. Były z blad różowego jedwabiu z wstawkami z kremowej koronki. Śliczne.

- A stanik... chyba nie trzeba dodawać, ile kosztował.

Wiedziałam, że w torbie było też jedwabne body i koszulka nocna, wciąż owinięte w bibułki. Nie poprosiłam o pokazanie ich, bo pomyślałam, że to byłoby zbyt bolesne dla Louise. Kosztowna bielizna... Rozmowa o cenie tych skrawków jedwabiu pozwala przynajmniej oderwać się od rozpamiętywania straconych nadziei.

Podła torbę oraz paragon sprzedawczyni.

- Nie mogę uwierzyć we własną głupotę...

Potem pograżyła się w rozmowie ze sprzedawczynią i wyjaśnieniach, dlaczego zwraca bieliznę. A ja zajęłam się oglądaniem towaru.

Nieczęsto trafiałam do małych butików poza samym centrum. Teraz zrozumiałam, czego sobie odmawiałam. Ceny, jak zwykle, przekraczały możliwości mojego portfela, ale w końcu dziewczyna może pomarzyć, nawet jeśli nie uszyje sobie stanika czy gorsetu. Nie

dlatego, że nie potrafię: po prostu nie chciałoby mi się w to bawić.

Negliże były niesamowicie piękne. W przeciwieństwie do części podstawowych, można było je bez trudu zreplikować, jeśli udałoby mi się znaleźć koronkę tej samej jakości. Obejrzałam koszulki, zbadałam szwy i krój.

Moja wymarzona suknia ślubna wciąż pozostawała w stadium papierowego wykroju. Przyszło mi do głowy, że poza samą suknią potrzeba przecież czegoś na noc poślubną, szczypty zmysłowego luksusu w miękkich pastelach.

*Jeśli ją uszyjesz, on się zjawi.*

Słowa odbijające się echem w mojej głowie wydawały się teraz bardziej odpowiednie niż kiedykolwiek. Louise do mnie podeszła.

- Namówili mnie na kredyt w sklepie - powiedziała, wykrzywiając wargi. - Nawet nie chcę myśleć o noszeniu bielizny, zwłaszcza stąd. Zresztą po co w ogóle ją nosić? Kto ją ogląda?

- Masz jakiś problem z bielizną? - zapytałam.

- Przynajmniej połowę czasu w ciągu doby nie jest potrzebna. To wszystko jeden wielki kant.

- Ja jej nie noszę - powiedziałam. - Stanik, owszem, ale majtek nie.

- Żartujesz?

- Nie. - Tego ranka nie mogłam znaleźć żadnej czystej pary, więc włożyłam długą, wąską spódnice. Kto zauważy różnicę? - Wiesz, jest takie miejsce dla ludzi z twoim problemem, Louise. Nazywa się Anonimowi Bieliźniarze. Dziwię się, że o nim nie słyszałaś.

Zaczęła się uśmiechać.

- Najpierw muszę przyznać, że mam jakiś problem.

- Czy musisz mieć na sobie bieliznę, żeby czuć się swobodnie w towarzystwie? Czy wkładasz ją przed wyjściem z domu? Czy nosisz ją codziennie?

- Tak! - odparła Louise.

- Czy bielizna wywołuje u ciebie emocjonalną traumę?

- Wywołała w tym konkretnym przypadku.

- W takim razie potrzebujesz pomocy Anonimowych Bieliźniarzy.

Zachichotała. Trochę bardziej przypominała w tym momencie Louise, jaką znałam. Nie potrafiła długo się czymś martwić. Była tak zadowolona ze swojego życia, że czasem się zastanawiałam, czy w ogóle kiedykolwiek wyjdzie za mąż. Trudno było wyobrazić sobie, że dzieli się z kimś swoją przestrzenią. Zastanawiałam się nawet, czy nie wybrała Dereka właśnie dlatego, że w głębi ducha wiedziała, iż nic z tego nie wyjdzie.

Louise rozejrzała się po sklepie, a potem znowu spojrzała na mnie.

- Wiesz, szkoda, że nie robią takich rzeczy dla mężczyzn. Najwymyślniejsze, co dla nich można znaleźć, to jedwabne bokserki. No, i jak to się ma w cenie do kobiecej bielizny? Kolejny przykład nierówności między kobietami a mężczyznami.

- A czego byś chciała? Mężczyzn w sączkach?

- A czy to by nie było coś? - zapytała, kiedy wyszliśmy ze sklepu i ruszyliśmy chodnikiem. - Czy nie chciałabyś zobaczyć facetów spacerujących dookoła z tymi śmiesznościami przytwierdzonymi z przodu spodni? Założę się, że chętnie by je nosili.

- Nie, lepsza byłaby jakaś nowoczesna wersja - stwierdziłam. - Coś, co nie wyglądałoby jak z portera Henryka VIII. Potrzebne nam coś w rodzaju... narzutki na przyrodzenie.

- Znaczy... chustka?

- Nie, raczej skarpetka - powiedziałam, wyobrażając to sobie. - W jaskrawych kolorach, wykonana ze streczu. Albo polaru, na zimę. Mogłoby je nosić przymocowane do takich opiętych spodenek, jakie wkładają biegacze.

- Myślę, że by im się to nie spodobało. Za dużo kłapania.

- No dobrze, w takim razie mogłaby to być tylko bielizna, jak jedwabne body, wkładana, żeby zrobić wrażenie na dziewczynie. Mogłaby mieć małe sakiewki na jądra, a całość przywiązywałoby się wstążką. Zresztą i tak niewiele kobiet uważa penisa za ładnego. Dlaczego by go trochę nie podstroić?

- Myślę, że wolę gołego - powiedziała Louise.

- Nie, to byłoby super. Mogłabym wykupić sobie stoisko na sobotnim targu i je sprzedawać.

- Wykopaliby cię stamtąd.

- Zamieszczałabym reklamy na tylnej okładce „Cosmo”.

- To by mogło wypalić - przyznała. - Tylko pamiętaj, żeby zaproponować różne rozmiary, a na dużych, które wszyscy będą kupować, powinnaś umieścić wielką metkę „XXXL”.

- A „XXS” na tych, które byłe kochanki będą kupować na prezenty, żeby się zemścić.

Pomyślałam sobie, że Louise potrzebuje lalki wudu przedstawiającej Dereka.

- Hanno, jesteś zboczona, wiesz o tym?

- Za to właśnie mnie lubisz.

*TKANINA Z FREŹDZLAMI*

- Czy wymierzysz wewnętrzną długość nogawki?
- zapytał Scott, gdy klęczałam przed nim i przypinałam szpilkami mankiety jego spodni.
- Nie, nie muszę.
- Cholera. Cały dzień na to czekałam. Spojrzałam na niego spod uniesionych brwi.
- Czy tego rodzaju potrzeb nie powinna zaspokajać twoja prawniczka?
- To mnie wcale nie bierze. Co innego mistrzyni igły z miarą krawiecką w ręce, sięgająca w górę nogi. Na ten temat można snuć fantazje.
- A mnie się wydawało, że przeciętnego mężczyznę to może nieźle wystraszyć.
- Nie mnie. Parsknęłam śmiechem.
- Kto by pomyślał, że dentyści to tacy rozpustnicy.
- Mamy sprawne ręce - odparł, uśmiechając się lubieżnie.
- Następne - powiedziałam, a on wszedł za kuchenny kontuar, żeby zdjąć spodnie i włożyć kolejną parę.
- Mam dla ciebie dowcip. - Jęknął. - Dentysta ogląda zęby pacjentki i mówi: „Oho, próchnica. Będzie sporo

borowania". Kobieta jęczy i mówi: „Boże, już bym chyba wolała urodzić dziecko". Na co dentysta odpowiada: „W takim razie zmienię ustawienie fotela". - Uśmiechnęłam się do niego.

- Skąd ty bierzesz te kiepskie dowcipy?

- Z Internetu. A niby skąd? Wrócił w drugiej parze spodni.

- Wiesz, Scott, w sklepie powinni podłożyć ci te spodnie. To na pewno było wliczone w cenę.

- Wolę, żebyś ty to zrobiła. Chciałem też porozmawiać z tobą o uszyciu kilku poduszek na sofę. Mój salon wygląda nieco... sam nie wiem. Nieprzytulnie.

Spojrzałam przez ramię na pomieszczenie, o którym mówił.

- Masz sofę z czarnej skóry i szklany stolik. Pewnie, że to wygląda nieprzytulnie.

- Pomożesz mi, co? Myślałem też o tym czymś, co się rzuca na łóżko.

- Chodzi ci o kapę?

- Chyba. Może pomogłabyś mi wybrać kolor? Masz do tego dobre oko.

Skończyłam przypinanie i wstałam.

- Chętnie pomogę, tylko nie jestem pewna, czy będzie ci odpowiadało to, co wybiorę. Kiedy patrzę na ten pokój, myślę raczej o tym, jak ja sama bym go urządziła, niż o kimś innym.

- W porządku.

Poszedł z powrotem do kuchni, gdzie włożył swoje stare spodnie. Ja tymczasem usiadłam na sofie, zrzuciłam buty i podciągnęłam nogi. Rozkoszowałam się dotykiem skóry i widokiem za oknem, które wychodziło na północny kraniec miasta i rzekę Willamette. Łatwo bym przywykła do takiego widoku.



Louise i ja kręciliśmy się przez pewien czas po sklepach na Dwudziestej Trzeciej, po czym ona pojechała tramwajem do domu, a ja samochodem do sklepu z tkaninami i akcesoriami, o którym słyszałam, ale gdzie nigdy nie byłam. W ten sposób minęła mi godzina, która dzieliła mnie od umówionej wizyty u Scotta.

Rozejrzałam się dookoła, szukając śladów prawniczki. Nic oczywistego: spod poduszek na sofie nie wyciągnęłam żadnej pończochy, nie znalazłam tkliwego liściku na gzymsie gazowego kominka, żadnej zapomnianej pary damskich okularów przeciwsłonecznych. Tak naprawdę trzeba by było sprawdzić łazienkę pana domu, ale nie miałam pretekstu, żeby tam pójść.

Ale przecież nie obchodziło mnie, czy zostawiła za sobą ślady...

- No więc jak układają się sprawy z Przedstawicielką Prawa?

- Dobrze - odparł Scott, podchodząc i siadając koło mnie. Chciałam opuścić stopy, ale mnie powstrzymał. - Nie ma potrzeby. - Usiadł i położył moje nogi na swoich udach. Połaskotał mnie w podeszwy.

- Przestań! - powiedziałam, kopiąc go w udo wolną piętą. Zaczął masować mi stopy. Było to tak przyjemne, że nie zdobyłam się na protest. - A więc związek z nią się rozwija? - zapytałam, wracając do tematu. Nie zamierzałam pozwolić mu tak łatwo umknąć.

- Ona nie ma zbyt wiele wolnego czasu, więc wychodzimy gdzieś średnio raz w tygodniu. Ma dość absorbującą pracę. Chociaż opowiada też mnóstwo ciekawych historii. Dużo śmieszniejszych niż ja. Cały dzień tylko patrzę ludziom w usta.

- Jest otwarta?

- Zabawna i pewna siebie. Nie zaakceptuje byle czego. Zastanowiłam się, czyja akceptuję byle co, a jeśli tak, jak bardzo było to nieatrakcyjne. A jeśli chodzi o wartość rozrywkową, moje przechodzone dowcipy o dentystach też nie wytrzymały porównania z dramatami z sali sądowej.

- Myślisz, że twój związek z nią ma przyszłość?

- Nie wiem.

- Nadal?

- Nadal - odparł.

- Czy jest ładna?

- Wygląda jak Lucy Lawless z serialu „Xena”.

- Żartujesz.

- Wcale nie.

- Aha - powiedziała i ogarnęła mnie żądza rywalizacji. - A ja byłam na randce z policjantem.

Jego dłonie na moich stopach znieruchomiały.

- Kiedy?

Opowiedziałam mu o wszystkim z wyjątkiem momentu, gdy Pete położył dłonie na moich piersiach, a ja próbowałam sprawdzić, czy ma erekcję. Jednak w skrócie przedstawiłam Scottowi wszystko, co zaszło.

- Bez strat - podsumowałam. - Trochę całowania i macanek, on zasypia i nigdy więcej nie dzwoni. No, cóż... Życie toczy się dalej.

- Wiesz, że od całowania można dostać opryszczki?

- Dziękuję za przypomnienie - powiedziała, myśląc coś dokładnie odwrotnego.

- Miał jakieś ranki dookoła ust?

- Myślisz, że bym go pocałowała, gdyby miał? Raczej nic mi nie grozi. To nie jest zaraźliwe, gdy nie ma ranek, zgadza się?

- Mogą być wewnątrz jamy ustnej. Albo dopiero mu się zaczynały tworzyć i nie były jeszcze widoczne.

- Próbujesz mnie ogłupić? - zapytałam.

- Jest jeszcze gruźlica. Oraz choroba dłoni, stóp i ust.

- A co to, u licha? Czy chorują na to owce?

- Atakuje stopy i usta albo kopyta i pysk. Na dłoniach, stopach i w ustach robią ci się pęcherzyki. To wirus.

- Nigdy o tym nie słyszałam.

- Chorują na to głównie dzieci.

- Nie zamierzam całować się z jęczyczkiem z żadnymi dziećmi.

- Poza tym syfilis.

- Wciąż się na to choruje? Myślałam, że syfilis spotkał los ospy.

- Niezupełnie.

- Niedługo skutecznie zniechęcisz mnie do całowania. Będę ograniczona do przytulaniek i trzymania się za rękę.

Powoli opanowywało mnie wrażenie, że po powrocie do domu powinnam była przepluć usta porcją whiskey. Tylko że nie miałam whiskey. A może pomógłby sok z żurawin?

- Przytulanki są generalnie bezpieczniejsze, ale mogłabyś złapać świerzb.

- Na litość boską! Im więcej mówisz, tym mniej ci wierzę. - Kopnęłam go lekko w udo, po czym usiadłam. - Chyba powinnam się zbierać.

- Nie musisz. Kupiłem rzeczy na kolację. - Spojrzałam na niego, a on szybko ciągnął dalej: - Nakarmię cię z wdzięczności za podłożenie moich spodni. To przekupstwo, nic więcej, bo chcę też, żebyś wcisnęła do swojego planu moje poduszki i kapę.

- Masz jakieś wyobrażenie na temat kolorystyki? Albo stylu? - zapytałam, chociaż tak naprawdę chciałam się dowiedzieć, co się dzieje.

Znaliśmy się od tak dawna, że nie potrafiłam rozstrzygnąć, czy mnie podrywa, czy też jest tylko miły. Może po prostu chciał uniknąć samotnego wieczoru. Zależało mu na towarzystwie w ten sam sposób, w jaki mnie przyjemność sprawiała kolacja z Louise czy herbata i plotki z Cassie.

A może i trochę ze mną flirtował, na tej samej zasadzie, na jakiej trochę flirtowałam z nim ja, bo oboje wiedzieliśmy, że nic z tego nigdy nie będzie. To było bezpieczne. Był eksfacetem Louise i w pewnym sensie zawsze będzie należał do niej.

Nie mogłam zapytać go wprost, czy jego zainteresowanie wykraczało poza uczucie platoniczne, bo bez względu na odpowiedź to pozostawiłoby trwałe ślad na naszej przyjaźni, stwarzając granicę, której oboje musielibyśmy unikać. Dlatego równie dobrze mogłam spróbować o tym nie myśleć.

Oczywiście łatwiej powiedzieć, niż zrobić.

- Nie wiem, jakaś ciepła barwa - powiedział Scott.

- Nie podobają mi się te, które mam. Są brzydkie

- dodał, poklepując jedną z poduszek w lnianych poszewkach. - Sam nie wiem, czemu je kupiłem.

- Ja też nie wiem. - Były zielone i białe, z nudnymi metalowymi guzikami. - Mogę wykorzystać same poduszki, tylko zmienić im poszewki. Tak będzie taniej. Jakiś limit kosztów?

- Ile mogą kosztować poszewki na poduszki?

- Louise i ja widziałyśmy dziś w jednym sklepie na Dwudziestej Trzeciej poduszki za ponad dwieście dolarów.

Patrzył na mnie osłupiały.

- Każda?

- Nie martw się. Ciebie to nie będzie tyle kosztowało - powiedziałam z uśmiechem. - Chociaż być może będziesz musiał wyrwać dodatkowo kilka zębów, żeby mi zapłacić.

- Zawsze mogę ci w zamian zaoferować usługi stomatologiczne. Możemy się rozliczyć na zasadzie barteru.

- Raczej nie - odpowiedziałam, a żołądek podszedł mi do gardła na samą myśl o tym, co proponował.

Posłał mi jedno z tych spojrzeń, jakimi rodzice obrzucają dzieci, które wyjątkowo kiepsko tłumaczą się z tego, że nie chcą jeść brukselki. Po czym poszedł do kuchni.

Zaoferowałam pomoc, ale mnie przegonił, więc zamiast tego rozejrzałam się po salonie. Zastanawiałam się nad gatunkami tkanin, jakich mogłabym użyć na poszewki poduszek. Pasowałaby tu dekoracyjna obiciówka ze strojnymi, złotymi frędzlami.

- Mogę wejść do sypialni? - zapytałam. - Szukam inspiracji do kapy.

Zamarł. Trzymał w dłoniach miskę czegoś, co wyciągnął z lodówki.

- Nie będę węszyć - powiedziałam. - I obiecuję, że nie będę zwracać uwagi na brudną bieliznę.

- Tylko... pozwól mi trochę tam ogarnąć - powiedział, odstawił miskę na blat i rzucił się do pokoju.

Słyszałam, jak się kręci po sypialni, otwiera i zamyka drzwi szafy, słyszałam kroki dudniące na drewnianej podłodze. Zmarszczyłam brwi. Zastanawiałam się, dlaczego nie uprzątnął pokoju wcześniej, skoro wiedział, że chce mnie poprosić o uszycie kapy.

W końcu się pojawił.

- W porządku - powiedział, chociaż wyglądał na nieco przestraszonego.

- Pochowałeś pornosy?

Oczy zrobiły mu się okrągłe jak spodki.

- Mój policjant twierdzi, że wszyscy faceci je przeglądają.

- Nie wszyscy.

- To nie jest zaprzeczenie.

- Odmawiam zeznań przeciwko sobie.

- Och, na litość boską, idź robić kolację - powiedziałam i minęłam go, kierując się w stronę sypialni.

Patrzył za mną, ale odgoniłam go ręką. Poszedł do kuchni.

Byłam sama w męskiej świątyni.

Ogarnęła mnie ochota, by poszperać, przekopać się przez szuflady i apteczkę, zajrzeć pod łóżko, ale pokusa nie była wielka i łatwo ją pokonałam. Nie mogłabym w ten sposób zawieść jego zaufania. Czuję się paskudnie.

Chociaż chciałabym wiedzieć, czy było tu gdzieś pudełko z prezerwatywami, których termin ważności zbliżał się wielkimi krokami, taki lateksowo-kartonowy symbol nadziei i rozczarowania. Nie miałam zamiaru snuć fantazji na temat Scotta kochającego się z jakąś kobietą, ale chciałam przynajmniej myśleć, że miałby na to ochotę. Z jakiegoś powodu podobała mi się wizja Scotta usychającego z seksualnej frustracji.

Skoro ja nie mogłam znaleźć zaspokojenia, to czemu on miałby je znaleźć. I niech licho porwie prawniczkę a la Lucy Lawless.

W jego sypialni niewiele było do oglądania poza zwykłym galimatiasem niepotrzebnych sprzętów

elektronicznych: radia z zegarem i odtwarzaczem CD, który wyświetlał czas w wersji cyfrowej na suficie, telewizora, odtwarzacza płyt DVD, urządzenia, które produkowało kojące dźwięki, poczynając od deszczu, po surfowanie i krykiety, a którego, jak przypuszczam, używał do usypiania. Jeśli w ogóle go używał. Scott miał słabość do gadżetów i sklepów, które je sprzedawały, jak Brookstone czy The Sharper Image. Nie był materialistą, lubił tylko czystą zabawę kupowania i posiadania sprzętu. Kiedyś powiedział, że to pasuje do jego zawodu.

Miał łóżko bez zagłówka, tylko stelaż pod materacem ze sprężynami kieszeniowymi, na który rzucona była nie przykryta niczym kołdra. Na ścianie wisiał mały orientalny kobierzec i dwa muzealne plakaty dzieł Paula Klee, które wyglądały, jakby miał je od czasu studiów.

Byłam ciekawa, czy gdybym otworzyła harmonijkowe drzwi szafy, to ze środka wysypałaby się brudna bielizna. Przypuszczałam, że luk.

Łazienka również nie wzbudziła mojego zainteresowania, z wyjątkiem jonowej suszarki do włosów, elektrycznego urządzenia do usuwania włosów z nosa i uszu, maszynki do golenia i prysznicowego odtwarzacza CD. Na umywalce widać było ślady mydlin i kremu do golenia ze zgoloną szczeciną. Koło sedesu stał kosz z gazetami. Znalazłam w nim egzemplarze „Men's Health” i „Bicycling”, sygnałny egzemplarz „The Smithsonian” i pognieciony katalog „Victoria's Secret”. Ciekawa byłam, co tak naprawdę przeglądał, gdy tu był.

Męskie łazienki bardzo różnią się od damskich. Żadnych stert biżuterii, kosmetyków do makijażu,

buteleczek z mleczkami i produktami do pielęgnacji włosów, grzebieni i spinek, pincet i nożyczek do paznokci, wałków i lokówek z kablami wiszącymi i przytrzaszkiwanymi drzwiami. Brak dywaników łazienkowych i dobranych do nich zasłon prysznicowych, licznych szamponów, odżywek, żelów do kąpieli i szorstkich gąbek. W jaki sposób oni o siebie dbają?

Zgadywałam, podobnie jak w przypadku szafy, że gdybym otworzyła szufladę szafki, znalazłabym skarby takie jak krem do golenia, pałeczkę ałunu, płyn po goleniu i pewnie więcej produktów dentystycznych niż jedna osoba jest w stanie zużyć w ciągu roku. A być może również pudełko nowych prezerwatyw. Szlachetnie oparłam się pokusie, by poszukać na szczotce długich włosów, które mogłyby zdradzić obecność prawniczki w tym pomieszczeniu. Zamiast tego zadumałam się nad kolorystyką.

Wróciłam do salonu i na przemian kontemplowałam widok ciemniejszego miasta za oknem i potencjał pokoju, zwłaszcza w sytuacji, gdybym miała swobodę wyboru i platynową kartę kredytową do dyspozycji. Rozważania przerwał mi Scott, który zawołał mnie na kolację.

Podał makaron z pikantnym, czerwonym sosem, sałatę z serem, jajkami, grzankami i anchois, chleb oliwkowy oraz wodę z lodem i cytryną.

- Jakie wytworne - powiedziałam. Naprawdę byłam zachwycona. - A ja się spodziewałam hot dogów.

- Większość rzeczy kupiłem w sklepie. Wiesz, w delikatesach U Zupana.

- I tak robi wrażenie. Lepsze to niż masło orzechowe i galaretka, które miałam zaplanowane na dziś wieczór.

- Zamierzałem otworzyć butelkę czerwonego wina, ale nie...



- I tak bym nie mogła wypić - skończyłam za niego. Wiedział dobrze, że nie piję alkoholu, gdy jeżdżę samochodem. Miałam słabą głowę.

Zajęliśmy się jeźdzeniem, gawędząc o możliwych rozwiązaniach kwestii kapy i poduszek, po czym rozmowa zboczyła na pracę, aż wreszcie skupiliśmy się z powrotem na moim ulubionym temacie: związkach międzyludzkich.

- Jednego nie rozumiem u tego Pete'a - powiedziałam. - Włożył tyle wysiłku w próby zaciągnięcia mnie do łóżka, po czym tak łatwo zrezygnował. Bo w końcu chyba jestem warta trochę więcej wytrwałości. W ogóle mnie nie polubił? Czy tamtego popołudnia był tylko napalony?

- Wydawało mi się, że wspomniałaś, jakoby ta sprawa w ogóle cię nie gryzła.

- Bo nie - nagięłam prawdę. Pete nie zasługiwał jeszcze na lalkę wudu. - Próbuję tylko zrozumieć zasadę działania męskiego umysłu.

- Nie patrz na mnie. Ja nie robię takich rzeczy.

- Nigdy?

- Ten facet wygląda mi na niezłego palanta.

- Ale był taki miłutki.

Scott uniósł brwi i spojrzał na mnie.

- Może po prostu jest zajęty - powiedziałam. - Może dopadł go atak nadpobudliwości i to odwróciło jego uwagę.

- A gdyby zadzwonił, umówiłabyś się z nim znowu? - zapytał z niedowierzaniem Scott.

- Nieee... - odpowiedziałam.

- Hanno, powiedz, że byś się nie umówiła.

- Może ma jakąś tajną akcję i nie mógł zadzwonić.

- Mówiłaś, że jeździ w patrolach.

- Może został postrzelony.

- I co jeszcze? - parsknął. - Nie mogę uwierzyć, że znowu byś się z nim spotkała. Już ci pokazał, do jakiego typu ludzi należy.

- Tak, tak - odparłam. Tylko że to było kłamstwo i Scott o tym wiedział. - Ale może...

- Nie ma żadnego „ale” - przerwał mi. - Na litość boską, twierdzisz, że próbujesz znaleźć kandydata na męża, człowieka, który będzie cię dobrze traktował i nadaje się na ojca twoich dzieci, a teraz mówisz o spędzaniu czasu z jakimś palantem. Czemu? Bo jest milutki?

- Nie powiedziałam, że chcę za niego wyjść za mąż - stwierdziłam. - O co ci chodzi? Nie mogę się trochę zabawić? Może zależy mi tylko na seksie, może to jedyny powód, dla którego chcę się z nim jeszcze spotkać. Faceci w kółko tak robią, dlaczego ja nie mogę?

- Gdyby chodziło tylko o seks, nie rozmawialibyśmy o tym. Mogłabyś wyjść na ulicę i znaleźć tuzin facetów, którzy chętnie poszliby z tobą do łóżka. Gdyby tylko o to chodziło, to od razu byś się przespała z Pete'em.

- Zastanawiałam się nad tym.

- Nie jesteś taka. Nie sypiasz, z kim popadnie.

- A co? Jestem w szkole średniej? Co to, lata pięćdziesiąte? Nie, nie sypiam, „z kim popadnie”, ale nie z powodu jakiegoś przedawnionego kodeksu moralnego. Gdybym się nie bała, że ktoś złamie mi serce albo złapię jakąś paskudną chorobę, możesz być pewien, że zabierałabym do domu każdego, kto by mi wpadł w oko.

- W takim razie dlaczego tego nie robisz? Możesz się przecież zabezpieczyć. A jeśli to romans na jedną

noc, to nie ryzykujesz złamania serca. - Wyglądał na równie zdenerwowanego, jak ja. - Jeśli jesteś taką Nowoczesną Panną, to czemu nie postępujesz zgodnie z głoszonymi przez siebie zasadami.

- Może będę - burknęłam niczym zbuntowana nastolatka.

- Nie będziesz - powiedział, a w jego głosie brzmiało powątpiewanie oraz nadzieja, że kłamię.

Na długą chwilę zapadła cisza. Scott grzebał widelcem w swoim zimnym makaronie. Podniósł na mnie wzrok.

- Nie chcę, żebyś cierpiała. Pragnę dla ciebie tego, co najlepsze.

Nie miałam na to żadnej odpowiedzi. Chciałam powiedzieć, że sama decyduję, co dla mnie najlepsze, lecz zdawałam sobie sprawę, że zabrzmiałoby to infantylnie. Kiedy ktoś jest szlachetny i mówi coś w twoim najlepiej pojętym interesie, zbyt łatwo jest wyjść na niewdzięcznika.

- Cóż, dziękuję - mruknęłam w końcu.

- Nie ma za co - powiedział łaskawie.

I zaczęliśmy rozmawiać o czymś innym.

*PODUSZKI NA RAMIONACH I WYPCHANY BIUST*

Większość czasu w następnym tygodniu zeszło mi na mgliście zapamiętanym szyciu, jeżdżeniu na umówione spotkania, surfowaniu po Internecie i czytaniu thrillerów wypożyczonych z biblioteki.

Taka biblioteka to wspaniałe miejsce, z wolnym dostępem do rzekomo edukacyjnych książek i ich eskapizmu. Jeśli jesz, żeby uciec przed swoimi nastrojami, albo robisz zakupy, albo kochasz się czy pijesz, każdy mówi, że masz problem. Przeczytaj książkę, to pomyślą, że jesteś inteligentny.

Męczyło mnie poczucie winy i zakłopotanie w związku z kłótnią ze Scottem. Nigdy wcześniej się tak nie starliśmy, nigdy nie pozwoliliśmy, aby nasza rozmowa przybrała tak osobisty obrót, nigdy nie odsłoniłiśmy w ten sposób swoich uczuć.

Dreńczęce uczucie sprawiło, że moje dni stały się szare. Miałam wrażenie, że wszystko, co mówię do przyjaciół, jest niewłaściwe, że źle układają się kontakty z klientami, nie szyję tak dobrze, jak powinnam, i ktoś wreszcie zauważy te braki. A na dodatek czułam się opuchnięta i nabrzmiała, miałam tłustą skórę, którą pokrywały nowe wypryski. Wszystko to było jawnym dowodem, że czuję się przegrana.

Zdawałam sobie sprawę z tego, że mój nastrój i towarzyszące mu poczucie klęski są przejściowe. Wiedziałam, że to kwestia postrzegania i że za tydzień czy dwa wszystko znów będzie rozświetlone słońcem, ale w tym momencie panował cień, bezład i mrok porażki.

Tak więc szylałam i jeździłam, czytałam, jadłam i spałam, spędzałam noce na przeglądaniu okropnych ogłoszeń w Internecie, a wszystko to w ramach prób nierozpamiętywania kłótni ze Scottem. Czasowo usunęłam moje własne ogłoszenie, wiedząc, że jestem w zbyt kiepskim nastroju, by odpowiadać na listy.

Przerwałam nawet prace nad moją suknią ślubną. Gdybym ją szyla, Ten Jedyńy mógłby się naprawdę pojawić, a mnie nie chciałoby się nawet zrobić sobie porządnego makijażu.

Nadszedł czwartek. Byłam umówiona z klientką. Powiedziała przez telefon, że chce, abym uszyła suknię wieczorową i dwie inne kreacje dla jej dwunastoletniej córki na konkurs piękności w przyszłym miesiącu.

Jak mogłabym coś takiego przepuścić? To było niemal tak samo dobre jak szycie kostiumów zapaśniczych. Albo może nawet lepsze: dziecięce wybory miss były bez wątpienia dziwniejsze i bardziej perwersyjne.

Apartamentowiec, gdzie mieszkała Carin Hoag, leżał w tej samej części miasta, co mieszkanie Pete'a. Mniej więcej ten sam był również poziom cenowy. Zawsze się zastanawiałam, jak by to było dorastać w takim miejscu i nazywać domem blok mieszkalny, a nie willę w Roseburgu, gdzie mój pokój pozostawał zawsze moim pokojem, jakby nigdy wcześniej nikt inny tam nie mieszkał i nigdy nie miał mieszkać.

Pewnie można się do tego przyzwyczaić, ale mimo to cieszyłam się, że jest konkretne miejsce, które mogłam nazywać domem.

Zaparkowałam, znalazłam właściwe drzwi i zapukałam. Dobięły mnie odgłosy kobiecej kłótni. Czekałam cierpliwie. Poczekałam jeszcze chwilę, ale wrzaski za drzwiami nie ustawały. W końcu drzwi się otworzyły i stanęłam twarzą w twarz z naburmuszoną dziewczyną, która wyglądała na mniej więcej osiemnaście, dwadzieścia lat. Między palcami miała zapalonego papierosa.

Papieros. O rany. Wydawało mi się, że w Oregonie palili jeszcze tylko starsi ludzie przesiadujący w barach i grający w pokera na wideo. Albo nastolatki, żyjące na koszt opieki społecznej, zanim skończą na heroinie i obciążaniu za dwadzieścia dolarów.

Wszyscy inni byli zbyt zajęci pieszymi wycieczkami i kupowaniem zdrowych warzyw.

- Tak? - odezwała się istota z papierosem. Miała na sobie dzinsowe biodróvky tak opięte, że

wpijały się jej w krocze, oraz dopasowaną, pomarańczową koszulkę, którą musiała kupić w dziale dziecięcym. Zaciągnęła się fachowo papierosem, a ja wyobraziłam sobie jej przyszłość w postaci uszkodzeń chrząstki stawowej.

- Pani Hoag? - zapytałam. Dziewczyna przewróciła oczami.

- To moja matka.

- Nazywam się Hanna O'Dowd. Krawcowa. - Liczyłam na obudzenie jakichś skojarzeń w jej głowie.

Niedługim korytarzem za plecami dziewczyny zbliżyła się właśnie starsza kobieta o matowych, natapirowanych włosach pokrytych grubą warstwą lakieru.

Miała głębokie bruzdy dookoła ust, a fuksjowa szminka spływała zmarszczkami na dolnej wardze mimo ciemnobrązowej granicy wyznaczonej konturówką.

- Zniszczysz sobie skórę, Bethany! - powiedziała kobieta i wyrwała dziewczynie papierosa w chwili, gdy ta właśnie unosiła go do ust.

- Chcesz, żebym przytyła? - odwarknęła dziewczyna. - Wszystkie modelki palą. I baletnice. Zrobię się tłusta. - Spojrzała na mnie. - Założę się, że ona nie pali.

Ważylałam w myślach te 500-700 dolarów brutto, które mogłam tutaj zarobić. Na drugiej szali znalazło się dziesięć minut w towarzystwie Bethany.

- Zamknij się - powiedziała pani Hoag. Bethany naburmuszona odeszła ciężkim krokiem. - Przepraszam - powiedziała pani Hoag. - Jest zła, bo nie pozwoliłam jej iść jutro wieczorem na imprezę. Proszę wejść.

Uśmiechnęła się w sposób, który pewnie uważała za ciepły, życzliwy, ale ja się czułam, jakby wabiła mnie czarownica z bajki, która nie umie do końca ukryć faktu, że piekarnik już się grzeje.

Dom wypełniony był zapachem mdląco słodkiego, kwiatowego odświeżacza powietrza oraz dymu papierosowego. Na umeblowanie składały się tandetne, dębowe stoły i krzesła oraz beżowa, obita gruzeł-kowatą tkaniną sofa. Ponad nią wisiała oprawiona w ramę odbitka, która wyglądała, jakby przywędrowała tu prosto z salonu meblowego. Na szczycie szafki ze sprzętem RTV wypełnionej, poza telewizorem i kasetami wideo, także trofeami i szarfami, stał sztuczny kwiatek.

Na pozostałych ścianach wisiały zdjęcia Bethany przebranej w kostiumy, z koronami na ufryzowanej

głowie, szarfami przewieszonymi przez dziecięce ciało. Na najstarszych zdjęciach twarz umalowana niczym relikw z lat osiemdziesiątych uśmiechała się jeszcze młoczakami. Przeszył mnie dreszcz. Efekt działania potworów z filmowych horrorów nie umywał się do odrazy, jaką budziła dziecięca królowa piękności.

Pani Hoag zobaczyła, że przyglądam się zdjęciom, więc opowiedziała mi o każdym. Gdy dotarliśmy do końca, zdałam sobie sprawę z tego, że musiała wydać tysiące dolarów na kostiumy, wpisowe, autokary i koszty związane z podrózkami, a w zamian za to dostała szmirowate trofea stojące na półkach i sporadyczne nagrody pieniężne, które wystarczały na zapłacenie noclegu w hotelu.

Staralam się znaleźć uprzejmy sposób na zadanie pytania, które nie dawało mi spokoju. Brzmiało ono: „Czemu, u licha, marnuje pani na to pieniądze?” Zamiast tego jednak zapytałam:

- A więc... co ściągnęło panią i Bethany na dziecięce konkursy piękności?

- To inwestycja. Uniosłam brwi.

- Na wyższym poziomie można dostać stypendium. Chcę, żeby Bethany poszła na studia, i tak właśnie zdobędziemy na to pieniądze. - Wyciągnęła papierosa i zapaliła. - W inny sposób nie mogłybyśmy sobie na to pozwolić.

Ta kobieta była najwyraźniej nieświadoma faktu, że uczestnictwo w pokazach pochłoneło fundusze wystarczające na wykształcenie przynajmniej jednego dziecka. A skoro ona miała geny idioty, to należało wątpić, czy, z pieniędzmi czy bez, Bethany kiedykolwiek stanie w drzwiach otoczonej szacunkiem uczelni.



Zadzwoił telefon i Bethany wyskoczyła ze swojej kryjówki, gdzie oddawała się dąsom. Zaraz potem usłyszałyśmy podekscytowaną, pełną pisków paplaninę. Po chwili wzięła telefon i zniknęła z nim w odmętach mieszkania, nie przerywając trajkotania.

Pani Hoag wyjęła kasetę wideo i wsunęła ją do odtwarzacza.

- Tu jest suknia, o jaką mi chodzi - powiedziała, gdy na ekranie pojawił się obraz. Przewijała na podglądzie amatorskie nagranie z pokazu. - Ma pani wideo?

- Mam.

- Dam pani taśmy ze strojami.

- Chce pani, żebym zrobiła kopię? Myślałam, że marzy o czymś oryginalnym.

- Pierwsze miejsce z zeszłego roku. O, jest.

Na ekranie pojawiła się dziewczynka w bliżej nieokreślonym wieku w wieczorowej sukni lśniącej od koralików i kryształków, tak szerokiej w ramionach, że od razu pomyślałam o dawno zapomnianych odcinkach „Dynastii”. Dziewczynka była dziwnie nieproporcjonalna, niczym lalka z nieodpowiedniej długości nogami i tułowiem.

Jej głowa, z fryzurą na niemal jedną trzecią wysokości dziewczynki, wyglądała, jakby należała do dwudziestolatki. A ciało, bez bioder i talii - do ośmiolatki, mimo wypchanego biustu.

Zaczęło mi być żal Bethany. Po czym uznałam, że powinnam żałować samej siebie, bo będę musiała spędzić całe godziny na wykonaniu takiego paskudnego kostiumu.

Wytrzymałam jeszcze pół godziny nagrania. Pani Hoag znalazła wreszcie inne kostiumy, na jakich jej

zależało, po czym zabrała mnie do pokoju Bethany, żebym mogła wziąć wymiary.

- Myślę, że Tyler jest fajniejszy od Davida - powiedziała Bethany do słuchawki. - Wpadł na mnie na korytarzu. Zrobił to specjalnie. Jest taki dziecinny! Ale chyba mu się podobam.

Wtedy zobaczyła, że się zbliżamy - za panią Hoag wciąż ciągnęła się smuga papierosowego dymu - wyszeptała krótkie „cześć” i odłożyła słuchawkę.

- Maaamo! - powiedziała, przetaczając się na brzeg łóżka i wstając. - Wiesz, że nie wolno ci palić w moim pokoju.

- Hanna musi wziąć twoje wymiary - powiedziała pani Hoag.

Celowo zaciągnęła się znowu papierosem, spojrzała na córkę i wyszła.

Bethany patrzyła za nią, a potem zwróciła się w moją stronę z uśmiechem wyższości.

- Ja tak naprawdę nie palę, wiesz? Udaję tylko, żeby ją wkurzyć. A może zmusić do zastanowienia, co sama robi swojej skórze i płucom. Widziałaś te jej zmarszczki dookoła ust? - zapytała Bethany i wzdrygnęła się. - Boże, to taka strata czasu.

Uniosła nieco ramiona i stanęła nieruchomo, czekając, aż ją zmierzę.

- W takim razie dlaczego to robisz? - zapytałam, owijając ją miarą krawiecką i zapisując wymiary w notesie.

- Żeby miała jakieś zajęcie. Ona nie ma własnego życia.

Aha, altruistka.

- W ogóle ci to nie sprawia przyjemności? Wzruszyła ramionami.

- Sprawiałoby, gdybym mogła sama wybierać sobie kostiumy i wymyślać układy choreograficzne. Widziałaś kasety wideo? Widziałaś, do jakich idiotyzmów nas zmuszają? Powinni pozwolić nam tańczyć jak na kanale MTV.

Miała trochę raki, chociaż pomyślałam, że oglądanie niedojrzałych dziewczynek kręcących biodrami byłoby jeszcze bardziej niepokojące niż te sztywne, marionetkowe ruchy, jakie oglądałam na taśmie.

- A twój tato...? - zapytałam.

- Zobaczę się z nim w sierpniu. Mieszka w Montanie. Mają tam konie... Chciałabym z nim mieszkać.

Skończyłam spisywać wymiary, ale nie chciałam jeszcze przerywać rozmowy z Bethany. Okazała się dość interesująca.

- Kim jest ten Tyler, o którym mówiłaś? Posłała mi długie, znaczące spojrzenie.

- Wiesz, spodziewałam się, że będziesz kolejną nieudacznicą w średnim wieku, z jakimi zadaje się mama. Znasz ten typ, co to ma na ścianach porozwieszane cytaty z Biblii i wciąż zbiera maskotki. Ale ty nie jesteś taka jak one.

- Broń Boże.

- Więc mogę cię o coś spytać?

- Pewnie - odparłam.

- Co jest nie tak z facetami?

- Hej, sama chciałam to wiedzieć.

- To znaczy, dlaczego nie potrafia okazać sympatii inaczej, niż zachowując się w stosunku do ciebie podle? - zapytała z ręką na biodrze.

- Wyrastają z tego. Przynajmniej większość.

Nie wyglądała na usatysfakcjonowaną moją odpowiedzią. Usiadłam na brzegu łóżka i próbowałam sobie

przypomnieć, jak to jest, gdy ma się dwanaście lat. Czy ja wtedy cokolwiek wiedziałam? Nie, i wątpiłam, czy z Bethany, mimo jej poważnego wyglądu, jest inaczej.

- Posłuchaj - powiedziałam. - Zdradzić ci, co chciałabym, żeby ktoś mi powiedział o chłopcach, gdy miałam dwanaście lat?

- Pewnie.

Oczywiście, że chciała to usłyszeć. I wiedziałam, że cokolwiek powiem, niczego to nie zmieni. Jak w większości przypadków, wszystkiego trzeba się nauczyć samemu.

- Dobrze. Większość chłopców dorośnie dopiero przed trzydziestką. Jeśli w ogóle... Więc masz przed sobą przynajmniej piętnaście lat. Zajmij się swoim życiem i nie zwracaj sobie głowy głupimi chłopakami.

- I co? Mam nie chodzić na randki? - zapytała z niedowierzaniem.

- Nie, musisz się umawiać, żeby się ćwiczyć w postępowaniu z chłopakami. Zresztą to może być zabawne. Chodzi mi tylko o to, żebyś na pierwszym miejscu stawiała siebie. Nie rezygnuj ze swoich marzeń na rzecz chłopca.

- Nawet gdybym go kochała?

- Po co kochać faceta, który nie chce, żebyś realizowała własne cele i rozwijała zainteresowania? Przecież to głupota?

Wzruszyła ramionami, najwyraźniej nie przekonana moimi mądrymi słowami.

- Masz jakieś inne rady? Uśmiechnęłam się i wstałam.

- To, co już nieraz słyszałaś. Na żadnym facecie świat się nie kończy. Pielęgnuj przyjaźnie: przyjaciele z tobą będą, gdy odejdzie chłopak. Poczekaj z seksem,

aż będziesz starsza, i zawsze używaj prezerwatyw. Nie spiesz się z małżeństwem. Wzniosła oczy do góry.

- Tak, wiem - dodałam. - Ale naprawdę myślę to, co powiedziałam. Faceci będą się pojawiać i znikać. Tylko ty będziesz ze sobą całe życie, więc traktuj się dobrze. Traktuj siebie... z całym oddaniem, jakie miałybyś dla ukochanego chłopaka.

- A ty tak właśnie robisz?

- Hej, sama się jeszcze tego wszystkiego uczę. Próbuję przekazać ci wnioski z moich doświadczeń.

- Aha.

Była pełna wątpliwości.

Spojrzałam na zegarek, szukając pretekstu do przerwania rozmowy, zanim cała moja hipokryzja wyjdzie na jaw.

- Rany, muszę lecieć - powiedziałam. Znalazłam panią Hoag i wzięłam taśmy. Obiecałam

zadzwoić i podać szacunkową cenę oraz termin wykonania zamówienia, po czym wyszłam. Właśnie wsiałam do samochodu, gdy zadzwonił mój telefon komórkowy.

- Usługi krawieckie Hanny. Słucham?

- Hanna? Tu Pete. Jesteś gotowa na wycieczkę?

*LATEKS*

Miał naprawdę piękny tyłek.

Mówi się, że kobiety osiągają szczyt swojej seksualnej aktywności przed czterdziestką. Ja dopiero za kilka miesięcy miałam minąć granicę trzydziestki, a już zaczynałam się ślinić na widok pięknych pośladków. Co będzie, gdy skończę trzydzieści pięć lat? Trzydzieści dziewięć? Czy będzie trzeba polewać mnie wężem? Czy będę się rzucać na kolegów ze studiów? Czy będę należeć do tego typu starszych kobiet, przed którymi matki zapominały ostrzec swoich synów?

- W porządku? - zapytał Pete, odwracając się do mnie.

Od godziny szliśmy szlakiem w parku narodowym Mt. Hood National Wilderness. Droga cały czas pięła się serpentynami w górę, w głębokim cieniu drzew iglastych. Byłam gotowa na przerwę i chętnie spędziłabym ją na masowaniu jego pośladków.

- Chyba muszę się napić.

- Ja też bym nie odmówił - powiedział i zatrzymał się. Zdjęłam swój mały plecak i wyjęłam z niego butelkę wody. Pete miał swoją w sportowym uchwycie z neoprenu i siatki.

Minęła nas para w średnim wieku zmierzająca w przeciwnym kierunku. Uśmiechnęli się, przywitali i pomachali laskami. Uśmiechnęliśmy się i pozdrowiliśmy ich w odpowiedzi.

Był wtorek, więc mieliśmy nadzieję, że szlak będziemy mieli prawie wyłącznie dla siebie, ale dzień był bardzo ładny, a w Portland pełno było entuzjastów aktywności na świeżym powietrzu. Mimo to ludzi na szlaku było bez porównania mniej niż w czasie weekendu.

Nie wiedziałam, czy do przyjęcia zaproszenia Pete'a zmusiło mnie pobudzenie seksualne, brak szacunku do siebie czy też ciekawość. Przez telefon wydawał się kompletnie nieświadomy, że mogłam mu wziąć za złe fakt, że nie odezwał się przez dwa tygodnie. Wy tłumaczył swoje długie milczenie pracą i dodał: „W wolne dni musiałem pomagać koledze w przeprowadzce”.

W głowie dźwięczały mi upomnienia Scotta, ale zaryzykowałam i zgodziłam się. Może robiłam to, żeby dowieść, iż sama podejmuję decyzje. I że mogę być szalona, jeśli mam na to ochotę.

Zresztą zainwestowałam w buty do pieszych wędrowek. A poza tym, kiedy znowu będę tak blisko równie wspaniałego ciała?

No tak, zgadza się, pięciolatek ma lepszą zdolność koncentracji i ciekawsze rzeczy do powiedzenia niż Pete, Wygadany Głina, ale...

Dziewczyna ma prawo być choć raz w życiu niegrzeczna.

Może on naprawdę mnie polubił? Może istniał choć cień realnej szansy na wcielenie w życie wizji ogródka na tyłach domu i grilla?

A może chciałam po prostu zobaczyć go nago. To zapewne element nowości nie pozwolił mi zareagować z większym entuzjazmem, kiedy byliśmy w jego mieszkaniu. Dzisiaj, po kilku godzinach spędzonych razem, hormony powinny się rozpaść jak silniki promu kosmicznego.

W każdym razie tego można się spodziewać.

Woda była ciepła i smakowała plastikiem, ale i tak zakuło mnie we wrażliwym zębie.

Skrzywiłam się i odłożyłam butelkę z powrotem do plecaka, po czym podjęliśmy naszą mozolną wędrówkę przez wspaniałości dziczy, a Pete zaczął opowiadać o ściąganiu na pobocze pijanego kierowcy, który jeździł zygzakiem wraz ze swą równie wstawioną dziewczyną.

- Więc zapytałem go, dokąd jedzie, i wiesz, co ten idiota mi powiedział? „Jadę po szczęście!” Dziewczyna w kółko mu powtarzała, żeby się zamknął, ale on bardzo chciał się popisać.

Te opowieści zaczynały mi się zlewać w jedno i już się nauczyłam, że wszystkie mają takie samo zakończenie: Pete, dzięki swojej bystrości i odwadze, łapie jakiegoś szmaciarza, a tym samym ulepsza świat.

Kiedy snuł te historyjki, emanował dziwną energią, jakby przypominanie sobie tych wydarzeń podwyższało mu poziom adrenaliny. Samo słuchanie go było męczące.

Wydawałam stosowne dźwięki świadczące o zainteresowaniu jego męskimi zaletami i skupiałam uwagę na pokonaniu kolejnych stu metrów bez zatrzymywania się. Martwiłam się o to, jak intensywny zapach będą miały moje majtki pod koniec tej wędrówki. To stanowi problem, gdy ma się w planach seks oralny.



Szlak wił się pomiędzy łąką i lasem, przecinał wąskie, rwące rzeczki. Po upływie półtorej godziny w końcu dotarliśmy do celu: do wodospadu.

Nie był tak wysoki jak wodospady w wąwozie Columbia ani tak potężny jak te w parku stanowym Silver Falls, ale i tak się cieszyłam, że wspinaczkę mieliśmy już za sobą, więc było mi wszystko jedno. Spadająca woda tworzyła chłodną mgiełkę bryzy. Stałam na krawędzi skalistego basenu i chłoniłam wilgotne powietrze.

- Budzi respekt, prawda? - zapytał Pete.

Mruknęłam potakująco i otworzyłam oczy. Rozejrzałam się po niewielkiej, otwartej przestrzeni. Był tu mężczyzna z aparatem i statywem oraz dwie starsze kobiety, które właśnie się oddalały.

- Zjemy tutaj?

W plecaku miałam mnóstwo batoników. Wędrowanie zabiło we mnie głód, ale wykorzystałabym każdą wymówkę, żeby przedłużyć nasz odpoczynek, nim ruszymy z powrotem w las.

- Znam miejsce... leży trochę w górę strumienia. Jest tam spokojnie i miło. Moglibyśmy pomoczyć nogi w wodzie.

- Jak daleko w górę strumienia? - zapytałam, zastanawiając się jednocześnie, ile kobiet tam już zabrał.

Nie bałam się, że skończę pogrzebana pod gnijącym pniem, ale też niezbyt podobała mi się perspektywa bycia kolejną jego zdobyczą. Pomyślałam o nacinaniu karbów na kolbie starej strzelby. Byłam tu, żeby wykorzystać jego wspaniałe ciało, a nie odwrotnie.

- Niedaleko. Pięć, może dziesięć minut drogi.

- Może być.

Musieliśmy ominąć wodospady. Znowu się pięliś-

my w górę, tym razem obok wyznaczonego szlaku. Służbom porządkowym parku pewnie niezbyt spodobałyby się zniszczenia delikatnej flory, jakich dokonały nasze buty, ale nie wspomniałam o tym Panu Obrońcy Prawa, żeby nie wyjść na mięczaka.

Po piętnastu minutach opanowała mnie radość, że zachowałam milczenie: wyszliśmy na szumiący strumień usiany słonecznymi plamami. Na ocienionych brzegach piętrzyły się skały i głazy porośnięte zielonym mchem. W zasięgu wzroku nie było widać żadnych ludzi. Opadłam na piaszczysty brzeg i zajęłam się butami.

Pete usiadł koło mnie i zrobił to samo.

- Założę się, że nie wskoczysz nago do wody - powiedział.

Zdjęłam skarpetki. Stopy miałam pokryte różowym wzorkiem odpowiadającym ich fakturze.

- A ty? - odpowiedziałam.

- Zrobię to, jeśli ty też to zrobisz - powiedział z uśmiechem, który zapewne uważał za lubieżny.

Nie było co udawać, że nie wiadomo do czego prowadziłyby moja zgoda. Niezbędne na taką okazję rzeczy miałam w plecaku. Trzeba być przygotowaną na każdą ewentualność.

Mimo to wahałam się. Czy naprawdę chcę to zrobić? Może kusilo mnie to tylko dlatego, bo dawało okazję do udowodnienia, że nie wiążą mnie przestarzałe normy moralne?

Z drugiej strony to mogłoby być naprawdę zabawne. I nie było żadnego konkretnego powodu, żeby tego nie zrobić.

Posłałam mu uśmiech z gatunku „a co tam”, zdjęłam koszulę, a potem szybko sięgnęłam do tyłu i odpięłam stanik.

- A niech mnie! - powiedział i zdarł z siebie koszulę. Rozebrałam się i wstałam, po czym dotarło do mnie,

że stoję nagusienka w środku lasu. Nawet mi się to podobało. Naga w centrum handlowym - nie, ale tutaj... prawie jakbym była bestią z dziczy.

Pete zrzucił z siebie slipy i wstał. Po pobieżnym obejrzeniu towaru - zbyt krótkim, żeby się zorientować, co miał do zaoferowania - przebiegłam kilka kroków do strumienia i wskoczyłam do wody.

Po czym szybko z niej wyskoczyłam.

- Jest lodowata!

- A czego się spodziewałaś? Przecież to górski potok - powiedział z charakterystyczną, męską pewnością siebie.

Założę się, że większe szanse przetrwania tutaj przez tydzień miałby Wade.

Pete wskoczył do strumienia, a kiedy mnie mijał, spojrzałam w dół na kawałek jego ciemniejszego ciała. Nie byłam pewna, ale wydawało mi się, że nie jest obrzezany. To by był mój pierwszy. Kryła się w tym potencjalna przyjemność, jeśli pozwoliliby mi pobawić się napletkiem.

Zbliżał się do środka strumienia. Dla utrzymania równowagi wyciągnął ramiona na boki, a stopami szukał oparcia na gładkich kamieniach. Nogi i pośladki napinały się niczym na pokazie anatomii. Woda sięgała mu zaledwie do goleni.

- Jak mamy w tym pływać? - zapytałam z rękami skrzyżowanymi na piersiach.

Żałowałam, że nie mam kamery wideo. To było lepsze niż spotkanie oko w oko z Tarzanem. A nawet, jak przypuszczałam, lepsze niż filmy z „Purpurowego Pałacu”.

- Chyba nie liczyłaś na pływanie kraulem, co?

- zapytał, obracając się tak, że stał zwrócony twarzą w dół strumienia, a woda rozbijała się o jego łydki. I wtedy, ni z tego, ni z owego, usiadł. - Łuhu!

- wrzasnął. - Łuhu!

Każdy turysta w promieniu kilometra musiał go usłyszeć.

- Łuuu! Zimno, cholera!

Spryskał sobie wodą twarz, klatkę piersiową i pachy. Szybko się położył, schował głowę pod wodą, po czym wyskoczył z niej, krzycząc i wyjąc.

- Pete! Na litość boską, ktoś cię usłyszy i tu przyjdzie.

- Nieee, nikt nie będzie chciał mieć z nami nic wspólnego. Chodź! Właź do wody! Łuuu!

Odpoczęłam już po wyczerpującej wędrówce i miałam jeszcze mniejszą ochotę na wejście do wody niż kilka minut wcześniej. Zagryzłam wargę, spojrzałam na Pete'a, a on wtedy otworzył zapraszająco ramiona.

Cóż, to mnie na pewno rozgrzeje.

Zacisnęłam pięści i zmusiłam się, by wejść do wody. Wolno zmierzałam w jego stronę, nie odrywając wzroku od muskularnej, skąpanej słońcem nagrody.

Nagle stopa omsknęła mi się na kamieniu, straciłam równowagę i odzyskałam ją w ostatniej chwili. Tkwiłam teraz pochylona do przodu, z jedną ręką opartą o dno strumienia.

Wspaniale. To wyjątkowo twarzowa pozycja: z wypiętym zadkiem i piersiami kołyszącymi się swobodnie jak para owoców mango gotowych spaść.

Chociaż Pete'owi to chyba nie przeszkadzało. Zachował się jak typowy chłopiec: ochlapał mnie.

- Hej!

- Chodź, mięczaku!

Pomyślałam o Bethany i długich latach takiego zachowania, jakie miała jeszcze przed sobą. Czy ja nie jestem już na to za stara?

Znowu mnie ochlapał. Pomyślałam: raz kozie śmierć - i pokonałam rzutem ostatnie kilka metrów, wpadłam na niego, ścięłam go z nóg i oboje upadliśmy do wody.

- Aaaa! - wrzasnęłam, wstając, ocierając twarz i odsuwając włosy z twarzy.

Pete trzymał mnie w ramionach. Byłam wparta w jego biodro. Woda waliła w nas znowu z siłą masujących biczy w uzdrowisku.

- Super! - powiedział.

Jego ciało było nieco cieplejsze od wody, a szerokie plecy chroniły mnie przed uderzeniem wody. Dotyk nagiej skóry sprawiał mi przyjemność. Była gładka, ale momentami wstrząsał nią drobny dreszcz, niczym wycieraczką, która zacina się, bo szyba jest zbyt sucha.

Zarzuciłam mu ręce na szyję, a on zrozumiał aluzję i pocałował mnie. Jedną ręką zaczął pieścić moją zziębniętą, pokrytą gęsią skórką pierś.

A ja, podobnie jak tamtego dnia, w jego mieszkaniu, nie czułam nic specjalnego.

Technicznie wszystko było jak należy. Jego język igrający z moim nie był zaśliniony, dłonie były nieco zbyt gwałtowane, ale bynajmniej nie pozbawione zręczności, a jędrne ciało stanowiło ziszczenie marzeń. A mimo to...

Wewnętrznie nie czułam żadnego podniecenia. Pozostałam na poziomie gestów.

Zsunął dłonie pomiędzy moje nogi i rozdzielił je. Może to mnie rozpali? Drażnił mnie i głaskał palcami. Przyciągnęłam go do siebie. Zaczęłam ssać mu skórę na szyi, jakby rzeczywiście mnie pobudził.

- Przenieśmy się z tym na suchy ląd, co? - zaproponowałam, udając namiętny szept.

Zmienił położenie, a potem wstał, wziął mnie na ręce i zaniósł na brzeg. Kapała z nas woda. To rzeczywiście było miłe. Czułam się tak rewelacyjnie drobna, tak kobieca, kiedy niósł mnie na rękach mężczyzna. To wspaniałe uczucie. Oczywiście pod warunkiem, że ten mężczyzna jest dość silny, żeby nieść kobietę bez postękiwania i zdradliwego drżenia mięśni. Niezbyt pochlebna jest świadomość, że facet ugina się pod twoim ciężarem.

Dzikusie z lasu, jestem twoja!

Nasze porzucone ubrania ułożyliśmy na brzegu w rodzaj posłania. Położyłam się na plecach i pozwoliłam Pete'owi obsypać się pocałunkami schodzącymi w dół, po piersiach i brzuchu. Zbliżał się właśnie do stacji Rozkosz Centralna, gdy powstrzymałam go, wplatając mu palce we włosy.

- Nie ma... eee, nie masz nic, o czym powinnam wiedzieć? - zapytałam, nim nasze błony śluzowe weszły w kontakt.

- Słucham?

Spojrzałam na niego rozszerzonymi oczami, próbując zmusić go do zrozumienia, co miałam na myśli.

- No, wiesz... Chodzi mi o problemy zdrowotne. Chorujesz na coś?

- Aha. Nie. Miałem testy na HIV. Jestem czysty.

- Ja też - powiedziałam, chociaż tak naprawdę chciałam zapytać: „Zadnych brodawek? Ani opryszczek? Spałeś ostatnio z kimś, kto ma chłamydię?” Ale dalsze zadawanie pytań wydawało się niegrzeczne. Przecież by mi powiedział, gdyby istniało jakieś niebezpieczeństwo. Prawda?

Ciekawe, czy on kiedykolwiek zadałby mi takie pytanie, gdybym ja nie zaczęła?

Czy pytał o to kobiety, z którymi spał? Może nie wiedział nawet, co od nich złapał. Może roilo się w nim od wirusów, z których każdy czekał przyczajony, żeby wskoczyć w moje nieskazitelne ciało i mnożyć się, gwarantując mi do końca życia „rozmowy” z każdym facetem, z którym chciałam się przespać.

A potem Pete zjechał niżej. Uznałam, że wykazałam się minimum ostrożności wymaganym od odpowiedzialnej, młodej kobiety.

Moje wyziębione ciało rozgrzewał jego język. Czekałam, aż zawładnie mną magia. Nigdy się jeszcze nie zdarzyło, żeby seks oralny w końcu na mnie nie zadziałał.

Usadowił się między moimi nogami, ramiona podłożył pod uda, a dłonie oparł na biodrach. Ugięłam nogi w kolanach i pozwoliłam im opaść na boki, otwierając się jak motyl.

Wpatrywałam się w ciemne konary jodeł i prześwity błękitnego nieba. Zakrakała wrona. Szemrał strumień. Było bardzo miło, tylko dlaczego Pete nie potrafił znaleźć właściwego miejsca? Dlaczego tkwił w tej nudnej dolinie, a nie w miodopłynnym wąwozie?

Rusze się wreszcie, człowieku! Działaj!

Jego język docierał wszędzie, ale tylko przypadkowo zdarzało mu się natrafić na właściwe złoże.

Czy powinnam mu powiedzieć? Delikatnie nim pokierować? Faceci chyba nie lubią, gdy się im coś pokazuje palcem, a przynajmniej nie tolerowali tego w moim wykonaniu.

Kiedyś jeden się poskarżył: „Hanno, przy tobie czuję się jak maszyna do dostarczania przyjemności. Mam

wrażenie, że na moim miejscu mógłby być każdy, pod warunkiem, że robiłby to, czego żadasz".

Aj! Szkoda, że nie mam czterdziestocentymetrowej łechtaczki, jak słońce.

O, tak. Jest! Tak! Tak!

A niech to. Znowu zniknęło.

Ile czasu zajmie nam powrót na szlak? Czy kolana mi wytrzymają? Samochód się pewnie nagrzał. Mam nadzieję, że nikt się do niego nie włamał. Dlaczego Pete nie mógł wziąć swojego auta? Aha, ja mam klimatyzację, ale jeśli o mnie chodzi, mogłabym jechać przy otwartych oknach. Gdyby to oznaczało, że dla odmiany on będzie siedział za kierownicą...

- Dobrze ci? - zapytał Pete, wyglądając z głębin.

- O, tak.

Do diabła! Czemu nie miałabym mu powiedzieć, gdzie jest to miejsce? Miałam szansę.

Tak! Tak! Znalazł! Dotarł tam. I poszedł dalej.

Może on to robi celowo? Drwi ze mnie.

Nie. Wydał mi się raczej typem faceta, który hołduje zasadzie: „rozruszaj ją, żebyś mógł ją zerznąć”. Tempo to zaleta. Mimo wszystko się stara, a ponieważ w najbliższym czasie nikt nie zajmie się mną w ten sposób, lepiej, żebym wykorzystała tę okazję najlepiej, jak się da.

Jestem w lesie, w niewoli u dzikich. Tak! Od pięciu lat nie mieli kobiety, ale wszyscy ćwiczyli na kamiennym modelu umiejętność sprawiania kobiecie rozkoszy. Przytrzymują moje ręce i nogi i jeden po drugim dostarczają mi przyjemności.

Tak!

Tylko że kamienny model to nie to samo co prawdziwa kobieta, więc popełniają błędy. Ale pragną mnie.



W ich społeczności najwyższym honorem jest wywołanie u kobiety orgazmu. Będą o to walczyć.

Ten stara się ze wszystkich sił, próbuje doprowadzić mnie do orgazmu, nim któryś z jego braci odciągnie go i sam zabierze się do dzieła. Jego język porusza się tak szybko, tak zaciekle i jest! Dociera do właściwego miejsca!

Zaczynam go lubić. Chcę, żeby mu się powiodło. Szybko, wróć tam! Wyjdę ci naprzeciw, mój włochaty przyjacielu. Próbuj! Próbuj!

- Jesteś wilgotna i gotowa - powiedział Pete, unosząc się.

Nie! Nie! Jeszcze nie! Chcę więcej! A może uda mi się to osiągnąć podczas bardziej stałej akcji.

Pete rozciągnął się obok mnie, wziął moją dłoń i położył ją na swoim ptaszku, któremu trzeba było poświęcić nieco uwagi, nim będzie gotowy na Wielkie Wejście. Głaskałam go i pieściłam, próbując jednocześnie trzymać się swojej blednącej fantazji. Stwardniał. Pete zamierzał się na mnie położyć.

- Mam to w plecaku - powiedziałam, myśląc o prezerwatywach i temu podobnych.

- Będę uważał, możemy bez niczego.

- O, nie. Wolę użyć jakiegoś zabezpieczenia. Westchnął i stoczył się na bok.

- Jak chcesz. Mam własne. Uniosłam brwi.

- Taki byłeś pewien?

- Hej, facet w końcu może mieć nadzieję. Ty niby o tym nie myślałaś?

Sięgnął po swój plecaczek i wsunął rękę do jednej z małych kieszonek, zapinanych na zamek. W tym samym czasie ja sięgnęłam po swój plecak.

- Ja też muszę coś zrobić - powiedziałam. - Mógłbyś nie patrzeć?

Wzruszył ramionami i odwrócił się, zajęty rozdieraniem opakowania, którego, miałam taką nadzieję, nie nosił w torbie od zbyt wielu miesięcy. Mało prawdopodobne, biorąc pod uwagę to, czego się domyślałam o jego zwyczajach seksualnych.

Wyjęłam z plecaka środek plemnikobójczy, otworzyłam opakowanie i oddarłam końcówkę jednej z długich, cienkich tubek z plastiku. Położyłam się na plecach i włożyłam tubkę do środka. Czułam się tak, jakbym sama przeprowadzała na sobie badanie ginekologiczne.

Ścisnęłam palcami plastikowy pojemniczek. Cichy dźwięk świadczył o tym, że środek został zaaplikowany z sukcesem. Niech żyje nauka!

Ale czy jedna dawka rzeczywiście wystarczy?

Przeczytałam oczywiście ulotkę z informacjami, ale to mi się wydawało jakoś niewystarczające.

Ostatnim razem, kiedy się kochałam, byłam w monogamicznym związku i brałam tabletki. Gumy i środki w płynie wydawały mi się mniej pewne. A jeśli Pete ma jakieś paskudne pasożyty?

A co tam. Wyjęłam drugą tubkę z pudełeczka i posłałam jej zawartość tam, gdzie powinna się znaleźć.

Wrzuciłam puste tubki z powrotem do pudełka i schowałam je do plecaka, po czym położyłam się na plecach i próbowałam odtworzyć nastrój.

Owłosiony dzikus traci nad sobą kontrolę, jego ziomkowie próbują go ode mnie odciągnąć, ale on musi mnie mieć! Musi! Przełamuje najświętsze tabu swojego plemienia i próbuje mnie przelecieć: jego ptaszek nie może już czekać.

Co on robi tak długo?

- Nie cierpię tego - powiedział, gdy wrócił i położył się na mnie, podpierając się na rękach.

- Mój dzikusie. Weź mnie!

I przestań jęczeć o tym cholernym kondomie.

Sięgnął w dół i coś tam ze sobą robił. To były te ruchy znane dziewczynom jako sposób na napędzenie z powrotem krwi do penisa. Poczulałam się nieco urażona faktem, że tego potrzebuje, skoro ja tu przed nim leżałam w całej swej naturalnej wspaniałości.

Położyłam ręce na jego ramionach, głaskałam je, po czym zsunęłam dłonie na klatkę piersiową. Miał naprawdę piękne ramiona oraz pierś, która aż się prosiła o lubieżne pieszczoty. Dotknęłam sutków, ścisnęłam je jak facet, który pieści kobiece piersi.

- Co robisz?

- Mogłabym cię zjeść - powiedziałam.

Zaśmiał się cicho i wreszcie jego zbłąkany żeglarz trafił do portu.

Au.

- Och, wolniej, dobrze? - powiedziałam cicho, starając się nie skrzywić.

Ile czasu minęło od chwili, gdy się ostatnio kochałam? Wszystko mi się zwęziło. Wydawał się dużo większy, niż sądziłam.

Sięgnęłam w dół i wzięłam go w rękę. Palce ześlizgujące się po lateksie potwierdziły, że jest tej samej, średniej wielkości, jak pamiętałam. Żadnych słoni ani małp, dziękować Bogu.

- Rozluźnij się, skarbie - powiedział. Zamknij się, głupku.

- Staram się. Ale jesteś taki wielki - powiedziałam. To go powinno uszczęśliwić.

- Wpuść mnie, słonko. Pozwól mi, a zabiorę cię na księżyc.

Mówił serio?

- Ciii... - szepnęłam tak delikatnie, jak tylko potrafiłam, i uśmiechnęłam się namiętnie.

Jeśli będzie cicho, może uda mi się powrócić do fantazji o dzikusie.

Zamknęłam oczy. Dzikus marzy o tym, żeby we mnie wejść. Zanurzenie samego czubeczka sprawia mu tak wielką przyjemność, jakiej w życiu nie zaznał...

Kilka minut później Pete był już w środku i poruszał się rytmicznie, a mnie, dzięki wymyślonemu dzikusowi, było prawie przyjemnie.

Nagle ptak się wysliznął. Pete niezgrabnie próbował wprowadzić go z powrotem, dźgając mnie tępo. Jeszcze kilka pchnięć i znalazł się z powrotem na miejscu... albo tak mi się wydawało. A może tylko walił we mnie biodrami?

Niespecjalnie grzecznie byłoby zapytać: „Czy jesteś już w środku?”.

Chwilę później bez wątpienia nie był. Zmusił mnie, bym obróciła się i przyjęła pozycję na czworakach. Znowu wszedł we mnie (choć nie miałam pewności - czyżby się skurczył?) i wrócił do działania.

Gapiałam się na drzewa i zastanawiałam nad tym, jak bardzo przypominam stworzenie z jakiegoś filmu przyrodniczego. Samica zawsze wygląda na raczej znudzoną, podczas gdy samiec załatwia z tyłu swoje sprawy.

Gdybym była modliszką, mogłabym oderwać mu głowę i go zjeść.

Zamknęłam oczy i poszybowałam w wyobraźni do dzikusa. Chrząka i stęka. Jego towarzysze się

podniecają. Ich dłonie wędrują do własnych interesów. Są gotowi... Ruchy Pete'a spowolniały, stały się niepewne, po czym zupełnie ustały.

- Co jest? - zapytałam.

- Nie wiem. Coś... Nagle wyjął go.

- Hej! - poskarżyłam się.

- Coś tam zaaplikowała? - zapytał podniesionym tonem.

- Gdzie?

- Co włożyłaś w swoją szparkę? - zapiszczał. Odwróciłam się. Gapił się na ptaszka, którego trzymał w ręce.

- Gdzie jest prezerwatywa? - zapytałam, czując ucisk w gardle.

Zgubił ją w środku? Może myśli, że pochwowe gremliny mu ją ściągnęły?

- Zdjąłem ją.

- Co?! Kiedy?!

- Czy użyłaś środka plemnikobójczego? Czy to właśnie zrobiłaś? - zapytał.

- Oczywiście, że tak.

- Cholera! Myślałem, że założyłaś krążek dopochwowy. A niech to!

- Co zrobiłeś? - zaskrzeczałam, teraz nie mniej zdenerwowana niż on. - Gdzie kondom?

- Mówiłem ci już, zdjąłem go! Nic przez niego nie czułem, więc kiedy się odwróciłaś, zdjąłem gumę!

- Co zrobiłeś?

- To nieważne. Mój mały, popatrz na mojego małego! Ile tego paskudztwa użyłaś?

Spojrzałam na wspomniany organ. Rzeczywiście,

nie wyglądał dobrze. Otwór na końcu był karmazynowy, a reszta w odcieniu niespotykanej jaskrawego różu.

Tak jak mi się wydawało, nie był obrzezany. Napletek zsunął się niczym sfałdowany golf. Teraz na pewno nie pozwoli mi się nim pobawić.

- Och! - powiedziałam.

- To piecze. Cholera, jak to piecze.

Wstał, wszedł do rzeki i splukał wszystko, po czym się podniósł i stał tak z grymasem na twarzy i ptaszkiem w dłoniach.

- Co robisz?

- Próbuję się wysikać. To paskudztwo dostało mi się do środka, muszę się go pozbyć.

- Trzeba było nie zdejmować prezerwatywy - powiedziałam.

Zasłużył sobie na to. Co on sobie wyobraża? Jak mógł ją zdjąć bez porozumienia ze mną?

- Aaaaa! - wrzasnął, gdy wytrysnęła struga moczu. Dobrze. Niech sobie krzyczy.

- Aaaaa! Cholera! A niech to! Do diabła! Dobrze, że zastosowałam podwójną dawkę. Kto wie,

co po nim pełza, skoro nigdy nie zakłada kondomów. Poza tym, gdybym użyła tego mniej, nigdy bym się nie dowiedziała, że zdjął prezerwatywę.

Im więcej o tym myślałam, tym bardziej byłam zła. Kto mu pozwolił podejmować decyzje związane z moim zdrowiem, nie pytając mnie o zdanie? Złości się, że użyłam jakiegoś środka?

To nie on musiałby uporać się z konsekwencjami zajścia w ciążę lub złapania jakiejś choroby!

- Aaaaa!

Turyści w promieniu kilometra pewnie myśleli, że to ryk jakiegoś górskiego lwa. Narobił hałasu.

- Trzeba było nie zdejmować gumy - powtórzyłam. Przykucnęłam w wodzie i umyłam się. Naprawdę lubię środki plemnikobójcze. A Pete'a - ani trochę.

*MOKRY RĘCZNIK*

- A morał z tego taki, że oni zawsze chcą ci założyć w pochwie minę - powiedziałam.

- Po prostu postąpił źle - stwierdziła Louise stojąca koło kuchenki. Jedną rękę oparła na biodrze, a w drugiej dzierżyła łąpatkę.

Smakowity zapach czosnku unosił się w powietrzu. Louise przygotowywała fettucine z owoców morza. Ja już zdążyłam rzucić okiem na tiramisu, które miało być na deser. Można mieć gorszych przyjaciół. Ja trafiłam na takich, którzy uwielbiają gotować, a szczególnie dla innych.

Łyknęłam gazowanego napoju dietetycznego. Siedziałam w małej kuchni Louise, przy stole już zastawionym dla dwóch osób.

- Może dostał nauczkę na przyszłość - powiedziałam. - Jeśli nie boi się jakiejś choroby ani nieplanowanej ciąży, to może przynajmniej będzie bardziej nieufny ze względu na groźbę uszkodzenia ptaszka.

- Ja po prostu nie rozumiem facetów. Co by było, gdybyś zaszła w ciążę?

- Pewnie zaoferowałyby pokrycie połowy kosztów aborcji.



Louise prychnęła i zamieszała czosnek na patelni.

- A gdybyś nie chciała? Faceci są tacy głupi. Mogłabyś urodzić dziecko i wystąpić do sądu o ustalenie ojcostwa. Płaciłby na utrzymanie dziecka przez następne dwadzieścia lat.

Podciągnęłam nogę na siedzisko krzesła i otoczyłam ramionami kolano.

- Nie wydaje mi się, żeby należał do facetów, którzy najpierw myślą, a potem działają. Wiesz, to ten zespół nadpobudliwości.

- Co za dziwaczna wymówka. To po prostu palant. Nadpobudliwość nie ma z tym nic wspólnego.

- Wiesz, wydawałoby się, że skoro tyle jest kobiet marzących o dzieciach, to faceci będą ostrożniejsi. Mogę sobie wyobrazić, jak kobieta wybiera mężczyznę ze stałymi dochodami, zabiera go do domu, a potem mówi: „Nie chcesz zakładać gumy? Pewnie! Nie ma sprawy!”. Po czym zachodzi w ciążę i ma gwarantowane dodatkowe dochody na wychowanie dziecka, a nie musi zawracać sobie głowy mężem.

- Jesteś nieźle pokręcona.

- Dziesięć minut egoizmu, seksu bez gumy, „bo tak jest przyjemniej”, i jest nie tylko dawcą spermy, ale także pozbywa się części zarobków. Może gdy będę bardzo zdesperowana...

- Nie zrobiłabyś tego - powiedziała Louise.

- Nie, nie zrobiłabym.

- A tak przy okazji, jeszcze raz dziękuję za Dereka wudu. Masz rację, strzelanie do niego z gumek działa terapeutycznie.

- Cieszę się, że mogłam ci pomóc.

Laleczka wudu przedstawiająca Dereka miała malutką główkę bez oczu, która symbolizowała idiotyzm

i ślepotę oraz penisa z nieszczęśliwą twarzą na końcu, symbol tego, czego nie dostanie od Louise.

- Zamierzasz zrobić sobie laleczkę Pete'a? - zapytała.

- Oczywiście... - zaczęłam, ale przerwał mi dzwonek telefonu komórkowego. - Zawracają mi głowę... - powiedziałam, po czym poszłam do salonu i wygrzebałam telefon z torebki.

- Usługi krawieckie Hanny. Słucham?

- Hanna? - zapytał tato przez ściśnięte gardło.

- Tato?

Jego głos brzmiał tak, że poczułam ukłucie w sercu.

- Hanno, twoja matka jest w szpitalu. Możesz przyjechać?

- Tato! Co się stało? Serce mi łomotało.

- Miała wylew. - Głos mu się załamał. Minęło kilka sekund, nim zdołał znowu się odezwać. - Znalazłem ją w łazience. Zrobili jej jakieś badania, dali coś na rozbitcie skrzepu, a teraz czekamy, aż się obudzi.

- Czy wyjdzie z tego? - zapytałam.

Nadal trzymałam się na nogach, wciąż oddychałam. Wieści mnie nie zdruzgotały.

- Jeszcze nie wiadomo. Dopiero kiedy się obudzi, będzie można coś powiedzieć.

- Zaraz przyjeżdżam. Jesteś w Mercy?

- Tak.

Pożegnaliśmy się. Stałam z telefonem w ręce, nadal szybując gdzieś ponad realnym światem. Mój umysł pracował na najwyższych obrotach. Czy muszę wstąpić po coś do domu? Nie, torebkę miałam przy sobie, potrzebne rzeczy mogę kupić na miejscu. Samochód zaparkowałam na ulicy: za pięć minut będę przy

wjeździe na autostradę 1-5 w kierunku południowym. Jeśli się postaram, powinnam dojechać na miejsce w dwie i pół godziny...

- Hanna? - Louise stanęła w drzwiach. Jej głos świadczył o tym, iż wie, że zdarzyło się coś złego. - Co się stało?

Odwrociłam się do niej.

- Moja mama miała wylew.

Słowa wypowiedziane na głos dotarły do mnie z całą ostrością. Troska o szczoteczkę do zębów, koszulę nocną i paliwo w samochodzie ustąpiła w obliczu myśli o mamie leżącej w szpitalu. Może umrzeć, może nigdy nie wyzdrowieć, może nie być już taka sama.

Być może straciłam mamę.

Mięśnie twarzy zeszytywniały mi w grymasie bólu, a oczy wypełniły się łzami.

- Jest w szpitalu. Czekają, aż się obudzi.

Nie mogłam oddychać, szlochałam, po policzkach lały mi się łzy. W gardle czułam bolesny ucisk.

- Och, skarbie - powiedziała Louise, podeszła i przytuliła mnie.

Położyłam głowę na jej ramieniu, łkając i pochlipując.

- Przemoczę cię - powiedziałam po kilku minutach. Odsunęłam się i otarłam nos dłonią. W miejsce żalu

pojawiło się coś w rodzaju paniki. Musiałam znaleźć się w Roseburgu najszybciej, jak to możliwe. Biedny tato, jak on sobie radzi?

- Idź do łazienki i weź sobie paczkę kleenexów. Zawiozę cię tam.

- Mogę jechać sama.

- Nie, nie możesz. Idź po chusteczki. Zrobiłam, co mi kazała. W łazience przyjrzałam się sobie w lustrze i znowu pomyślałam o mamie oraz

o tym, czy jeszcze kiedyś będzie taka, jak była. Strach i żal wróciły, moją twarz wykrzywił grymas, ściągnęła się w grecką, tragiczną maskę. W gardle rósł jęk.

Ubrania, fryzura, kolczyki w uszach - wszystko to stanowiło bezużyteczną dekorację. Nie liczyło się nic oprócz tego, że moja mama jest chora. Mogłabym nosić prawdziwe diamenty, mogłabym mieć własny dom i jeździć jaguarem, mogłabym być piękna, mądra i sławna, ale to i tak nie miałyby znaczenia.

Nic nie miało znaczenia poza tym, że mogłam stracić mamę.

Fala bólu osłabła. Zmoczyłam ręcznik i starłam z twarzy rozmazany tusz. Złapałam paczkę kleenexów, bo wiedziałam, że to jeszcze powróci. Kiedy weszłam do salonu, Louise trzymała w rękach swoją i moją marynarkę. Wyprowadziła mnie za drzwi.

- Nie mogę zostawić samochodu na ulicy - powiedziałam.

- Pojedziemy nim.

- A jak wrócisz do domu? - zapytałam.

- Tym się nie martw.

Chciałam sama prowadzić, żeby się czymś zająć, ale Louise mi na to nie pozwoliła. Więc zajęłam miejsce pasażera i doświadczyłam horroru, jaki się przeżywa, gdy ktoś inny siedzi za kierownicą twojego auta. To było lepsze zajęcie niż prowadzenie samochodu.

*NIEBIESKA, DRUKOWANA TKANINA*

Siedzieliśmy z tatą na krzeselkach koło łóżka mamy. Z wyników tomografii komputerowej wynikało, że zator utworzył się w lewej półkuli, więc prawa strona mogła nie funkcjonować. Siedzieliśmy po lewej stronie. Tato trzymał ją za rękę, bo chciał mieć pewność, że ona czuje jego obecność.

Była druga w nocy. Na oddziale intensywnej terapii panowała cisza i dziwny spokój. Światła były przygaszone. Nigdy się nie bałam szpitali: zawsze uważałam je za „kwaterę główną” rannych. Jeśli się tam dostałeś, nic ci już nie grozi. Zatrzeszczą się o ciebie. Ktoś cię naprawi.

Pewnym szokiem było dla mnie odkrycie, że bardzo niewiele można zrobić, aby „naprawić” wylew. Mamie podano środek przeciw krzepnięciu, coś na rozrzedzenie krwi i to wszystko. Nie można było dostać się do środka i naprawić ewentualnych zniszczeń w mózgu, nie można było zmusić jej do przebudzenia się, nie można było zapobiec kolejnym wylewom w przyszłości.

Byliśmy bezradni. Gdyby cokolwiek można było zrobić, zrobiłabym to, ale pozostawało nam tylko czekać. Mama musiała sama się ocknąć.

Spojrzałam na jej twarz, rozluźnioną i nieprzytomną ponad szpitalną koszulą z tkaniny drukowanej we wzór z niebieskich medali. Byłam ciekawa, jak zareaguje, gdy się obudzi i zrozumie, co się jej przydarzyło. Jeśli będzie w stanie zrozumieć. Być może nie będzie mogła czytać. Być może nie będzie mówić. Czy będzie chciała żyć?

Chciałam, żeby umarła natychmiast, w tej chwili, żeby uniknęła cierpienia i uwolniła mnie od bólu patrzenia, jak cierpi. A jednocześnie chciałam, by żyła, by nie poddała się nieszczęściu, żebym nie musiała jej utracić. Mogła być niema, na wózku, bezradna, ale tłąca się w niej iskra życia wystarczyłaby, żeby wciąż była to moja mama. I nie zostałabym sama.

- Powinnaś się trochę przespać - powiedział tato, wyrywając mnie z zamyślenia.

- Nie, nie chcę.

- Idź. Louise pewnie wciąż jest w poczekalni. Napij się albo zjedz coś. Zostanę z nią tak długo, jak mi pozwolą.

- Dobrze.

Nie chciałam iść, ale jeszcze mniejszą ochotę miałam na dyskusję. Zresztą pomyślałam, że może tato tak woli. Będzie miał przynajmniej poczucie, że jestem nakarmiona i wypoczęta.

- Siedzę w poczekalni, gdybyś mnie potrzebował. Kiwnął głową, nie patrząc na mnie. Nie odrywał wzroku od mamy.

Ruszyłam korytarzem i weszłam do poczekalni, która mieściła się poza oddziałem intensywnej terapii. Było\* to ciche pomieszczenie, w którym dywany i tapicerowane meble tłumiły wszelkie dźwięki, jakich źródłem mogła być zrozpaczona rodzina. Na ławie leżały rozrzucone magazyny, a przez drzwi widać było mały pokój wypełniony cicho buczącymi automatami z jedzeniem i piciem.

Louise i Scott siedzieli na jednej z sof. Lampa stołowa obok Louise rzucała złocistą poświatę na jej brązowe loki. Musiała zadzwonić po niego zaraz po naszym przyjeździe, kiedy poszłam po raz pierwszy zobaczyć mamę. Personel na krótko pozwalał nam przy niej zostawać.

Louise i Scott idealnie do siebie pasowali. Mogliby być rodzeństwem, mężem i żoną - jedną z tych par, które stopniowo się do siebie upodabniają. Zaświtała mi myśl, że może pewnego dnia, wbrew zapewnieniom Louise, znowu będą razem.

- Hanna. - Louise na mój widok wstała.

Scott odwrócił się, po czym wstał, podszedł do mnie i wziął mnie w ramiona.

- Tak mi przykro- powiedział prosto w moje włosy. Przypomniałam sobie, że ojciec Scotta zmarł kilka lat

temu na zawał. Scott przeszedł przez coś jeszcze gorszego niż ja, więc potrafił mnie zrozumieć. Otoczyłam go ramionami i przytuliłam, zamknęłam oczy i przez kilka cennych chwil pozwoliłam sobie nie czuć nic poza pociechą, jaką niosła bliskość drugiego człowieka. Oparłam się o niego i nie próbowałam być silna.

Płakałam w ramionach Louise, bo nie potrafiłam się powstrzymać. W przypadku Scotta nie czułam potrzeby powstrzymywania się. Ze mną zawsze tak było. Nie czułam konieczności udawania, że jestem silna, przybierania maski dzielności wobec faceta, z którym byłam blisko: to on miał być tym silnym. Ja mogłam zrzucić na niego moje kłopoty.

Tylko że Scott nie był moim chłopakiem. Odsunęłam się, a on mi na to pozwolił, chociaż niczego bardziej nie pragnęłam, niż zasnąć w tych czułych ramionach, przytulona ciasno, bym mogła udawać, że nic nie może mnie zranić i żadna zła myśl nie ma do mnie dostępu.

- Są jakieś zmiany? - zapytał Scott.

- Nie.

- Złapałam Cass w pubie. Pewnie już tu jedzie i wiezie trochę rzeczy dla ciebie - powiedziała Louise.

- Ale po co? - zaprotestowałam odruchowo, lecz prawda była taka, że ujęła mnie ich troska i fakt, że gotowi byli przyjechać tutaj ze względu na mnie.

Przełknęłam wzbierające łzy.

- Nonsens - stwierdziła Louise.

- Przywiozłem ci szczoteczkę do zębów i pastę

- powiedział Scott. - No i oczywiście nitkę dentystyczną.

Wargi wykrzywiły mi się w uśmiechu, wbrew nastrojowi.

- Musiałeś.

- W lodówce są też soki - powiedział, wskazując kraniec sofy, gdzie stała mała niebieska skrzynka.

- Wiedziałem, że nie będziesz miała ochoty na jedzenie, więc postanowiliśmy w inny sposób dostarczyć ci witamin.

- Dzięki.

Louise przytасzczyła przenośną lodówkę, otworzyła ją, wyjęła kilka butelek i postawiła je na ławie.

- Skoczę do toalety - powiedziała. - A potem sprawdzę, czy bufet jest otwarty. Nie mam zaufania do automatów z kanapkami. Dasz sobie radę?

Kiwnęłam głową i usiadłam na sofie. Scott usadowił się obok mnie, otworzył butelkę soku i podał mi. Pociągnęłam łyk, po czym oparłam butelkę o udo i patrzyłam przed siebie.

Scott wziął mnie delikatnie za rękę. Trzymaliśmy dłonie na sofie, w wolnej przestrzeni między nami.



- Cokolwiek się stanie, Hanno - powiedział - nigdy nie będziesz sama.

A wtedy znowu pojawiły się łzy.

- Hanno, obudź się.

To był głos taty. Położył mi dłoń na ramieniu i próbował wyrwać ze snu. Otworzyłam oczy, zmrużyłam je przed ostrym światłem słonecznym wpadającym przez ścianę okien, które kilka godzin temu były ciemne. W dłoni trzymałam zmiętą bawełnianą chusteczkę do nosa, należąca do Scotta, teraz już prawie suchą.

- Co? Co się stało? - zapytałam.

Drzemałam na jednej z sof w poczekalni. Louise i Scotta nie było, a Cassie spała na drugiej sofie. Na podłodze stała torba z moimi ubraniami i kosmetykami.

- Obudziła się!

- Naprawdę? Jak się czuje? - zapytałam, siadając i zrzucając marynarkę, która służyła mi za przykrycie.

- Jest teraz u niej lekarz, ale rozpoznała mnie, wypowiedziała moje imię. To podobno dobry znak. Może mówić.

- Mogę do niej iść? Mogę ją zobaczyć?

- Chodź.

Poszliśmy do jej pokoju, przepuszczając lekarza, który kończył badać mamę. Na nasz widok uśmiechnął się i zaprosił nas bliżej.

- Miała pani szczęście, pani O'Dowd - powiedział do mamy, chociaż wyraźnie kierował te słowa również do nas. - Była pani nieprzytomna przez zaledwie dwanaście godzin. Może pani trochę ruszać prawą ręką i nogą, a to bardzo dobry znak. Będzie pani

mówiła i poruszała się wolniej, ale z biegiem czasu wszystko się poprawi.

Chłonełam jego słowa, w których ostrzeżenie mieszało się z optymizmem, w których brakowało słów: „pełne wyzdrowienie”, ale teraz liczyło się tylko to, że mama słabo się uśmiecha i patrzy na mnie i na tatę. Lekarz nadal mówił, a ja podeszłam do łóżka, pochyliłam się, przyłożyłam policzek do jej policzka i pocałowałam ją.

- Masz... roz... rozmazane oczy - powiedziała mama, gdy się wyprostowałam.

Uśmiechnęłam się i potarłam skórę. Ręcznik Louise nie usunął wszystkiego.

- To tusz do rzęs. Nie zmyłam wczoraj makijażu.

- Tto... źle... dla... skóry.

- Wiem. Muszę wziąć prysznic.

- Tak.

Tato stanął po drugiej stronie łóżka i wziął ją za rękę. Odwróciła się w jego stronę. Wydał z siebie jakiś podejrzanym dźwięk, a kiedy spojrzałam na jego twarz, zobaczyłam, że płacze, próbując jednocześnie stłumić szloch, ale łzy płynęły mu po policzkach.

Chciałam zostać, ale jednocześnie wiedziałam, że to zbyt intymna scena. Moi rodzice nie należeli do ludzi, którzy otwarcie wyrażają wzajemnie swoją miłość. Ale teraz ich uczucia były obnażone i nie wiedziałam, jak się w takiej sytuacji zachować. Wyszłam na palcach z pokoju, lekarz też był już w drzwiach. Jednak zdążyłam jeszcze usłyszeć słowa taty:

- Myślałem, że cię straciłem.

Nie miałam pojęcia, co by się z nami stało bez niej.

*STARE DŻINSY*

Leżałam na moim starym łóżku, w moim dawnym pokoju i dałam sobie wreszcie spokój z próbami zaśnięcia. Była pierwsza w nocy, w domu panowała cisza, nocne cykanie świerszczy za otwartym oknem działało kojąco, ale sen nie chciał nadejść.

Jutro mama wraca do domu.

Od jej wylewu minęły trzy tygodnie. Kiedy odzyskała przytomność, przeniesiono ją na zwykły oddział. Codziennie zabierano ją na rehabilitację. Lekarz mówił teraz, że nie ma powodu, by nadal pozostawała w szpitalu; mogła spokojnie wrócić do domu i przyjeżdżać do szpitala na rehabilitację kilka razy w tygodniu. Pielęgniarka będzie przychodzić do domu tak długo, jak będzie to potrzebne.

Te trzy tygodnie wydawały się trzema miesiącami z powodu zamętu i licznych zajęć. Dzieliłam czas między Roseburg i Portland, próbując utrzymać porządek w domu rodziców, spędzać u mamy po kilka godzin i nie zaniedbywać swojej firmy.

Skończyło się na tym, że woziłam ze sobą maszynę do szycia i spędzałam na szyciu noce w domu rodziców. Byłam po prostu wykończona. Spałam wtedy bez

snów. Budził mnie zegarek, po czym zaczynał się kolejny dzień szalonej bieganiny. Większość moich klientów wykazała zrozumienie, ale martwiłam się, że jednocześnie mogą postanowić uwolnić mnie od ciężaru ich zamówień.

Wiedziałam, że zamartwianie się tym jest bardzo przyziemne, ale nie mogłam uwolnić się od tych myśli. A teraz leżałam bezsenne w środku nocy, rozważając możliwość przeprowadzki do domu rodziców.

Tato kochał mamę nad życie, ale jak on sobie da radę z opieką nad nią? Nie potrafił obsłużyć magnetowidu; potrzebował pomocy w przygotowaniu kanapki z serem; nie można mu było zaufać w kwestii zrobienia zakupów w sklepie spożywczym z obawy, że mógłby tam zobaczyć dwudziestolitrowy słoje konserwowych ogórków na wyprzedaży lub kadz masła orzechowego, która starczyłaby dużej rodzinie na trzy lata. Mama kupowała mu lekarstwa na nadciśnienie, ubrania, gotowała mu, dbała o dom. Kto zajmie się tym wszystkim? Kto zapewni mamie to, czego będzie potrzebowała?

Kto, jeśli nie ja?

Chciałam to zrobić, chciałam mieć pewność, że mamie niczego nie brakuje. Jeśli mnie tu nie będzie, zamęcę się zamartwianiem, że tato nie robi wszystkiego, co powinien - nie przez lenistwo, ale ignorancję lub niekompetencję.

A mimo to, jednocześnie, bałam się przyszłości, jeśli zdecyduję się na powrót do domu.

Mama może mieć kolejny wylew. Tato może zachorować. A ja zostanę starą panną, opiekunką, która wypełnia obowiązki wobec rodziców przez rok, dwa, trzy, dziesięć lat. Jej własne życie ucieka, podczas gdy ona troszczy się o innych.

Czytałam o takich postaciach w książkach, widziałam je na filmach. To były kobiety, które stawały się grube i zahukane, chowały się w domach i wychodziły na świat dopiero wtedy, gdy zbliżały się do pięćdziesiątki, jak świstaki wychodzące ze swoich nor, przestraszone i mrużące oczy od ostrego słońca.

Zrobiłabym to, bo bardzo kocham rodziców.

A jednocześnie miałabym pretensje do losu o to, że przydzielił mi taką rolę, bo bardzo pragnęłam wolności.

Włączyłam lampkę nocną i wstałam. Podeszłam do szafy. Martwiłam się na zapas, wybiegałam myślą w przyszłość i niepokoiłam się czymś, co mogło nie nastąpić. Godziny przed świtem to czas, gdy budzą się demony i nękają wrażliwe dusze - wtedy najczęściej martwiłam się o swoje zęby - najlepiej było więc zająć się czymś innym.

Moja szafa, podobnie jak pokój, była muzeum straszdeł z przełomu lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych. Mieściła ciuchy, które były zbyt ładne, żeby je wyrzucić, ale wyglądały zbyt okropnie, żeby je nosić, nawet gdy były nowe. Przekopałam się przez nie, szukając czegoś, co nadawałoby się do uratowania.

Z tyłu wisiała sprana spódnica z czerwonego jedwabiu, kupiona na wyprzedży. Kryła pewne możliwości. Zdjęłam koszulę nocną i włożyłam spódnicę. Kiedy przeciągałam ją przez biodra, usłyszałam trzeszczenie. Sparciała gumka w pasie rozciągnęła się. Spódnica wisiała mi na biodrach, poczułam się szczupła.

Spojrzałam na swoje odbicie w lustrze na drzwiach szafy i skrzywiłam się. Spódnica miała ulubioną długość królowej Elżbiety II: do kolan. Kontrafałdy na stałe zagniotły tkaninę. Gdybym je rozpruła, ukazałyby się spłowiałe partie materiału.

Śmieć. Lub raczej skrawek materiału. Jednak byłam w posiadaniu wielu pudełek pełnych takich skrawków, których nigdy nie używałam.

Szukałam dalej. Znalazłam starą parę dżinsów. Calvin Klein.

Pamiętałam je. To były moje ukochane. Uważałam, że w nich mój tyłek wydaje się mniejszy, czego nigdy nie osiągnęłam w levisach. Zawsze zazdrościłam kobietom, którym szczupłe uda i brak fałdek na biodrach pozwalały chodzić w levisach, a dżinsy układały się na nich miękko, a nie jak obcisły, granatowy pokrowiec. Moim zdaniem, niektóre kobiety są stworzone do tego, żeby dobrze wyglądać w dżinsach, a inne nie.

Ja należałam do tych drugich. Do istot od krojonych spodni z wełny w ciemnych kolorach ze względu na to, że optycznie pomniejszają. Żadnych kieszeni poszerzających w udach, żadnych plis uwydatniających brzuch, żadnych pasków, nad którymi tworzyłaby się fałda.

Wkładałam dżinsy, podskakując na bosych stopach, żeby łatwiej naciągnąć spodnie na uda. Spojrzałam w lustro. Na brzuchu otwierało się duże „V”. W nie zapiętym rozporku widać było majtki.

Od czasu, gdy nosiłam te dżinsy, nie urosłam ani o centymetr, ale najwyraźniej zrobiłam się szersza.

Przypomniałam sobie, jak kiedyś do mamy przyszły jej dawne przyjaciółki i oglądały razem zdjęcia. Śmiały się z tego, jakie kiedyś były szczupłe i że wtedy im się wydawało, że jest odwrotnie. Teraz przyszła kolej na mnie. Zastanawiałam się, czy za dziesięć lat będę uważała siebie sprzed lat, dwudziestodziewięcioletnią, za szczupłą i czy będę marzyła, żeby znowu mieć te gabaryty.

Zdjęłam dżinsy i z powrotem wciągnęłam koszulę

nocną. Usiadłam na kwiecistym dywaniku leżącym na środku pokoju. Spojrzałam na pierścień z siatką przeciw komarom wiszącą nad moim łóżkiem, na plakaty ze sztuką barokową wypełnioną amorkami, na niefachowo namalowane kolumny i łuki na ścianie za łóżkiem, które pojawiły się tam w wyniku młodzieńczej próby skopiowania wiktoriańskiej ilustracji do „Śpiącej królowny”.

Przez te dziesięć lat wcale nie oddaliłam się tak bardzo od nastolatki, którą byłam. Żyłam samodzielnie, ale pod pewnymi względami wciąż tkwiłam w baśni, czekałam na księcia, na ślub z białą suknią, karocą zaprzęzoną w konie, kwiatowymi łukami i podmiejskim zamkiem, gdzie dokazywałyby wspaniale ubrane, przyszłe księżniczki i książątka.

W głębi serca wierzyłam, że moje życie zacznie się tak naprawdę dopiero w chwili, gdy spotkam właściwego faceta i wyjdę za mąż. Nie wiem, dlaczego tak uważałam ani skąd wziął się ten pomysł, ale tak właśnie było. Jakbym była dżokejem przed wyścigami, który czeka, aż ktoś przyprowdzi jego konia.

Te myśli nagle wydały mi się głupie. Bo niby czym był ten czas „pomędzy”, jeśli nie życiem?

W ciągu najbliższych dziesięciu lat chciałam albo założyć rodzinę, albo zyskać finansowe bezpieczeństwo i mieć tę samą beztroskę i styl, co pani DeFrang, której szyłam zasłony do sypialni, poduszki i kapę. Tak czy inaczej, nie chciałam w wieku trzydziestu dziewięciu lat siedzieć na podłodze dawnego pokoju i jęczeć z powodu przybrania na wadze. Nie chciałam też zastanawiać się nad tym, kiedy w końcu zacznie się moje życie.

Może nigdy nie wyjdę za mąż, nigdy nie będę miała

dzieci. Może moim przeznaczeniem jest zostać przedsiębiorcą, zatrudniać ludzi we własnej pracowni. Albo zrezygnuję z pracy na własny rachunek i skończę w zarządzie firmy szyjącej odzież. A może jednak będę miała własną firmę, którą będę zarządzać tak, jak Gert Boyle prowadził Columbia Sportswear.

Nie zamierzałam pozwolić sobie na to, by zostać świstakiem. Nawet jeśli przez następne pięć lat będę musiała mieszkać w domu rodziców. Będę pracować, będę się umawiać na randki. Będę żyć.

Mama kiedyś umrze. Tato też. Przyjdzie dzień, gdy zostanę sama. Jest tak, jak powiedziałam nastoletniej królowej piękności, Bethany: to moje życie, mogę z nim zrobić, co chcę, bo to ja z nim zostanę. Czemu nie miałyby to być życie, które będzie mi się podobało?

Przyszłość może przynieść straszliwe rzeczy, ale jedną z nich nie będzie Hanna O'Dowd zastanawiająca się nad tym, dlaczego zmarnowała swoje życie.

- Tato. Myślałam, że już wyszedłeś - powiedziałam, wchodząc do kuchni.

Była prawie dziewiąta, a tato siedział przy stole nad pustą miseczką z resztkami płatków z otrębów stojącą koło gazety. Skórka od banana zwisała z krawędzi blatu.

- Nie będzie gotowa przed jedenastą.

- Wiem - odparłam, wyjmując z szafki miseczkę i pudełko płatków ryżowych. - Wszystko przygotowaliśmy, prawda?

Salon został zupełnie przemeblowany. Wstawiliśmy tam łóżko mamy. Nie była jeszcze dość silna, a jej stan na tyle stabilny, by mogła bezpiecznie wchodzić i schodzić po schodach do własnej sypialni, tato zaś nie był



w stanie jej wnosić i znosić. Dlatego łóżko w salonie wydawało się najlepszym rozwiązaniem, chociaż wiedziałam, że mama będzie zła, i to nie tylko dlatego, że kapa na łóżko nie pasowała do sofy.

Wprowadziliśmy też zmiany w toalecie. Założyliśmy uchwyty, dzięki którym całość wyglądała jak fotel z białej porcelany. Jeden z przyjaciół taty zbudował rampę na schodach frontowych. Wypożyczyliśmy składany fotel na kółkach, a mama wybrała sobie model chodzika na czterech kółkach, z ręcznym hamulcem, którego będzie używać do czasu, gdy da radę poruszać się o lasce.

Nie znosiłam tych nowych sprzętów, przesiąkniętych odorem kalectwa i choroby. Miałam wrażenie, że nasz dom został zarażony szpitalnym DNA, który spowodował rozrastanie się niewidzialnych macek.

Ale czując nienawiść do aluminiowych rurek, kółek z szarej gumy i rampy ze sklejki, jednocześnie byłam za nie wdzięczna. Zrobiłam nawet po salonie rundkę wózkiem inwalidzkim, w czasie której odkryłam, że stoły i taborety muszą powędrować do schowka, żeby nie zagradzać przejść.

- Myślę, że jesteśmy przygotowani - powiedział tato. - O resztę zatroszczę się później.

Nalałam sobie mleka do miseczki, wsłuchując się w trzaskanie płatków, zgodnie z obietnicą na opakowaniu. Zaniosiłam ją ostrożnie do stołu. Mleko groziło wychlapaniem.

- Czy pielęgniarka przyjdzie dziś po południu? - zapytałam.

- Tak.

Zapadło milczenie.

Zabrałam się do jedzenia; płatki osiągnęły przyjem-

ny, pół rozmokły, pół chrupiący stan. Tato czytał gazetę, po chwili znowu się odezwał:

- Hanno?

- Hm?

- Rozmawiałem wczoraj z twoją matką. Kiwnęłam głową.

- Tak?

- Uważamy, że powinnaś wracać do Portland. Wlepiłam w niego wzrok. Pod policzkiem miałam

ryżową pulpę.

- Co? Czemu?

- To nie mój pomysł, ale jej. Ale im więcej o tym myślę, tym bardziej się do tego przekonuję. Nie ma powodu, żebyś tu została i się nią opiekowała.

- Ale...

- Ja mogę to zrobić - powiedział. Musiał dostrzec moje niedowierzanie.

- W razie czego pomoże mi pielęgniarka. Twoja matka będzie trochę powolniejsza, ale przecież może mi mówić, co trzeba zrobić. Nie ma powodu, żebyś zrezygnowała z własnego życia w Portland i przenosiła się tutaj. Ona tego nie chce.

- A ja nie chcę jej opuścić!

Nie chciałam zostawić jej w domu pełnym skórek od bananów, z tatą, szorstkim i niezręcznym, pomagającym jej w kąpieli. Nie chciałam oddać jej na pastwę byle czego, które według niego było jedzeniem, i samotnego leżenia w salonie, podczas gdy on włączałby telewizor i pozwalał mu dudnić.

- Nie opuszczasz jej. Gdyby mnie nie było, potrzebowałaby ciebie, ale ja tu jestem. Moim obowiązkiem jest się o nią zatroszczyć. Jestem jej mężem. Ostatnia rzecz, jakiej ona chce... jakiej oboje chcemy... to obciążanie ciebie.

Jak miałam powiedzieć tacie, że mu nie ufam, że uważam, iż nie ma kompetencji, by zadbać o swoją żonę? Że wolałabym wziąć na siebie ten ciężar, niż bać się, że mama będzie leżała w warunkach przypominających koszmarne dom opieki?

Nie mogłam mu tego powiedzieć. A nawet jeśli buntowałam się przeciwko wyeliminowaniu mnie z tego zadania, jakaś pełna poczucia winy część mnie odczuła ulgę, że to nie stanie się dla mnie ciężarem. W każdym razie jeszcze nie teraz.

- Ale mogę przyjeżdżać raz albo dwa razy w tygodniu, co? - zapytałam.

- Pewnie. Nie chcieliśmy przez to powiedzieć, że nie powinnaś nas odwiedzać. Po prostu nie chcemy, żebyś tu mieszkała.

- Dzięki.

- Jeśli to poprawi ci samopoczucie, możesz robić nam zakupy po drodze. I jeździć do pralni. No, i ktoś musi się zająć ogrodem.

- Będzie OK.

- Dobre z ciebie dziecko, Hanno. Nie martw się o nas. Poradzimy sobie.

*ZIELONA PIKA*

- Jak się czuje twoja mama? - zapytał Robert.

- Coraz lepiej. Powoli dochodzi do siebie. Odnosiłam właśnie stertę spodni do Butler & Sons

w Pioneer Place Two. Minęły dwa tygodnie od chwili, gdy rodzice odesłali mnie z powrotem do Portland. Odwiedziłam ich kilka razy i powoli przestawałam się dziwić temu, że mama wciąż oddycha, w domu jest czysto, nie wybuchł pożar i nigdzie nie stoją gigantyczne słoje majonezu.

- Pewnie jest ci ciężko - dodał Robert. Wzruszyłam ramionami.

- Powoli się przyzwyczajam. Zabawne, co?

- Myślę, że to konieczność - powiedział, chociaż w jego głosie brakowało pewności.

- Chyba tak.

Dzień po dniu rzeczywiście coraz bardziej się przyzwyczajałam, ale w chwilach nieuwagi dopadał mnie znowu lęk o mamę i groził, że mnie całkiem opanuje. Tak jakby istniał wielki, podświadomy rezerwuar żalu, czekający tylko na okazję, by wytrysnąć niczym gejzer i mnie zalać.

A co gorsza, wszystko, co smutne lub uczuciowo

związane z matkami i śmiercią, wywoływało u mnie łyzy, podczas gdy wcześniej stanowiło to dla mnie temat do kpin. Piosenki, filmy, kartki z pozdrowieniami, cokolwiek...

Dobrze przynajmniej, że nie szlochałam podczas telewizyjnych reklam. Jak dotąd.

- Za kwadrans idę na lunch - powiedział Robert. - Masz ochotę się przyłączyć? No, wiesz... jako przyjaciele.

Przypomniałam sobie ostatni raz, kiedy mu odmówiłam, twierdząc, że się spieszę, a potem przyłapał mnie na czytaniu gazety w atrium. Nie mogłam zachować się jak wredna wiedźma i znowu odmówić, zwłaszcza że był taki troskliwy i za każdym razem pytał mnie o zdrowie mamy.

- Pewnie, czemu nie. Tymczasem pójdę pooglądać wystawy.

- Super!

Więc poszłam. Wąchałam mleczka w Victoria's Secret, przegrzebywałam się przez wieszaki z przecenionymi rzeczami w poszukiwaniu koszuli nocnej za pięć dolarów, w której nie miałabym obwisłego biustu ani tłustej pupy. Podłoga pod okrągłym wieszakiem zarzucona była zmiętymi zwłokami bielizny; jak gdyby body i koszulki zeskoczyły z wieszaków i popełniły samobójstwo, żeby na zawsze skończyć z upokorzeniem związanym z tym, że ich czas już minął.

Lawendowej, satynowej piżamie z bokserkami chciałam oszczędzić horrorów, jakie być może jeszcze na nią czekały - sklep z przecenionymi rzeczami? Kosz z tanioczą z oddartymi metkami i wymazaną tożsamością? - lecz, niestety, zegarek wskazywał, że Robert już czeka.

Kiedy zbliżyłam się pasażem, stał koło fontanny w centrum atrium.

- Łowisz pieniądze na lunch? - zapytałam.

- Albo na parkometr. Chyba nikt z nas jeszcze na to nie wpadł, a przecież przychodzimy tu przed otwarciem.

- Parkujesz na ulicy? - zapytałam, podtrzymując rozmowę, gdy szliśmy do śródziemnomorskiego baru.

- Nie. Zwykle jeżdżę autobusem. Mieszkam na południu, w Barbur. Taniej jest zostawiać samochód w domu.

Ma samochód, to już coś.

Pachniał wodą kolońską. Czulałam się dziwnie, będąc z nim poza sklepem, jakbyśmy się naprawdę dobrze znali. Miał ocieężały chód, był wysoki - wyższy niż Scott. Tak wysoki, że przy nim czulałam się mała, i to nie w pozytywnym znaczeniu. Gdybym się do niego kiedykolwiek przytuliła, mój policzek trafiłby na ciastowa tą pierś.

- Spotkamy się przy stoliku - powiedziałam, kiedy weszliśmy do środka.

Było na tyle późno, że lunchowy tłum biznesmenów już pomknął z powrotem do swoich kabinek, więc większość stolików była wolna.

- Hej, zaprosiłem cię na lunch, więc pozwól mi za niego zapłacić.

Machnęłam ręką.

- Nie, daj sobie spokój - powiedziałam. Chciałam uniknąć zobowiązań.

- Mam tu rabat!... - zawołał jeszcze za mną. Udałam, że nie usłyszałam, i pośpiesznie podeszłam do bufetu. Nie miałam ochoty oglądać się i zobaczyć go stojącego samotnie w świetle kontuaru z pizzą.

Chociaż pizza byłaby dobra na lunch. Jednak zamiast tego zamówiłam kanapkę z indykiem i serem provolone i z tego powodu poczułam się zdrowsza. Chętnie zjadłabym coś chińskiego, ale potem odbijałoby mi się przez resztę popołudnia i martwiłabym się, że klienci mogą to wyczuć w moim oddechu.

Spotkaliśmy się przy stoliku na wysepce w centrum baru, koło barierki oddzielającej wyłożony kafelkami basen.

Czułam się w tym barze lepiej niż w większości restauracji. Sufit pokrywały plastikowe płyty w kształcie chmur, spod których wзираła ciemność usiana drobnymi, żarzącymi się gwiazdami, dzięki czemu pomieszczenie było na tyle ciemne, by działać kojąco. Woda tryskająca z lwich pysków tworzyła kilka fontann, podświetlonych od dołu turkusowym światłem. Bulgotanie wody zagłuszało dźwięki rozmów.

- Twoja sałatka wygląda smakowicie - powiedziałam, siadając i ustawiając swoją tacę z jedzeniem.

- Muszę trochę schudnąć. Przytyłem chyba z piętnaście kilo, odkąd wróciłem do szkoły.

- Uczysz się? - zapytałam zaskoczona. Ustalone z góry opinie zachwiały się, gotowe plusnąć do fontanny.

- Robię dyplom z pedagogiki. Myślisz, że przez resztę życia chcę nosić koszulki do golfa? - zapytał z uśmiechem, skubiąc zieloną pikę, którą miał na sobie.

- Cóż... Nie wiedziałam.

- Został mi do zaliczenia jeszcze jeden przedmiot. Odbyłem już praktyki, a za tydzień czy dwa dowiem się, czy dostałem pracę tam, gdzie chciałem.

- Czego będziesz uczył?

- Historii w szkole średniej, będę też udzielał korepetycji.

Spojrzałam na niego z nowej perspektywy. Nauczanie historii w szkole średniej to może nie najbardziej ambitny cel, ale była to stabilna, poważana posada. Oczywiście ma na pewno liczne studenckie pożyczki, które będzie spłacał przez całą wieczność.

- Studiujesz na PSU? - zapytałam, myśląc o Cassie i jej muzyku Jacku.

- Tak.

- Moja współlokatorka chodzi z facetem, który studiuje tam pedagogikę. Nie wiem, na którym jest roku. Nazywa się Jack Fogarty. Znasz go?

- Tak. Spotkałem go raz czy dwa. Ależ ten świat mały, co? Nie wiedziałem, że mieszkasz z Cynthią!

- Z Cynthią?

- Czy nie tak nazywa się twoja współlokatorka? Jack to jej chłopak, prawda? A może z kimś go pomyliłem?

- Ma długie włosy i pracuje w pubie.

Wydał wargi. Patrzyliśmy na siebie w milczeniu.

- Oho - powiedział.

- A tak, oho.

Widziałam Jacka poprzedniego wieczoru, gdy zmierzał z pokoju Cassie do łazienki, ubrany tylko w luźne, białe szorty.

- Jesteś pewien, że nie zerwał z Cynthią jakieś dwa miesiące temu?

- Nie wydaje mi się.

- Cholera - powiedziałam. - Wybacz. Kto to jest Cynthią?

- Też studiuje na pedagogice. Zaczęła równocześnie ze mną. Przyszła prosto po studiach licencjackich, więc



nie może mieć więcej niż dwadzieścia trzy lata. Nie znam jej za dobrze, ale zamieniamy czasem parę słów. Gdy zaczęła chodzić z Jackiem, to oczywiście wszyscy o tym mówili, bo on też u nas studiuje.

- Skąd on na to wszystko bierze czas? - zapytałam, nie oczekując odpowiedzi. - Boże! Co jest nie tak z tymi mężczyznami?

Robert uniósł ręce do góry.

- Hej, ja nie mam z tym nic wspólnego.

- Och, nie miałam na myśli ciebie. Wydawał się miły. Moja współlokatorka będzie zdruzgotana. Cholera! Dlaczego musiał się zachować jak palant? Polubiła go!

- Zamierzasz jej powiedzieć?

- Oczywiście, że zamierzam jej powiedzieć.

- Pamiętasz, co się mówi o heroldzie takich wieści - ostrzegł mnie Robert.

- Gdyby chodziło o mnie, chciałabym wiedzieć.

- Jesteś tego pewna?

- Oczywiście. Do licha! Jej się to już raz przytrafiło. Jej były ją oszukiwał. Nie przyjmie tego łatwo.

Popatrzyłam z wściekłością na Roberta, ale to nie o nim myślałam.

Myślałam o Jacku. Jacku z twarzą Keanu Reevesa, z akustyczną gitarą, patykowatym ciałem i długimi włosami. Szczerzącym w uśmiechu swoje białe, trochę krzywe zęby i udającym, że nie jest takim podłym samcem, jakim w istocie był.

- Może to nie jest tak, jak wygląda na pierwszy rzut oka... - zaczął Robert i zamilkł, słysząc własne słowa.

- Tak, na pewno. Co za duppek! Jak mógł zrobić coś podobnego?

Robert wzruszył ramionami.

- W końcu to nic takiego. Zdarza się, wiesz... Zmrużyłam oczy.

- Zdarza się?

- Przecież nie jest z żadną z nich zaręczony.

- I to go usprawiedliwia?

- Nie, pewnie, że nie, ale nie złamał żadnej przysięgi. To się zdarza.

Prawdopodobnie po prostu nie mógł się zdecydować, z którą chce być.

Dobre wrażenie, jakie wywarł na mnie Robert, jako przyszły dobrotliwy nauczyciel, rozplynęło się w niebycie.

- Nie widzisz w tym nic złego?

- Może powinien trochę wyraźniej dać do zrozumienia, że twoja przyjaciółka nie ma do niego wyłącznych praw. Pewnie mu się wydawało, że to nie jest takie istotne. Zdarza się. To tylko facet, który próbuje się z tym wszystkim uporać.

Czy to jest męska wersja bezstronności? Czy Robert myśli, że jest łagodny i sprawiedliwy? Albo rozsądny?

Nagle straciłam cały apetyt na jego towarzystwo. Wzięłam kilka serwetek, zawinęłam w nie kanapkę z indykiem - w końcu kosztowała sześć pięćdziesiąt - i wstałam.

- Dokąd idziesz? - zapytał Robert podniesionym ze zdziwienia głosem. - Wychodzisz?

- Tak - powiedziałam, biorąc torbę.

- Czemu?

Spojrzałam na niego, na jego zniewieściałą twarz, która przybrała idiotyczny wyraz.

- Bo to się zdarza - zakomunikowałam.

Skończyłam kanapkę w samochodzie, zasypując sobie koszulę oraz wszystko wokół kawałkami sałaty

i indyka. Martwiłam się tym, jak bardzo zdenerwuje się Cassie, gdy jej powtórzę to, co usłyszałam. Pomyślałam o tych wszystkich przeczytanych przez lata kolumnach zatytułowanych „Droga Czytelniczko”, gdzie nigdy nie było jasno napisane, czy powinno się powiedzieć przyjacielowi, że jego partner go zdradza.

Instynkt mi podpowiadał, żeby jej powiedzieć. Walczyło z tym pragnienie, żeby jej nie ranić.

Mogłabym dać do zrozumienia Jackowi, że wiem o jego podwójnej grze, i pozwolić mu postąpić właściwie. To było jakieś wyjście, ale nie wiedzieć czemu czułam, że wszystko bym schrzaniła. Cassie by mnie poinformowała, że skończyła z Jackiem, po czym dwa albo trzy tygodnie czy miesiące później wymknęłaby mi się przez przypadek jakaś uwaga, z której by jasno wynikało, że wcześniej od niej wiedziałam o jego oszustwach. A wtedy jak by się poczuła? Zdradzona przeze mnie, najlepszą przyjaciółkę.

A przecież to przyjaciele są zawsze ostoją, kiedy mężczyźni zachowują się jak dranie.

Teraz mogłam skłamać. Ale nad przyszłością bym nie zapanowała.

Musiałam o tym z kimś porozmawiać, nim wykonam jakiś nieprzemyślany ruch, powodowana emocjami. Byłam wściekła na Jacka bardziej, niż byłabym wściekła na faceta, który coś takiego zrobiłby mnie.

Kiedy jest się zaangażowanym w jakiś związek, można znieść wiele, łudząc się nadzieją na trwałość tego związku.

Ale gdy to twoją przyjaciółkę skrzywdzono, nie ma nic, co złagodziłoby nienawiść do faceta, którego w dodatku nigdy nie uważałaś za dość dobrego dla niej. Nachodzi człowieka ochota, żeby go eksterminować.

O trzeciej pojechałam na umówione spotkanie do Joannę. Była trzykrotną mężatką: wydawała się odpowiednią osobą, którą można by zapytać, co zrobić. Jednak gdy dotarłam na miejsce, rozmawiała przez telefon, a kiedy tylko odłożyła słuchawkę, telefon znowu zadzwonił. Ledwie zdołała mi powiedzieć, co mam zrobić ze stosem ubrań, które mi wręczyła. Tutaj nie uzyskałam pomocy.

Następnie byłam umówiona z emerytowanym sędzią, który przywitał mnie w drzwiach w szlafroku i kapciach. Między połam tkaniny frotte widać było klatkę piersiową pokrytą białymi, kręconymi włosami.

Na zlecenie jego żony miałam mu przerobić spodnie, które ciągle ześlizgiwały mu się z płaskich pośladek. Był to niski, żyłasty facet, łysy, z plamami wątrobianymi, zgarbiony i z tego rodzaju błyskiem w oku, który od razu mówił, że to bardziej satyr niż mężczyzna.

A może satyry i mężczyźni to jedno i to samo?

- To ty jesteś tą gorącą dziewczyną, co? - zapytał w ramach powitania.

Jakoś udało mi się powstrzymać od kopnięcia go w pachwinę i wbicia mu łokcia w kark.

- Prawdziwą petardą - odpowiedziałam z poważną miną.

Zarechotał, a błysk w oku stał się jeszcze intensywniejszy.

- Twarda jesteś. Znam ten typ - powiedział i wykonał kilka bokerskich ciosów na niby.

Próbowałam powstrzymać się od śmiechu.

- Mam przy sobie ostre nożyczki i będę dopasowywać panu spodnie - powiedziałam, spoglądając na niego znacząco, chcąc zasugerować, co się może przytrafić jego genitaliom. - Lepiej niech się pan zachowuje grzecznie.

Znowu zarechotał i wpuścił mnie do środka.

- Nie jesteś chyba samotna, co? - zapytał dziesięć minut później, gdy spinałam szpilkami pasek spodni. - Tylko mi nie mów, że taka piękna dziewczyna nie ma nikogo.

- Obawiam się, że tak.

- A może odganasz ich tymi nożyczkami? Parsknęłam.

- Ale lubisz mężczyzn, co? - drażył dalej.

- Tych, którzy się umieją zachować.

- Ha! To równie dobrze mogłabyś być lesbijką. Spojrzałam na niego zmrużonymi oczami. W ogóle

nie pasował do mojego wyobrażenia o emerytowanym sędzi.

- Za pół godziny przyjdzie tu jedna lesbijka z wizytą. To przyjaciółka mojej żony. Wciąż jej proponuję trójkąt, ale ona się tylko śmieje.

- W ogóle nie rozumiem czemu - powiedziałam, sprawdzając, jak się układają spodnie.

Miałam ponurą świadomość faktu, że nie miał na sobie bielizny.

- Powiem ci coś, co może ci się przydać.

- Hm? - mruknęłam, klęcząc i podpinając mankiety.

- No wiesz, gdy jesteś na randce i facet zaczyna się robić bezczelny. Kiedy chce od ciebie więcej, niż masz ochotę dać. Do licha, użyj tego nawet wtedy, jeśli zaczyna coś, co ci się nie podoba albo gdy zmieniłaś zdanie.

- Użyj czego? - zapytałam zaciekawiona.

- Powiedz mu, że ma nieświeży oddech. Gwarantuję ci, że powietrze zejdzie z niego jak z przekłutego balonika.

Roześmiałam się.

- Zapamiętam to sobie.

- Kiedyś jedna dziewczyna zastosowała ten chwyt wobec mnie, na tylnym siedzeniu chevroleta. Już nigdy mi przy niej nie stanął.

- Mogę pana poprosić o radę? - zapytałam, siadając na piętach.

Ten człowiek był kiedyś sędzią, powinien znać właściwą odpowiedź. Tysiące razy musiał spotykać się z tego typu sytuacjami, jeśli sam nie był w coś podobnego zamieszany.

- No, słucham.

Pokrótkie nakreśliłam sytuację Cassie.

- Jak mam się zachować?

- Jesteś na straconych pozycjach - powiedział. - Przykro mi.

- To wszystko? Wzruszył ramionami.

- A co pan myśli o Jacku i o tym, co zrobił? - zapytałam.

- Mężczyźni biorą, co się da.

- Co to znaczy?

Znowu wzruszył ramionami.

- Że to się zdarza.

Kusiło mnie, żeby znowu wyjąć nożyczki.

Do domu dotarłam o zmierzchu i nie byłam ani trochę mądrzejsza. Mogłabym zapytać Louise - w końcu była wykwalifikowanym psychologiem - ale wydawało mi się, że jest coś niewłaściwego w dzieleniu się z nią tym sekretem, zanim poznała go Cassie.

Kiedy weszłam, w domu panowała cisza. Cassie poszła już do pracy.

Pobiegłam ze stertą ubrań na górę, rozwiesiłam je na wieszakach, po czym zeszłam do ciemnego salonu, zapaliłam światło i włączyłam komputer.

Mrugała lampka automatycznej sekretarki. Podeszłam i nacisnęłam guzik.

- „Hanna? Tu Pete. Gdzie się podziewasz? Zadzwoń do mnie. Mam wolne w czwartek”.

No, pewnie, już dzwonię do drania, który wślizguje się do środka bez zabezpieczenia. Palant. Minęło półtora miesiąca od naszej randki w lesie. O ile mi wiadomo, był to pierwszy telefon od niego od tamtej pory. Czyżby tego nie zauważył? Nadpobudliwość! Co za kretyn!

Będę musiała postrzelać trochę do laleczki Pete'a, żeby pozbyć się irytacji związanej z jego telefonem. Lalka miała penisa zamiast głowy, a głowę zamiast penisa. Uznałam, że to odpowiednia metafora.

Następna wiadomość była dla Cassie od Jacka, który mówił, że nie przyjdzie dziś do pracy, bo nie czuje się dobrze.

Aha. Może dziś przypada kolejka Cynthii na porcję miłości Jacka.

Ostatnią wiadomość nagrał Scott.

- „Hanno, co u ciebie? Jak czuje się mama? Dzwonię bez konkretnego powodu. Oddzwoń, jeśli będziesz miała ochotę”.

Och. Kochany jest. Zanim zdążyłam się nad tym zastanowić, podniosłam słuchawkę i wybrałam jego domowy numer.

- Halo.

- Cześć. Tu Hanna.

- Hanna! Cześć! Jak się masz? Jak mama?

Jego głos był ciepły i głęboki. Wzięłam telefon i usiadłam wygodnie wtulona w poduszki.

- Wszystko w porządku. Mama czuje się coraz lepiej. O ile mi wiadomo, tato nie zrobił jej jak dotąd

krzywdy. Pewnie za jakieś dwa miesiące obojgu grozi niedożywienie, ale istnieje też szansa, że do tego czasu mamie uda się nauczyć tatę gotować.

- Wybierasz się do nich w weekend?

- Prawdopodobnie w niedzielę rano. Chcę się zająć rabatami, żeby mama nie musiała się martwić o róże. Pewnie ugotuję im obiad. I zrobię zakupy.

- Może potrzebna ci pomoc? - zapytał.

- Słucham?

- Pomoc. No, wiesz. W pieleniu chwastów, stryżeniu trawnika i tak dalej. Nie mam żadnych planów na niedzielę.

- Nie musisz tego robić - zaprotestowałam.

- Wiem, że nie muszę. Ale chcę. Te kilka spotkań z twoimi rodzicami wystarczyło, bym ich polubił. Chyba nie mieliby nic przeciwko temu, co? Gdybym pomógł? A może to by było niezręczne?

Śmiech zbulgotał mi w gardle.

- Niezręczne? Tylko dla mnie! Tato całe życie próbuje znaleźć kogoś, kto będzie za niego kosił trawę. Pewnie próbowałby cię też namówić na rąbanie drewna, mycie samochodu, może wymianę gontów w dachu. Dla mojego ojca nie jest ważne, czemu przyjechałeś, ważne, że pracujesz za darmo.

- To czemu to dla ciebie niezręczne? - zapytał.

- Bo mama uzna, że jesteś moim narzeczonym. Albo pomyśli, że powinienes nim być. Ale bym się potem nasłuchała, jaki to miły chłopak z tego Scotta...

- Co w tym złego?

- To by cię bawiło, prawda? Ciekawa jestem, co by na to powiedziała twoja prawniczka.

- Och. No, cóż... Już się z nią nie widuję.

- Co?



- Zerwaliśmy, jeśli można użyć tego słowa. Półtora tygodnia temu.

- Dlaczego? - zapytałam.

Byłam ciekawa, czy zerwanie miało jakiś związek z chęcią spędzenia niedzieli ze mną i moimi rodzicami.

Nie powinnam tak myśleć, to niesprawiedliwe. Przez ostatnie tygodnie Scott wykazał się troskliwością większą nawet niż Louise i Cassie. Zawsze się zgłaszał gotowy do pomocy, pytał, czy jest coś do zrobienia albo czy po prostu nie potrzebuję towarzystwa.

Wydawało mi się, że proponuje mi pomoc albo towarzystwo częściej niż Louise czy Cassie, bo sam był w podobnej sytuacji, więc nie bał się tak bardzo, że nie będzie wiedział, co powiedzieć. Śmierć jego taty była sto razy gorszym doświadczeniem niż wylew mojej mamy. Czułam między nami inną więź niż ta, która łączyła mnie z resztą przyjaciół.

- Powiedziała, że nie wkładałem w to serca - wyjaśnił Scott. - Że szkoda marnować czas, czekając, aż się zdecyduję, co właściwie do niej czuję.

- Aha...

- Miała rację, nie zależało mi. Kiedy to powiedziała, poczułem przede wszystkim ulgę. Nigdy się przy niej nie mogłem odprężyć.

- Więc wracasz do Internetu? - zapytałam, licząc na odpowiedź przeczącą.

A przecież nie miałam powodu, żeby sobie tego życzyć. Czyżbym stawała się nieco zaborcza w stosunku do Scotta?

Lepiej wezmę siebie pod lupę. Jeśli nie będę uważać, mogę gruntownie schrzanić nasz wygodny, przyjacielski układ czwórkowy.

- Raczej nie. W każdym razie nie w tej chwili. Zbliża się lato. Są lepsze rzeczy do roboty.

- Na przykład pielenie cudzego ogródka?

- Hej, jeśli nie chcesz mojej pomocy, to powiedz

- rzucił takim tonem, że nie byłam pewna, czy żartował, czy poczuł się urażony.

- Po prostu trochę dziwnie się z tym czuję. Jesteś taki troskliwy. Nie chcę nadużywać twojej uprzejmości.

- Och, na litość boską, Hanno. Jesteś przez cały czas tak skupiona na własnej niezależności i samodzielności, że nie pozwalasz ludziom czasem sobie pomóc.

- Nie chcę być od nikogo uzależniona.

- To nie jest zależność! Trzeba siły, żeby przyjąć pomoc od innych.

- Nie rozumiem - mruknęłam.

- To... Do licha, nie wiem, jak to wytłumaczyć. Sam dopiero niedawno to zrozumiałem.

- Myślałam, że faceci nie lubią, jak im się pomaga. Myślałam, że uznają to za oznakę despotyzmu.

- Tak! Dokładnie o to chodzi! A dlaczego faceci nie lubią, jak im się pomaga? Bo myślą, że uważasz ich za słabych albo głupich. Ale człowiek naprawdę silny potrafi przyznać się do własnej ignorancji lub pomyłek i nie stanowi to dla niego żadnego zagrożenia. Umie poprosić o pomoc.

- Rozmawiałaś z Louise? To brzmi jak jej słowa

- stwierdziłam. » Scott nie miał w zwyczaju snuć rozważań na temat intelektu i emocji, chyba że sprowokowała go do tego któraś z nas.

- Może.

- O czym rozmawialiście? Ochrzaniła cię za coś?

Byłam ciekawa, co sprowokowało go do podjęcia takiego tematu.

- Neeee... To nie ma znaczenia.

- Zaciekawileś mnie.

- Nieważne! Poduszki na sofie prezentują się świetnie. Mówiłem ci to już?

- Zmieniasz temat? - zapytałam.

Czyżby rozmawiali o mnie? Ta myśl była paranoiczna. Zresztą o czym mieliby dyskutować?

- Tak, zmieniam temat.

- Świetnie.

Przez chwilę zapanowało między nami milczenie. Słyszałam, jak Scott zmienia pozycję.

Byłam ciekawa, czy leży rozciągnięty na swojej skórzanej sofie. Ledwie oparłam się pokusie, by zapytać, co ma na sobie. Zachichotałam. Mógłby nas połączyć seks przez telefon.

- Co jest?

- Nic.

Przecież nie mogłam powiedzieć na głos tego, co przemknęło mi przez głowę!

Pomyślałam wtedy o Cassie i Jacku i poczułam, że mogę powiedzieć o tym Scottowi, mimo że rozmowa z Louise wydawała mi się niewłaściwa.

- Mam mały problem. Przydałoby mi się spojrzenie z nowej perspektywy. Chcesz posłuchać?

Pewnie, że chciał. Nakreśliłam mu sytuację.

- Dupek! - powiedział, gdy skończyłam.

- Też tak uważam.

- Facet bez honoru. Pieprzony dupek!

- Wiesz, że jesteś pierwszym facetem, który tak to widzi? Inni mówią: „to się zdarza”, jakby nic wielkiego się nie stało.

- Nie mają honoru. Nigdy bym czegoś takiego nie zrobił. Cholera!  
Co za palant! Wiesz, lepiej jej będzie bez niego.

- Wiem, ale jak mam jej to powiedzieć?

- Kurczę! Nie mogę uwierzyć, że ktoś zrobił coś takiego Cass.

Pozwoliłam mu jeszcze trochę ciągnąć tę tyradę, dziwnie pocieszona jego reakcją.

Mimo nieokrzesianego języka była w tym jakaś rycerskość w porównaniu z tym, co usłyszałam od Roberta i sędziego-satyra. Oni nawet się nie zająknęli na temat honoru. Nie zwrócili uwagi na fakt, że w dwudziestym pierwszym wieku obowiązują pewne standardy zachowania, do których mężczyzna powinien się stosować.

Honor. Podobało mi się brzmienie tego słowa. Po raz pierwszy usłyszałam je z ust mężczyzny z krwi i kości.

Było to zaskakujące i wzruszające.

- Będziesz musiała jej powiedzieć, wiesz? Nie liczyłbym na to, że on sam z nią zerwie.

Westchnęłam.

- Wiem.

Po chwili zapytał:

- No więc jedziemy razem w niedzielę?

- Muszę się zastanowić...

- Jesteś niemożliwa.

- Dlatego mnie lubisz - powiedziałam. Usłyszałam prychnięcie. ,

- Dobranoc, Hanno.

- Dobranoc.

Odłożyłam słuchawkę i uśmiechnęłam się do telefonu.

*PERKALOWA POŚCIEL*

Minęła północ, a ja siedziałam na górze zajęta szyciem i czekałam na powrót Cassie. Wypiłam kilka filiżanek cappuccino, co tylko pobudziło mój umysł do nerwowych podrywów. Czułam niepokój, myśli kłębiły mi się w głowie w rozszalałym tańcu, co było niemal tak samo nieprzyjemne, jak chlupoczący stan mojego żołądka.

Moja na poły uszyta suknia ślubna wisiała na wieszaku razem z ubraniami do przeróbki. Były wśród nich zwykle zaległości w poprawkach męskich spodni w różnych odcieniach przegniłej ściółki leśnej: brązach, zieleniach i szarościach; suknia wieczorowa Bethany, która, jak zdecydowano po wprawiających w konsternację grymasach królowej piękności, miała zostać wyposażona w większe wkładki w biuście i ciaśniejszy, wbudowany gorset; dwie suknie matki panny młodej, które trzeba było skrócić; trzy wełniane damskie żakiety wymagające zwięzienia oraz misz-masz spódnic i sukienek, którym trzeba było zrobić albo popuścić zaszewki, podłożyć brzegi, zmienić wykrój dekolту, skrócić stan i tak dalej, i tak dalej.

Nic więc dziwnego, że zamiast tego wszystkiego zajęłam się kolejnym kostiumem zapaśniczym.

Tym razem Elroy zapłacił mi z góry - nie miałam już ochoty na rozliczenie w formie seansów spirytystycznych, dziękuję bardzo! I dobrze, bo nie wyobrażałam sobie, by jego skromna kariera mogła się dalej rozwijać, gdy Elroy pojawi się na ringu w tym stroju.

Kostium buldoga okazał się dla publiczności zapaśniczej mało ekscytujący. Futrzane spodnie nie były elastyczne i było w nich za gorąco. Od początku go ostrzegałam, ale mnie nie słuchał, podobnie jak nie posłuchał mnie wczoraj, gdy wyraziłam opinię na temat nowego kostiumu. Będzie wyglądał śmiesznie.

Chciał być King Kongiem. Facet był silny, ale niewysoki. Kto to słyszał, żeby King Kong miał metr siedemdziesiąt wzrostu?

Jeszcze gorszy był fakt, że zmusił mnie do uszycia futrzanej, kopulastej czapki, dzięki której miał zyskać pochyłą, spiczastą czaszkę goryla.

Może powinien się wynajmować na dziecięce przyjęcia?

Chociaż spodnie tym razem były w porządku. Uszyłam je z rozciągliwej, lycrowej dzianiny. Za pomocą karabinka klejowego przytwierdzałam do nich długie kępki czarnej włóczki. Elroy musiałby być dyrektorem naczelnym biura spirytystycznego, żeby móc sobie pozwolić na pokrycie kosztów przyszywania ich ręcznie.

Krótkie, włochate nogi, naga klatka piersiowa, spiczasta głowa. Jedno z dwojga: albo miał niewyobrażalny tupet, albo budyń malinowy zamiast mózgu.

Słuchałam radia, przytwierdzałam włóczkę i nadstawiałam ucha, by usłyszeć samochód Cassie. Było już po pierwszej, kiedy w końcu dobiegł mnie oczekiwany dźwięk. Odłożyłam karabinek.

- Cześć, pracoholiczko - powiedziała kilka minut później, zaglądając do szwalni.

- Witaj, szynkowa dziewczyno.

- Jestem skonana. I cuchnę. Idę wziąć prysznic i kładę się spać.

Wszystko gra?

- Tak. Czemu by miało nie grać?

- Tylko pytam - odparła i ruszyła w stronę swojego pokoju.

Wstałam i poszłam za nią. Zatrzymałam się w progu. Cassie rozpiniała guziki białej bluzki.

- Spotkałam dziś kogoś, kto zna Jacka - powiedziałam.

Równie dobrze mogę mieć to z głowy od razu.

- Jego przyjaciela? - zapytała, przerywając rozbieranie.

Uśmiechała się jak ktoś, kto nagle ma nieoczekiwaną okazję, żeby porozmawiać o kimś, kogo lubi.

- To kolega ze studiów.

- I co o nim mówił?

Spodziewała się czegoś miłego, a w najgorszym razie równie nieszkodliwego, jak słowa: „nie zna go zbyt dobrze, ale wydaje mu się miły”.

- Jack chodzi ze studentką, jakąś Cynthią - powiedziałam i skrzywiłam się, jakbym w ten sposób mogła sprawić, że ją to nie zaboli.

- Co? - Zbladła. Lecz po chwili się uspokoiła i uśmiechnęła. - Cynthia? Och, pomylił się. Przygotowywali razem jakiś referat, to wszystko. To tylko znajoma. Wszystko o niej wiem.

- Naprawdę? - Cały ten niepokój bez powodu?

- Ten chłopak był pewien, że Jack chodzi z Cynthią. Powiedział, że wszyscy na roku znają ich jako parę

- paplałam z ulgą. Martwiłam się na wyrost! Po co całe

to zamieszanie! Bez powodu! - Powinnam była się domyślić, że to tylko plotka. Ludzie zawsze snują domysły, gdy chłopak przyjaźni się z dziewczyną.

- Powiedział, że wszyscy o tym wiedzą? - zapytała wolno, a jej głos zabrzmiał teraz mniej pewnie.

- Prawdopodobnie przesadza. Hej, nie chodziło mi o to, żebyś zwątpiła w Jacka, jeśli nie ma powodu - powiedziałam, wycofując się rakiem.

Podniosła słuchawkę telefonu przy łóżku.

- Chyba nie zamierzasz do niego dzwonić, co? Nagle wyobraziłam sobie, że znalazłam się w środku

żenującej sceny uczuciowej, oskarżona o wszystkie kłopoty. Jack mnie znienawidzi.

- Zadzwoił z informacją, że jest chory, więc lepiej niech będzie w domu - powiedziała, wybierając numer.

Uzyskała połączenie, odczekała kilka chwil. Telefon dzwonił. W końcu ktoś odebrał. Słyszałam, co mówi Cassie.

- Russ? Tu Cassie. Mogę rozmawiać z Jackiem?

- Możesz go obudzić?

- To naprawdę ważne.

- Nagła sprawa.

A potem oskarżycielsko:

- Nie ma go w domu, prawda?

- Russ, przestań. Nie kłam. Wiem, że wyszedł. Wiem o Cynthii.

Zapadła długa cisza. Nie odwróciła się w moją stronę. Widziałam tylko, jak jej głowa opada do przodu, ramiona się garbią, a plecy zaczynają drżeć. Słuchała wyjaśnień Russa, współlokatora Jacka.

- Nie, nic mu nie przekazuj. Dzięki za szczerłość.

- Tak, dziękuję. Cześć.



Odwróciła się. W jej oczach błyszczały łzy. Zamrugła. Popłynęły po policzkach.

- Cholerny padalec - powiedziała cicho. Podeszłam do niej, ale nagle wrzasnęła, złapała kapę

i zdarła ją z łóżka. Zaczęła szarpać pościel, prześcieradła wylądowały na podłodze, a za nimi ochraniacz na materac.

- Kłamliwy owcojebca! Niewyżyty fiut! Zebrała pościel. Odsunęłam się, a ona wyrzuciła ją

na korytarz. Z gardła wyrwał się jej kolejny krzyk.

- Cass? - powiedziałam cicho.

Byłam przestraszona. Nigdy jej takiej nie widziałam. Gdzie się podziała spokojna Cassie, dla której każde wydarzenie miało swój sens, a harmonia była kluczem do wszystkiego?

- Muszę wygotować pościel - powiedziała zimnym tonem.

Stała bez ruchu ze zwieszonymi ramionami i gapiała się na stertę pościeli w korytarzu.

- Nie będę w stanie w niej spać, póki nie spiorę jego zapachu.

Odwróciła się i spojrzała na mnie. Kąciki jej ust wygięły się w dół, głowa przekrzywiła na bok, a w pięknych, zielonych oczach było tyle bólu.

- Dlaczego to mi się ciągle przydarza? Pokręciłam głową.

- Nie wiem.

Już chciałam powiedzieć, że to nie jej wina, że mężczyźni to dranie, że Jack to dupek, a ona zasługuje na kogoś lepszego - ale to nie dawało odpowiedzi na pytanie. Nie wyjaśniało, dlaczego znowu została zraniona.

- Czy byłam dla niego za głupia? Może mam

kiepskie wykształcenie? Prawie zrobiłam licencjat, zabrakło mi tylko kilku egzaminów, ale to za mało w porównaniu z kimś, kto robi magistra.

Popatrzyła na mnie, szukając potwierdzenia.

Nie wiedziałam, co powiedzieć.

- Przecież to ze mnie nie czyni nieudacznika? Fakt, że nie skończyłam studiów, prawda?

- Jesteś sto razy mądrzejsza od niego. Nie krzywdzisz ludzi - powiedziałam.

- Jestem za stara? Może mam obwisłe pośladki? Ona jest młodsza ode mnie, pewnie ma jędrne piersi.

- Nie wydaje mi się, żeby tu chodziło o ciebie - powiedziałam. - Problem tkwi w nim. Jest pokrecony. Musi być, skoro wyciął taki numer tobie i jej. Z tobą jest wszystko w porządku.

- W takim razie dlaczego nie byłam dla niego dość dobra? - zapytała żałośnie.

Rozpląkała się. Podeszłam i przytuliłam ją.

Cassie pokonała schody z piwnicy i weszła do kuchni. Zza jej pleców dobiegał cichy szum suszarki. Była trzecia w nocy. Wyjadłyśmy wszystkie lody z lodówki i zajęłyśmy się butelką czerwonego wina, które dostałam od klienta na Gwiazdkę.

Cassie dołączyła do mnie przy małym stoliku w rogu kuchni. Obie miałyśmy teraz na sobie szlafroki, ałe nie chciało nam się jeszcze iść spać. Bez możliwości zmierzenia się z Jackiem Cassie straciła całą parę. Zostało tylko złamane serce.

- Czy dostanę wudu Jacka? - zapytała, podciągając stopy na krzesło.

Kolanami sięgała prawie do brody. Jej długie włosy były wciąż mokre po prysznicu, miała bladą twarz, tylko jej wargi miały żywszą barwę, bo zabarwiło je wino.

- Oczywiście. Zrobić mu dwie twarze?

- I dwa ptaki, których nie będzie umiał utrzymać w spodniach - powiedziała. - A wszyscy myślą, że to taki miły facet.

- Nie podobała mi się różnica wieku między wami, ale uważałam go za przyzwoitego gościa. Nigdy bym nie wpadła na to, że mógł zrobić coś podobnego.

- Nikt by na to nie wpadł. Nie jestem mściwa, ale czuję, że każdy powinien wiedzieć, co zrobił. Dla dobra Jacka - powiedziała.

- To ciekawy punkt widzenia. Publiczne upokorzenie dla jego dobra.

- Nie, mówię poważnie - powiedziała Cassie, ożywiając się. - On podświadomie wie, że postąpił źle. W głębi duszy musi się bardzo wstydzić. Jak morderca, który chce wyznać winę i zostać ukarany. Nie będzie mógł z tym żyć, aż odbędzie pokutę.

- I to ty zamierzasz go do tego zmusić? To mi bardziej wygląda na zemstę niż na podtrzymywanie naturalnego porządku, o bogini.

- On na pewno się tego spodziewa. Musi sobie zdawać sprawę, że to nie może trwać wiecznie.

- Wydaje mi się, że go przeceniasz - powiedziałam. - Nigdy mi się nie wydawał szczególnie spostrzegawczy czy zdolny do samoobserwacji.

- Tak. I właśnie dlatego powinien zostać wyobcowany. Mógłby nie znaleźć w sobie odwagi, żeby stawić czoło własnej winie, więc muszą mu w tym pomóc inni. To jedyny sposób, by stał się lepszy. To mu pomoże dorosnąć.

- Ciekawa teoria - powiedziałam ostrożnie, nieco wytrącona z równowagi żarliwością jej oświadczenia.

Cassie była jedyną osobą, jaką znałam, która mogła przemienić zemstę w doświadczenie rozwijające dla ofiary. Albo nie chciała przyznać się do tego, że ma ochotę poszczuć łasicę na przyrodzenie Jacka, albo naprawdę osiągnęła wyższy stopień dojrzałości, o jakim ja mogłam tylko pomarzyć.

- Powiem wszystkim w pubie, co zrobił: współpracownikom, kierownikom, klientom. A ty opowiedz temu sprzedawcy ze sklepu z odzieżą, żeby rozpowie-dział to ludziom na studiach. Każdy musi się dowiedzieć.

- Czy to nie będzie upokarzające? Dla ciebie? Zamrugła zaskoczona.

- Czemu? Ja nie zrobiłam nic złego.

Wzruszyłam ramionami. Sączyłyśmy wino i wsłuchiwałyśmy się w wirowanie suszarki w piwnicy. Ziewnęłam i pomyślałam o spaniu, ale wtedy znowu odezwała się Cassie.

- Wiesz, myślałam, że będę już umiała coś takiego przewidzieć. - W jej głosie znowu zabrzmiało przygnębienie. Ogień rozniecony przez wizję kary przygasł nieco. - Myślałam, że mam już sporo doświadczenia, aby rozpoznać palanta. Czy niczego się nie nauczyłam?

- A czy ktokolwiek się czegoś takiego nauczył? Popatrz na Louise i tego Dereka. Popatrz na mnie. Wciąż jestem sama mimo rozpoczęcia kampanii w poszukiwaniu Tego Jedynego.

Cassie parsknęła szyderczo.

- Co? - zapytałam.

- Ty? Jesteś sama tylko dlatego, że tego chcesz. Dobrze wiesz, że masz swojego Jedynego pod ręką.

- Niby kogo?

- Och, daj spokój, Hanno. Scotta! A niby kogo? Poczułam, że pieką mnie policzki. Nagle zaczęłam się pocić.

- Jestem tylko jego przyjaciółką. Jak my wszystkie.

- Nieprawda, nie jak my wszystkie. On jest prawie w tobie zakochany. Dostrzegłabyś to, gdybyś tylko chciała.

- Nie, nie jest. Jeszcze kilka tygodni temu spotykał się z tą prawniczką. Nie interesuje się mną w taki sposób.

Protestowałam zbyt energicznie i podejrzewałam, że Cassie zdaje sobie z tego sprawę.

- Nie zamierzam cię przekonywać. To właśnie miałam na myśli, kiedy kilka miesięcy temu mówiłam ci, że to przyjdzie samo, gdy będziesz gotowa. Interesował się tobą, odkąd się tu sprowadziłaś, ale nie zamierza ryzykować, póki nie będzie pewien, że jesteś otwarta na taką opcję.

- Ale on należy do Louise.

- To było dziesięć lat temu. Stara historia. Kręci się tak koło nas tylko ze względu na ciebie. To jedyny powód. Chce być bliżej ciebie.

- Nie zdawałam sobie sprawy... Scott i ja?

- Naprawdę nigdy o tym nie myślałaś? Szczerze? Nie chciałam się przyznać, że było inaczej. Te słabe

płomyki zainteresowania, jakie tliły się w moim sercu, mogły zostać stłumione podmuchem rozmowy. Nie musiałam dzielić się z Cassie wiedzą, że moje zainteresowanie Scottem nieco wykraczało poza przyjaźń. I tak będę się czuła dziwnie w obecności ich obojga.

- Przepraszam - powiedziała Cassie, zanim zdążyłam wymyślić jakąś odpowiedź. - To przez wino. Mam

za sobą ciężki wieczór. Nie zamierzałam tego wszystkiego mówić.

- Nie ma za co przeproszać.

Przejechała palcem po krawędzi kieliszka, po czym odsunęła go od siebie i wzruszyła ramionami.

- Cokolwiek miało się między wami zdarzyć, schrzaniłam to, rozmawiając z tobą na ten temat. Teraz będziesz w stosunku do niego sztywna, będziesz się bała zachowywać naturalnie. Zablokowałam twój cza-kram - powiedziała z uśmiechem.

- Nie rozumiem, dlaczego tak ci zależy, żebyśmy byli razem.

- Chcę popatrzeć na udany związek.

- A nie będzie cię to denerwować? - zapytałam.

- Odkąd to ktoś ze złamanym sercem chętnie przygląda się zakochanym?

Jej rysy złagodniały, przybrała spokojną, wszystkowiedzącą minę, do której przywykłam.

- Hanno, czy ty nie rozumiesz? - powiedziała.

- Szczęście mojej przyjaciółki to moje szczęście. Jack nigdy się nie dowie, co stracił.

*SPODENKI DO BIEGANIA*

- Oni zawsze kłamią. Dlaczego? Przecież nie mogą liczyć na to, że się nie zorientujemy - powiedziała Louise, machając ręką.

Wędrowaliśmy szlakiem Wildwood, z parkingu przed zoo przez arboretum Hoy t aż do Pittock Mansion, skąd roztaczał się widok na północne obrzeża miasta. Była to popularna trasa spacerowa, zwłaszcza w soboty. Co kilka minut mijali nas biegacze, psy, gawędzące pary.

- Czy jemu się wydawało, że nie zauważę, iż stwierdzenie o średniej wadze jakoś się kłóci z nadprogramowymi trzydziestoma kilogramami zwieszającymi mu się z brzucha? - zapytała. - Chociaż na podstawie zdjęcia rzeczywiście nie mogłam się tego domyślić.

Usiłując uwolnić się od Dereka, Niezainteresowanego Rozwodnika, Louise w końcu uległa urokowi internetowych randek. Wybrała faceta, który na zdjęciu wyglądał śliczniutko - a było to, jak się okazało, zdjęcie wybrane ze sporą dawką autopochlebstwa.

- To jak kupowanie ubrań z katalogu - powiedziałam. - Jeśli modelka siedzi albo obejmuje się ramionami w talii, trzeba zachować ostrożność. Prawdopodobnie wygląda w tym stroju jak kołek.

- No, i jeszcze te czapeczki baseballowe. Założę się, że dziewięćdziesiąt procent facetów, którzy robią sobie zdjęcia w czapkach, to łysi.

- O to trudno mieć do nich pretensje - zauważyłam.

- Ale do kawiarni nie przyszedł w czapce. Za każdym razem, gdy coś go zakłopotало, pocierał głowę. Jakby ją polerował. Miałam ochotę strzyknąć na niego odrobinę wosku i może podać mu irchową ściereczkę. Skłamał nie tylko w kwestii wyglądu.

- Tak?

- Napisał, że ma doktorat z psychologii. A jeszcze nie napisał pracy. Napisał, że lubi podróżować, zwłaszcza za granicę. Był w Anglii - jejku, jak daleko! Pozostałe podróże to wycieczki samochodem po Stanach. Napisał, że uwielbia pływać kajakiem. Tylko raz mu się to zdarzyło, trzy lata temu.

- Więc właściwie na żaden temat tak naprawdę nie skłamał - powiedziałam przede wszystkim po to, żeby ją podjudzić.

- I ma małe, miękkie dłonie ze spiczastymi palcami.

- Faj. Łapki małej myszki - powiedziałam.

- Możesz sobie wyobrazić, że takie dłonie cię dotykają?

Rozmyślałyśmy o takim horrorze. Łączyła nas odraza.

- Ale był miły, co? - zapytałam. - To znaczy, nie spełniał twoich oczekiwań, ale nie okazał się palantem ani pomyłką?

Westchnęła z przesadą. ,

- Był aż za bardzo miły. Niewydarzeni faceci gorączkują się, że kobiety nie przepadają za miłymi mężczyznami, ale nic nie rozumieją. Bycie miłym nie oznacza takiej pasywności, że pozwala się kobiecie wejść sobie na głowę. Jego była podstępem zmusiła go



do małżeństwa starym, rutynowym „jestem w ciąży, usunę dziecko”. Czy uwierzysz, że ten sposób wciąż działa?

- Przynajmniej próbował zrobić to, co uważał za słuszne.

- Ale jakim trzeba być idiotą, żeby sobie nie zdawać sprawy z tego, w co się pakuje? Jakby małżeństwo miało jakiegokolwiek szanse przetrwania. Dla biednego dziecka lepiej by było, gdyby się w ogóle nie urodziło, skoro ma mieć taką mamusię i ojca idiotę. Oczywiście jego żona „poroniła” niedługo po ślubie.

- A kto kiedykolwiek twierdził, że mężczyźni zachowują się mądrze w kwestii związków? - zapytałam.

- Są jak wiejscy prostytutki w czasie pierwszej wizyty w mieście. Niektórzy są mili, inni chamscy, a wszyscy jednakowo nie mają o niczym pojęcia.

- A potem się dziwią, że coś mogło pójść nie tak

- dodała.

Lubiłam Louise w nastroju do wygłaszania tyrad. Czasami miałam wrażenie, że chętniej nokoutowałyby facetów, niż ich całowała. Jednak któregoś dnia trafi ją strzała Amora i miałam nadzieję, że będę przy tym obecna.

- A ci dzwoniący do linii kryzysowej mężczyźni, którzy się rozwodzą - ciągnęła dalej. - Potrafią tylko płakać i powtarzać, że się zabijają. Albo zabijają ją, a potem siebie. Nie umieją sobie z tym poradzić, nie mają pojęcia, co się dzieje, i nie wyobrażają sobie przyszłości bez żon.

Przerwała na chwilę przemowę, kiedy stanęłam za nią, żeby zrobić miejsce dla biegacza.

- A kobietom w takiej sytuacji głowę zaprzęta tylko kwestia własności domu.

- W tym świetle wyglądają na bardziej wyrachowane, podczas gdy mężczyźni są romantykami.

- A co sprawia, że ktoś jest romantyczny? - zapytała. - Ideały wywiedzione z bajek i jednowymiarowe wierzenia na temat ludzi i związków. To nie świadczy o inteligencji.

- Lecz może potrzeba nam w życiu nieco tego rodzaju magii. Rzeczywistość jest szara. Ja chcę wierzyć w „żyli długo i szczęśliwie” oraz w to, że „miłość trwa wiecznie”.

- Wbrew swoim doświadczeniom? - zapytała.

- Tak.

- Cóż to za oderwana od rzeczywistości filozofia?

- Jeśli jesteś uprzedzona do randek, nie przyciągniesz miłego faceta - powiedziałam. - To tak, jakby istniała na świecie jakaś randkowa karma, której siła sprawia, że dostajesz zapłatę za to, co z siebie dałaś.

- Co takiego?

- Nie mówię tego w sensie erotycznym - powiedziałam karcąco.

- Nie rozumiem, jak ta karma odpłaciła tobie. Pomyśl o wrednym policjancie.

- Dostałam to, o co się prosiłam. Byłam zainteresowana tylko jego ciałem i tylko to mi dał. A przynajmniej mam nadzieję, że tylko to od niego dostałam. Jeszcze nie zrobiłam badań ginekologicznych.

Zrównał się z nami jakiś biegacz. Po raz kolejny schowałam się za Louise. Był przystojny, niewiele po trzydziestce, ciemnowłosey, miał twarz modela. Zdkje się, że pod obcisłymi spodenkami do biegania nie miał majtek.

Kiwnął głową i minął nas.

- Widziałaś? - zapytałam.

- Jak mogłabym nie widzieć?

- Myślisz, że wie, że to wystaje? Wygląda, jakby miał w spodenkach gałąź wyrastającą z pachwiny.

- Musi wiedzieć - stwierdziła Louise. - Może to sprawia mu frajdę. Może myśli, że to na nas działa.

- Od razu przychodzi mi na myśl pies, który liże sobie penisa. Fe.

- Wydawało mi się, że to ty masz obsesję na punkcie męskiego organu.

- Tylko we właściwej scenerii - powiedziałam. Obejrzałam się, ale biegacz już dawno zniknął. - Myślisz, że wróci?

- Chciałabyś.

Przez chwilę szłyśmy w milczeniu. Szlak prowadził na porośnięte lasem zbocze. Z prawej mogłyśmy spojrzeć w dół, przez konary drzew widać było Ogród Japoński w Washington Park.

- Ta randka odebrała mi wszelką ochotę na spotkanie się z kimkolwiek - powiedziała Louise.

- Jedna randka i już masz dość? Wzruszyła ramionami.

- Naprawdę nie zależy ci na małżeństwie? - zapytałam. - Ani nawet na trwałym związku?

Już kiedyś o tym rozmawiałyśmy, ale miałam poczucie, że muszę sprawdzać, czy nic się w tej kwestii nie zmieniło.

- Nieszczególnie. Mówiąc to, czuję się jak dziwoląg, ale jestem szczęśliwa, będąc sama. Lubię mieć swoje mieszkanie dla siebie. Lubię robić, co chcę. A ponieważ nie chcę mieć dzieci, nie ma powodu, żebym koniecznie musiała z kimś być.

- A nie brakuje ci seksu?

Wzruszyła ramionami, jakby było jej wstyd przyznać, że nie jest kipiącą burzą hormonów.

- Wiesz, kiedy śpię w jednym łóżku z facetem, mam zawsze kłopoty z zaśnięciem. Chyba wolę spędzić zimę z puchową kołdrą niż z mężczyzną.

- Ale byłaś całkiem szczęśliwa ze Scottem, prawda?

- To było bardzo dawno temu. Pierwiastek nowości sprawiał, że to było do zniesienia.

- Czy był kiepski w łóżku? - zapytałam i poczułam, jak zalewa mnie rumieniec.

Nie potrafiłam uwierzyć, że zadałam to pytanie. Znałyśmy się na tyle długo, że swobodne rozmowy o umiejętnościach mężczyzn, z którymi się spotykałyśmy, były na porządku dziennym, ale nigdy nie pytałam o Scotta i ich wspólną przeszłość. Nie byłam nawet do końca pewna, czy chcę to wiedzieć.

- Był uważny. Spostrzegawczy - powiedziała Louise. - Szybko się uczył. Wyobrażam sobie, że od tamtego czasu sporo się nauczył - dodała lubieżnie.

- A czemu chcesz to wiedzieć?

- Z czystej ciekawości - wymamrotałam.

- Należy do facetów, którzy we śnie otaczają cię ramieniem i chrapią prosto w ucho. Nie mogłam spać w takich warunkach. Ty byś mogła?

- Chyba tak. Lubię się do kogoś przytulić.

- Hej, a o co chodzi z tym ostatnim weekendem?

- zapytała nagle. - Scott chciał jechać z tobą do Roseburga.

- Postanowiłam jechać w sobotę i zostać tam na noc. To za daleko, żeby wracał sam, więc powiedziałam mu, żeby nie jechał.

Tak naprawdę to Cassie, zgodnie ze swoimi przewidywaniami, uprzedziła mnie do całej sprawy i nie mogłam znieść myśli o spędzeniu ze Scottem tak długiego czasu sam na sam w samochodzie. Nie chciałam też, by pracował w ogrodzie rodziców, jakby

był potencjalnym zięciem, który stara się zrobić dobre wrażenie.

Nie miałam pewności, co czuję do Scotta. Był miły; lubiliśmy przebywać w swoim towarzystwie; gdy w końcu użyłam nowego wibratora, mężczyźnie, którego sobie wyobraziłam, dałam jego twarz; ale wciąż nie wiedziałam, co z tego wynika. Nie byłam pewna, czy to dość, żeby zburzyć przyjacielską bez troskę, która nas wszystkich łączyła; co bez wątpienia by się stało, gdybyśmy ze Scottem przekroczyli granicę przyjaźni.

- Wydaje mi się, że był rozczarowany - powiedziała Louise.

Czaiłam się z pytaniem, czy jej zdaniem Scott coś do mnie czuje, a jeśli tak, czy jej to przeszkadza.

Ale nie mogłam się zmusić, by wypowiedzieć je na głos. To było zbyt krępujące. Nie miałam pewności, czy potrafiłaby zdobyć się na szczerą odpowiedź. No, bo co niby miałyby powiedzieć? Na pewno stwierdziłaby, że jest jej to obojętne, bez względu na to, jak duży by czuła dyskomfort. W przeciwnym razie wyszłaby na szalenię zaborczą.

- Przejdzie mu - powiedziałam. Zrównał się z nami kolejny przystojny biegacz, kiwnął głową i pobiegł dalej. Gdy oddalał się truchtem, patrzyłyśmy na jego napinające się pośladki. - Myślisz, że mogłybyśmy któremuś podstawić nogę, żeby go zatrzymać?

- Ty jesteś tą napaloną, więc to zrób.

- A pomożesz mi zawlec go w paprocie, żebym mogła się do niego dostać?

- Nie ma sprawy.

- Jesteś prawdziwą przyjaciółką.

- Jakbym o tym nie wiedziała.

*DODATKI W KOLORZE STAREGO ZŁOTA*

- Powiedz, że nie spotkasz się z tym facetem - jęknęła Cassie.

Siedziała na moim łóżku, podczas gdy ja przymierzałam różne sandały, żeby sprawdzić, które najlepiej pasują do blad różowej sukienki w kwiaty, jaką sobie uszyłam.

- Spotkam się.

Zrzuciłam brązowe sandały i włożyłam te z wąskimi paskami w kolorze starego złota. Miały płaskie podeszwy, więc moje nogi wyglądały na krótsze, niżbym chciała, ale brązowe były zbyt ciężkie i masywne.

Uniosła brwi, sugerując, że sama siebie oszukuję i że ona wie, co się tak naprawdę święci.

- Co jest? - zapytałam.

- Nic, nic. Jeśli naprawdę chcesz się z nim umówić, to zrób to.

Było to stwierdzenie, które wywołało we mnie pragnienie, by wytrząsnąć z niej to, co chodziło jej po głowie. Nie wiem, dlaczego zawsze pytam ją o radę, skoro praktycznie nigdy się do niej nie stosuję.

- No, powiedz. Czy twoim zdaniem to jest skazane na niepowodzenie? - zapytałam.

Spojrzała na mnie. Nie odpowiedziała.

- Bo ja uważam, że to ma pewne szanse. On jest chyba w porządku - ciągnęłam bez przekonania.

- Więc rób, co uważasz za słuszne.

- Nie jesteś nawet w połowie tak nieszkodliwa, jak ci się wydaje - powiedziałam jej.

Uśmiechnęła się.

W ciągu ostatniego tygodnia uświadomiłam sobie, że moje urodziny zbliżają się szybkimi krokami. Jeszcze trzy tygodnie i przekroczę trzydziestkę. Jeśli szybko czegoś nie zrobię, nadal będę sama. Cztery miesiące temu mój plan znalezienia partnera wydawał się prosty i oczywisty, ale jakimś sposobem czas przeleciał mi przez palce i nie posunęłam się ani o krok do przodu.

Chyba że wziąć pod uwagę Scotta.

Ale skoro nie ciągnęło mnie do niego od samego początku, może to oznacza, że nie ma między nami chemii. Być może nasze wzajemne przyciąganie zbudowane jest jedynie na bazie znajomości i dostępności.

Tylko co bym pomyślała, gdybym poznała go na neutralnym gruncie, a nie jako byłego chłopaka Louise?

Och, skarbie, chodź do mamy. Tak bym pomyślała.

Zanim podejmę jakieś kroki w tym kierunku, chciałam się upewnić, że mój Jedyny nie czeka na mnie gdzieś za rogiem. Nie chciałam przegapić szansy na znalezienie idealnego partnera tylko dlatego, że poddałam się za szybko i zaczęłam kręcić z własnym przyjacielem. Nie chodziło mi o jak najszybsze załatwienie sprawy.

Tak więc znowu rzuciłam się na ogłoszenia, zarówno w gazetach, jak i w Internecie. „Oregonian”, „Willamette Week”, „Yahoo!”, „AOL”, **Feil! Hyperkoblingsreferansen er ugyldig.**”,

**Feil! Hyperkoblingsreferansen er ugyldig."** Przejrzałam wszelkiego rodzaju ogłoszenia osobiste, napisałam do każdego mężczyzny w pożądanym zakresie wiekowym, który miał wyższe wykształcenie, nie palił i nie robił wrażenia kompletnego szaleńca.

Znalazłam ich mniej, niż można się było spodziewać. I byli tak zdesperowani, że często natykałam się na tego samego mężczyznę na dwóch czy trzech stronach.

Jeśli chodzi o mnie, to przeszukiwanie wszystkich witryn i gazet bynajmniej nie świadczyło o desperacji. Raczej o zorganizowaniu. Sprawnym działaniu. Podejściu praktycznym. Taka byłam.

- Jak tam twój plan publicznego upokorzenia? - zapytałam, zmieniając temat, żeby odejść od problemu mojej randkowej przemyślności czy też głupoty.

Cassie stawiała czoło Jackowi Graczowi Na Dwie Strony dzień po odkryciu jego perfidii. Jak powiedziała, zakończyła ich romans po przyjacielsku, po czym przeszła do wyjawiania najdrobniejszych szczegółów tej sytuacji każdemu, kto się nawinął, bez względu na to, czy znał Jacka, czy nie. Według niej okazało się to uzdrawiające. Zyskała nowe rozumienie znaczenia terapii przez rozmowę.

Byłam ciekawa, co Louise powiedziałyby na taki plan kuracji.

- On powoli zaczyna popadać w paranoję - powiedziała. - Robi się niespokojny, gdy tylko ktoś na niego popatrzy, zwłaszcza gdy ten ktoś jednocześnie prowadzi z kimś rozmowę. Liczę na to, że wkrótce wykształci mu się nerwowy tik.

- Dziwię się, że jesteś w stanie tam nadal pracować.

- Zastanawiałam się nad powieszeniem laleczki



Jacka w pokoju na zapleczu, ale mógłby ją ukraść prawdziwy Jack - powiedziała. - Poza tym lubię do niego strzelać.

To akurat wiedziałam. Skończyłam lalkę Jacka zaledwie kilka dni temu, a już, o najróżniejszych porach dnia i nocy, zdążyłam się nasłuchać stłumionych brzdęknięć pistoletu na gumkę i krzyków Jacka w wykonaniu Cassie.

- Nadal żałuję, że nie udało mi się zdobyć procy - powiedziała. - Strzelanie kulkami byłoby świetne.

- Pistolet na gumkę jest w porządku. Przynajmniej nie muszę się bać, że zbiję szybę. Chociaż jak z tym skończę, być może go spalę. Masz coś przeciwko temu?

- Nie krępuj się.

Do Irvington było niedaleko. Tam miałam się spotkać z Tylerem, trzydziestoosmioletnim komputerowcem.

Wreszcie to zrobiłam. Wszędzie było pełno komputerowych świrów i, wybierając z kilku możliwości, zdecydowałam się umówić z jednym z nich.

To w końcu nie fair oceniać kogoś po zawodzie. Może, jak twierdził, rzeczywiście ma artystyczną duszę i czyta nie tylko magazyny techniczne oraz science fiction. Może naprawdę biegał w maratonach i ćwiczył tai chi (choć nie miałam pewności, czy tai chi należy do jego ulubionych zajęć).

Może, ach może, rozwój jego poczucia humoru nie zatrzymał się na poziomie trzeciej klasy, może nosił nakręcany zegarek, a nie jakieś cyfrowe monstrum z wbudowanym kalkulatorem i prognozami pogody ściągany z satelity.

A nawet jeśli nic z tego nie okaże się prawdą, może

jeszcze mieć inne zalety. Może nie skłamał w kwestii dochodów, które miały rzekomo przewyższać sto tysięcy dolarów rocznie. Może naprawdę chciał założyć rodzinę. Może zdjęcie nie kłamało.

W końcu człowiek ma prawo mieć nadzieję.

Zgodziłam się przyjechać do jego domu. To chyba nie było najmądrzejszym posunięciem, ale przysłał mi zdjęcie pocztą elektroniczną i nie potrafiłam się oprzeć. Budynek wzniesiono w 1910 roku. Był trzypiętrowy, o powierzchni ponad 500 metrów kwadratowych. Jak napisał, stopniowo go remontuje.

W Irvington było kilka starych domów - chociaż termin „stary” w odniesieniu do Portland jest względny. Z przyjemnością jechałam ulicami, wzdłuż których rosły drzewa. Spoglądałam na duże budynki otoczone ogrodami. Było późne popołudnie. Słońce wciąż świeciło mocno, ale miało już ciepłozłocisty odcień zachęcający do leniwych przechadzek, na które udało się wielu spacerowiczów.

W powietrzu unosił się zapach świeżo skoszonej trawy. Słychać było szum spryskiwacza i odgłos piłki do kosza odbijanej na podjeździe.

To była dzielnica, w której mogłabym mieszkać.

Dom stał na rogu, wielki i biały, ocieniony liściastymi drzewami. Zaparkowałam przy krawężniku i brukowaną ścieżką dostałam się do ogrodu, w którym, mimo że był dobrze utrzymany, chyba od lat nie posadzono niczego nowego.

Wyobraziłam sobie siebie w roli ogrodnika. Po obu stronach portyku posadziłabym róże pnące się po pergoli; bzy w formie żywopłotu wzdłuż frontu; zwykłe tulipany cebulkowe na wiosnę, dalie na lato. Mama coś by mi podpowiedziała, gdybym ją poprosiła o radę.

Z domu miejscami spelzła farba. Wyglądał, jakby czekał na malowanie. Dwie z małych szybek w bocznych oknach były stłuczone. Przypomniały mi się wieloletnie narzekania taty na to, jakim koszmarem jest odnawianie starego domu. Nie mogłam się oprzeć zaskakującej możliwości - czyżby synchroniczność? - znalezienia się w podobnej sytuacji u boku Tylera.

Zadzwoiłam do drzwi.

Przez boczne okienko dostrzegłam jakiś ruch. Drzwi się otworzyły.

- Hanna? Cześć.

- Cześć.

Był przystojny, tak jak na zdjęciu; miał około metra dziewięćdziesięciu wzrostu, sylwetkę biegacza, włosy ciemnoblonde, trochę za długie, i miłą, szczupłą twarz. Ale nosił kolczyk: mały ćwiek z szafirem. Tego nie zauważyłam na zdjęciu.

- Miałaś jakieś kłopoty z dojazdem?

- Raczej trudno tu nie trafić - odparłam.

- Wejdz - powiedział i cofnął się do środka. - Uważaj, żeby Sassy nie wybiegła na zewnątrz - dodał, gdy wielki, rudy kot otarł mu się o kostki. - To kot domowy. Jest pozbawiona pazurów. Nie poradziłaby sobie na dworze.

Wślizgnęłam się do środka. Tyler napisał mi w mailu, że ma dwa koty, ale jakoś zdołałam wyprzeć tę informację ze świadomości. Dopóki nie zacznie opowiadać, że „kicia zrobiła to” i „kicia zrobiła tamto”, można jakoś to znieść.

Mężczyzna, który ma koty. Oj, niedobrze.

- Ładny hol - powiedziałam ze szczerym podziwem.

Podłogę stanowił lśniący parkiet. Naprzeciwno

drzwi wejściowych znajdowały się kręte schody z rzeźbioną balustradą. Nie było tu żadnych mebli ani ozdób na ścianach, lecz dokładnie nad naszymi głowami wisiał wielki, kryształowy żyrandol, który wyglądał, jakby ukradziono go z Wersalu.

- Dzięki. Całe wieki nie mogłem się zdecydować na podłogę. Nie uwierzyłabyś, jak trudno jest znaleźć kogoś, kto się na tym zna. Przyjaciele kpili, że tak długo się urządzam, ale w końcu to mój wymarzony dom. Chcę, żeby był idealny.

- Trudno cię winić.

- Oprowadzić cię? - zapytał.

- Pewnie. Czy chcesz, żebym zdjęła buty?

Był bosy, miał na sobie spodenki khaki i czystą, białą koszulę. Biorąc pod uwagę jego nieskazitelną podłogę oraz fakt, że sam był bez obuwia, nie chciałam ryzykować wyrządzenia jakiejś szkody.

- Nie, w porządku. Nie masz szpilek.

Poszłam za nim przez pokoje, słuchając opisów tego, co sobie tam zaplanował. Większość pomieszczeń świeciła pustkami, ale w każdym był pojedynczy mebel albo dywan, albo przynajmniej pudło z rzeczami, które sugerowały, co tu będzie w przyszłości. W bibliotece na podłodze leżały sterty książek. W głównym salonie znajdował się marmurowy kominek i lustro w złoczonej ramie. W jadalni stał masywny kredens. I tak dalej, a wszędzie te piękne podłogi.

- A oto sala balowa - powiedział, prowadząc mnie schodami na najwyższe piętro. - Czy też raczej graciarnia. Trzymam tu rupiecie, bo minie sporo czasu, nim zabiorę się do urządzania tej części domu. Za jakieś pięć lat muszę zmienić dach i będzie tu w związku z tym straszny bałagan.

- Ale kiedy go wykończysz, będzie wspaniale - stwierdziłam. Sufit był niski, z ukosami po bokach. Pokój przypominał bardziej przerobiony strych niż salę balową. - Gdybym mieszkała w takim domu jako dziecko, pewnie uwielbiałabym jeździć tu na wrotkach.

Roześmiał się, ale tak naprawdę wcale nie był rozbawiony.

- Wrotki to zabójstwo dla podłogi.

- Pewnie tak.

Sprowadził mnie z powrotem na dół. To dziwne, ale mimo całej tej pustej przestrzeni, zaczynałam się zastanawiać, czy jest tu tak naprawdę miejsce dla drugiej osoby. Tyler miał plany związane z każdym pomieszczeniem i jakoś nie odniosłam wrażenia, iż dopuszczał możliwość realizacji pomysłów jego przyszłej żony, dotyczących urządzenia ich wspólnego domu.

Z drugiej strony nie było powodu, żeby czekał z remontem na pojawienie się Tej Jedynej.

- Jesteś głodna? - zapytał. - Mogę się zabrać do przygotowywania kolacji.

- Miałam nadzieję, że przejdziemy się najpierw po okolicy. Jest taki przyjemny wieczór.

Skrzywił się.

- Przebiegłem dziś dwanaście kilometrów. Trochę jestem obolały.

- Aha. To trudno.

- Nie, możemy iść, tylko nie bardzo daleko.

- Oczywiście.

Poszłam za nim do tylnych drzwi, zastanawiając się, o co chodzi. Był zbyt zmęczony na spacer? Jedyne sensowny dla mnie powód biegania to zyskanie dobrej formy i energii. Jakoś nie przyszło mi do głowy, że całą energię można spożytkować na samo bieganie.

Jaki to ma sens?

Byłam ciekawa, czy tacy okazaliby się wszyscy ci wspaniali biegacze ze szlaku Wildwood: zbyt zmęczeni na przechadzkę. Pewnie również zbyt zmęczeni na seks. „Och, skarbie, chodź, wejdź na mnie. Jestem zbyt zmęczony na cokolwiek innego”.

- Hanno? Coś nie tak?

- Co? Nie, tylko się zamyśliłam. - Uśmiechnęłam się do niego, kiedy wkładał sandały Teva, po czym popatrzyłam zmrużonymi oczami na jego palce u stóp. - Eeee... Czy masz pomalowane paznokcie?

Uśmiechnął się, po czym przysunął stopę do mojej.

- Pasuje do twoich sandałów. Co za zbieg okoliczności!

- Zawsze malujesz paznokcie? - zapytałam ostrożnie. Zbieg okoliczności, nie ma co. Jeśli to właśnie jest synchroniczność, to nie chcę mieć z tym nic wspólnego.

- Tylko latem i tylko na złoto.

- Czemu? - zapytałam, starając się ukryć swoje zażenowanie.

- Podoba mi się, więc czemu nie?

Miałam ochotę powiedzieć: „Wyglądasz jak artys-towski świr”. Lakier do paznokci, coś podobnego!

- Rozumiem - powiedziałam zamiast tego.

- Nie jestem gejem. Po prostu nie zgadzam się, by ograniczały mnie opinie innych. Czy masz coś przeciwko temu?

- Hej, to twoje stopy. Możesz z nimi robić, co ci się żywnie podoba.

Podczas spaceru sprawy uległy polepszeniu. Rozmawialiśmy o Portland, wycieczkach nad rzekę, filmach, które lubiliśmy i których nie znosiliśmy, a w drodze powrotnej rozmawialiśmy o pracy.

- Naprawdę sama uszyłaś tę sukienkę? - zapytał, sadzając mnie w nie wyremontowanej kuchni z lat pięćdziesiątych.

- Tak. To łatwizna.

- Może być lemoniada?

- Super - powiedziałam, a on nalał mi jej do szklanki.

- Ile czasu zajęło ci jej uszycie?

- Plus minus dwie godziny.

Zatrzymał się z dzbankiem lemoniady w dłoniach.

- Żartujesz.

- Nie - uśmiechnęłam się niepewnie. - To mój własny projekt. A raczej zaczęłam od wzoru z Butteri-cka, po czym wprowadziłam pewne zmiany.

- To niesamowite. Naprawdę, Hanno, to wspaniałe. Tak daleko odeszliśmy od umiejętności wykonywania podstawowych rzeczy, a ty potrafisz sama uszyć sobie ubrania.

- Potrafię uszyć wszystko, co jest z materiału - powiedziałam, rozkoszując się rzadko spotykanym podziwem.

Niewielu ludzi naprawdę ceniło umiejętności mistrzyni igły.

- Ale większość pieniędzy zarabiasz, podkładając ludziom spodnie?

- To łatwe. Zabiera mi jakieś dziesięć minut, od początku do końca, a biorę za to osiem dolarów.

Zaczął wyciągać rzeczy na kolację. W mailu z zaproszeniem napisał, że chce dla mnie ugotować kolację oraz że jeśli podczas spotkania uznam go za dziwaka i nie będę chciała zostać, mogę wyjść w każdej chwili. Zakończył to stwierdzenie sms-owym piktogramem z uśmiechniętą buźką.

Byłam ciekawa, co też komputerowiec z pomalowanymi na złoto paznokciami u nóg ugotuje na kolację.

- Powinnaś stworzyć własną kolekcję ubrań.
- Nie wydaje mi się, żeby to było takie proste.
- Zaczynij od czegoś niewielkiego. Uszyj kilka takich sukienek jak ta, którą masz na sobie, dla sklepów z fataląszkami w Pearl District albo dla oryginałów z Broadwayu.

- Na pewno mają własne kolekcje.

- Nie zaszkodzi spróbować.

- Może.

I może mogłabym polubić kogoś, kto w krawcowej widział utalentowaną osobę z perspektywami. Może potrafiłabym się przyzwyczaić do pomalowanych paznokci. Przynajmniej nie były różowe.

Do kuchni weszła Sassy, a zaraz za nią szaro-biały kot, którego imienia nie mogłam sobie przypomnieć.

- Kici, kici - powiedział Tyler i uklęknął, żeby pogłaskać zwierzaki.
- Co porabiacie? Kici, kici - gruchał, kiedy wygięły grzbiety pod wpływem jego pieszczot.

W powietrzu zatańczyły kłaczki kociej sierści.

- Od dawna je masz? - zapytałam.

- Od kociaka. To moi kumple. Lubisz koty?

- Są w porządku. Chociaż jestem raczej psią mamą. Kiedy dorastałam, zawsze mieliśmy i kota, i psa.

Tyler zaniósł tanie talerze i sztuce do stolika z chromowanej stali i włókna szklanego. »

- Przepraszam za brak porcelany. Kuchnia zajmuje dość odległe miejsce na mojej liście.

- Nie ma sprawy.

Może to ja mogłabym zdecydować, jak ma wyglądać; to przecież tradycyjne kobiece zadanie. Rozłożyłam



zastawę i wróciliśmy po sałatkę oraz dressing, a także deskę do krojenia i bochenek chleba.

- Pierwsze danie - powiedział, siadając do stołu. Spojrzałam na miskę z sałata. Szukałam widelców do nakładania, ale ich nie było.

- Och... - powiedziałam, wykonując w powietrzu gest nakładania sałaty.

- Cholera, racja. - Sięgnął ręką do miski i wziął dwie garście sałaty, po czym znieruchomiał, a warzywa zawisły w połowie drogi. - Nie przeszkadza ci to, prawda?

- Och... nie - odparłam, myśląc o kotach, które przed chwilą głaskał.

- Wiem, że to nieeleganckie. Przepraszam. Wrzucił sałatkę na mój talerz.

- Dzięki.

Spojrzałam na nią w poszukiwaniu kociej sierści. Staralam się nie marszczyć nosa. Nie byłam pewna, czy będę w stanie włożyć sobie choć jeden listek do ust bez odruchu wymiotnego.

- Czy to jarmuż? - zapytałam, wskazując na skórzastą jarzynę.

- Tak.

- Nie wiedziałam, że to jadalne. Myślałam, że używa się go tylko do dekoracji w barach sałatkowych.

Och, niedobra Hanna.

- Ma mnóstwo beta-karotenu. Uśmiechnęłam się i polałam sałatkę dressingiem

z oliwy i winegretu. Może to zneutralizuje kocia sierść. Chleb wyglądał tak, jakby miał w sobie czterdzieści rodzajów zbóż. Główne danie było w glinianym garnku: hiszpański ratatouille.

- Nie jesteś wegetarianinem? - zapytałam.

W mailu napisał, że nie jest.

- Nie, zjem każde zwierzę, które jestem w stanie zabić.

- Na przykład?

- Ryby - odpowiedział. -I, oczywiście, jem też jajka i produkty mleczne. Przecież nie można obejść się bez lodów - uśmiechnął się ujmująco.

- To wszystko?

- Jeśli jestem naprawdę głodny, to czasem skuszę się na kurczaka - przyznał.

- A zabiłeś kiedyś rybę albo kurczaka własnymi rękami?

- Kiedy byłem mały, wybrałem się na ryby i złapałem kilka. Kurczaka nigdy.

- Jako dziecko poszłam na ryby z moim tatą - powiedziałam. - Złapaliśmy pstrąga, ale tacie zginęła pałka, więc zatłukł go na śmierć kubkiem do kawy.

- Boże, to straszne.

- Zostało mi po tym wydarzeniu bardzo wyraziste wspomnienie. Jednak gdybym była głodna, nie wydaje mi się, żeby jakieś kłopoty sprawiło mi rozebranie krowy.

Skrzywił się.

- Ale nie mogłabyś jej całej zjeść.

- Pewnie, że bym mogła. Stopniowo. Albo rozdzieliłabym ją między przyjaciół i rodzinę.

Pokręcił głową.

- Konsumpcja wołowiny wyniszcza ziemię.

- To tylko jeden powód więcej, żeby zabić krowę. Roześmiał się, jakby miał wątpliwości, czy mówię

serio, czy żartuję. Sama nie byłam pewna, czemu nagle zaczęłam się starać być niemiła. Owszem, facet malował sobie paznokcie u stóp i, owszem, poczęstował

mnie jarmużem z dodatkiem kociej sierści, ale to jeszcze nie był dostateczny powód, żeby wysłać sygnały z gatunku „trzymaj się ode mnie z daleka”.

Niby wszystko było w porządku, nie zapalały się żadne czerwone światełka ostrzegawcze, więc na czym polegał mój problem? Nikt nie będzie dokładnie taki jak ja, każdy facet ma jakieś irytujące dziwactwa. Tyler zasadniczo wydawał się miłym i odpowiedzialnym człowiekiem.

Naprawdę powinnam postarać się go polubić.

- Czy opalasz się czasami nago? - zapytał.

- Co? Nie!

- Nigdy? Powinnaś spróbować.

- A ty to robisz? - zapytałam.

- Pewnie, na wyspie Sauvie.

- Nie, jakoś nie mogę sobie wyobrazić siebie w takich okolicznościach - powiedziałam.

- Jesteś zbyt nieśmiała? W tym nie ma nic erotycznego. Przyjeżdżają tam całe rodziny.

- Zbyt nieśmiała, zgadza się, ale też po prostu to do mnie nie pasuje. To... - machnęłam ręką, próbując znaleźć odpowiednie słowa - nie w stylu Hanny O'Dowd. - To w stylu podrabianego artystowskiego pozera odżywiającego się jarmużem. - Chyba wolę trzymać się społecznych norm, choć wstyd mi to wyznać.

- Hej, to jest fajne. Dobrze jest wyjść czasem poza bezpieczną strefę, choć potrafię zrozumieć potrzebę trzymania się granic.

- Gdzie kupujesz chleb? - zapytałam, biorąc ciężką kromkę i smarując ją masłem.

Kojarzyła mi się z ptasią karmą.

- W piekarni na Broadwayu.

Ugryzłam kawałek chleba. Dwa ugryzienia później trafiłam na coś twardego, co podrażniło moją szczękę i wywołało silny ból zęba po prawej stronie.

Jęknęłam. Próbowałam językiem znaleźć w przetrzutej masie owo groźne coś, ale było tam tyle ziaren i nasion, że nie potrafiłam go odróżnić. Po czym trafiłam na coś ostrego. Wyplułam to na dłoń.

Wyglądało jak kawałek metalu. Wyplułam resztę chleba na rękę i rzuciłam na talerz. Właśnie wtedy mój język trafił w to miejsce.

Dziura. W moim zębie. To, co wyplułam, było kawałkiem plomby. Jęknęłam jeszcze raz.

- Hanna?

Ogarnęła mnie panika. Zaczęłam się pocić. Strach i przerażenie przesywały mi ciało falami, podczas gdy mój język się cofnął, po czym znowu dotknął ziejącej jamy na szczycie i z boku jednego z dolnych zębów trzonowych. Nie był to nawet ten ząb wrażliwy na zimno ani ten, który zachowywał się dziwnie, gdy za długo zaciskałam szczękę. To był zupełnie inny ząb.

O, Boże. Miałam ogromną dziurę w zębie. Zrobiło mi się niedobrze.

- Hanno, co się stało?

- Plomba - powiedziałam. - Wypadła mi plomba. Co ja teraz zrobię?

- Jest sobota. Ciekawe, czy jacyś dentyści dzisiaj przyjmują?

Jęknęłam.

- Boli cię? Jak myślisz, dasz radę doczekać do poniedziałku?

- Nic nie rozumiesz! Mój ząb!

Zerwałam się od stołu i pobiegłam do łazienki, ale

bałam się spojrzeć w lustro. Zaczęłam już otwierać usta, lecz nie chciałam tego zobaczyć. Nie chciałam wiedzieć, jak fatalna jest sytuacja. Nie bolało mnie, ale ta dziura, dziura z ostrymi brzegami! Drżałam i pociałam się.

- Hanno, weź się w garść - powiedział Tyler, stając w drzwiach łazienki. - Ludziom nieustannie wypadają plomby. To nic takiego.

- To nie ty masz krater w ustach!

- Nie możesz w tej chwili nic z tym zrobić, więc się uspokój.

- Wszystko przez ten twój głupi chleb z pięćdziesięcioma ziarnami.

Kto je takie rzeczy? Jarmuż?

Gdyby nie był wegetariańskim gryzoniem z pomalowanymi paznokciami, to nic by się nie stało. Nie miałabym tej dziury. Nienawidziłam jego oraz tego głupiego wegetariańskiego jedzenia.

- Hej, to dobry chleb. Kosztuje sześć dolców za bochenek.

- Cóż, wybacz, że zmarnowałam dwadzieścia pięć centów - powiedziałam, prawie płacząc.

Przepchnęłam się obok niego i wpadłam z powrotem do kuchni, gdzie zostawiłam torebkę. Wygrzebałam telefon komórkowy.

- Co robisz? - zapytał, idąc za mną. - Możesz zadzwonić z mojego telefonu. Mam numer pogotowia dentystycznego w klinice, do której chodzę. Chcesz?

Zignorowałam go. Wybrałam numer. Bądź tam, bądź tam. Błagam, bądź tam.

- Halo? - usłyszałam głos Scotta.

- Scott! Mój ząb, wypadł mi wielki kawał metalu i nie mam prawie połowy zęba!

- Hanna?

- Mój ząb!

- Hanno, wszystko gra. Cokolwiek to jest, dam temu radę.

- Będzie bolało - stwierdziłam. - Czy wyrwiesz to, co zostało? Czy czeka mnie leczenie kanałowe?

- Hanno, to ci się prawdopodobnie wydaje dużo gorsze, niż jest w rzeczywistości. Cały czas się z czymś takim spotykam. Wszystko da się naprawić. I nie będzie bolało, obiecuję.

- Kiedy? - zapytałam.

- Prawdopodobnie nie ma pośpiechu. Jeśli chcesz, mogę się temu przyjrzeć teraz, a potem wrócimy do sprawy w poniedziałek.

- Nie wytrzymam całą noc - powiedziałam, odwracając się w stronę kuchennej ściany. Mówiłam prawie szeptem.

Przez chwilę panowała cisza, po czym powiedział:

- Dobrze. Spotkajmy się przed moim gabinetem.

- Będę za kwadrans.

- Tylko jedź spokojnie, nie rozbij się po drodze. A może chcesz, żebym przyjechał po ciebie?

- Nie, spotkamy się na miejscu. Będzie szybciej.

- Dobrze.

- Dziękuję, Scott. Dziękuję. Dziękuję bardzo.

- Tak, tak. Cóż, postawisz mi za to kolację. Pożegnaliśmy się i odłożyłam słuchawkę. Odwróciłam się do Tylera.

- Muszę iść - powiedziałam. <sub>k</sub>

- Słuchaj, przykro mi, że wypadła ci plomba, i w ogóle. Nie potrafiłam się na nim skoncentrować. Tyler? Kto to jest Tyler? Nie liczyło się nic poza moim zębem, moim dziurawym zębem. Wzięłam torebkę, wyjęłam z niej kluczyki do samochodu i ruszyłam w stronę drzwi.

- Przepraszam, muszę iść - rzuciłam w jego kierunku.  
- Czy to do dentysty dzwoniłaś? Kiwnęłam głową, nie zatrzymując się.

- Szczęściara z ciebie, że masz takiego przyjaciela - powiedział.

Wyminął mnie i otworzył przede mną drzwi, po czym odprowadził mnie do samochodu.

- Wiesz, przed wypadkiem z chlebem wydawało mi się, że całkiem dobrze się rozumiemy. Czy mogę do ciebie zadzwonić, no, wiesz, jak już wyleczysz ząb?

Zatrzymałam się przy otwartych drzwiach samochodu, gotowa usiąść za kierownicą.

- Nie jestem w stanie o tym teraz myśleć. O czym on mówi? O kolejnej randce?

- Och, oczywiście, rozumiem. Wyglądasz na wytrąconą z równowagi. Zadzwonź do mnie.

Gapiałam się na niego jeszcze przez chwilę, na tego obcego człowieka z kolczykiem w uchu - dlaczego miałabym do niego dzwonić? - po czym otrząsnęłam się i wsiadłam do środka.

Mój ząb...

- Cała drżysz - powiedział Scott.

- Wiem - odparłam, trzęsąc się. - Muszę iść do toalety.

Trzymając się za brzuch, rzuciłam się przez pogrążoną w półmroku poczekalnię i skręciłam tam, gdzie mieściła się łazienka. Byłam już wcześniej w jego gabinecie, ale nigdy nie spędziłam tutaj więcej niż kilka minut i nie przypuszczałam, że kiedykolwiek trafię tu w charakterze pacjenta.

Zamknęłam za sobą drzwi na klucz, po czym usiad-

łam na sedesie, wciąż się trzęsąc. Siedziałam tak, wstrząsana dreszczami, pochylona do przodu, z twarzą i ramionami spoczywającymi na kolanach. Po chwili zapukał Scott.

- Hanno? Wszystko w porządku?

- Tak.

Wstałam, spuściłam wodę, odkręciłam kran i pozwoliłam wodzie przepływać przez palce. Chciałam odwlec moment opuszczenia tej kryjówki.

- Nie wyglądasz dobrze - powiedział, gdy w końcu wyszłam.

- Bo się nie czuję dobrze. Zmarszczył czoło.

- Boisz się, tak? To znaczy, naprawdę się boisz? Kiwnęłam głową.

- Wiem, że to nie ma sensu. Wiem, że możesz mi dać nowokainę i prawdopodobnie niewiele poczuje, ale nic nie mogę na to poradzić.

- Czego się tak naprawdę boisz?

- Nie wiem. Naprawdę nie wiem.

- Jeśli to tylko kawałek odkruszonego zęba lub plomby, to masz moje słowo, że da się to naprawić bez trudu. Załatam to albo, jeśli ubytek jest duży, założę koronkę.

- Będziesz musiał borować? - zapytałam.

- Jeszcze nie wiem. Być może nie. Ale jeśli będę musiał, wyciągnę lidokainę i znieczulę cię, zanim zaczniesz się ślinić. Obiecuję.

- Lidokainę?

- Już się nie stosuje nowokainy.

Otworzył szafkę w holu, wyjął z niej syntetyczny koc, taki jakich używa się w samolotach. Strzepnął go i podał mi.



- Dzięki - powiedziałam, zarzucając go na ramiona.  
- Chcesz zobaczyć moją szafkę z zabawkami?  
- Próbujesz mnie na coś namówić? Roześmiał się.  
- Raczej nie. Chyba nie podejrzewasz, że mam ochotę na proces sądowy za niewłaściwe zachowanie w stosunku do pacjenta, co? Nie, to prawdziwe zabawki.

Zaprowadził mnie do dużej komody stojącej w holu i wskazał gestem, żebym ją otworzyła. Zrobiłam to, a w środku znalazłam kilka tuzinów tanich zabawek, od plastikowych dinozaurów po plansze do kółka i krzyżyka oraz sztuczną biżuterię.

- To dla dzieci?

- Dzięki temu mają coś, na co czekają: wybierają sobie zabawkę po skończonej wizycie. Wiesz, pozytywna motywacja wizyty u dentysty. Oczywiście dostają też szczoteczkę do zębów i nić dentystyczną.

Wybrałam niby-perłową bransoletkę i wsunęłam ją na nadgarstek.

- Niedroga, a mimo to elegancka.

- Ale jeszcze teraz jej nie dostaniesz. Odłóż albo powiem twojej mamie.

- Oooo! Nieczyste zagranie!

Uśmiechnęłam się do niego, po czym zamknęłam szafkę z bransoletką w środku. Dreszcze trochę osłabły.

- A oto Elizabeth - powiedział, wręczając mi błękitnego, pluszowego lwa z białą, jedwabną grzywą. - Elizabeth pójdzie razem z tobą na duży fotel i będzie ci siedzieć na kolanach.

Zacisnęłam na lwie dłoń, którą nie podtrzymałam koca.

- Jest mięciutka - stwierdziłam, wstając.

- I czysta. Regularnie kąpie się w pralce.

- Biedna Elizabeth.

- Jest oddaną sprawie profesjonalistką. To nie stanowi dla niej problemu.

- Czy zwykle tak traktujesz przerażonych dorosłych?

- Raczej nie.

- Szkoda.

W ciągu dnia, na oczach świadków, byłoby mi wstyd chodzić po gabinecie z pluszowym zwierzakiem, ale cieszyłam się, że mam lwa. Było to zarówno kojące, jak i zabawne, ale przede wszystkim odwracało uwagę.

Poszłam za Scottem do gabinetu, gdzie stał miękki fotel z opuszczanym oparciem i lampą ponad głową. Poczułam znajome zapachy gabinetu stomatologicznego, co wywołało nowy atak dreszczy. Mnąc Elizabeth, usiadłam bokiem na fotelu i gapiłam się na wiszący na ścianie plakat z pandą, podczas gdy Scott kręcił się dookoła.

Odwrócił się w moją stronę. Miał na rękach lateksowe rękawiczki.

- Wszystko po kolei. Pozwól, że obejrzę ten ogromny krater, który zniszczył ci życie.

Nie byłam w stanie nic z siebie wykrztusić, więc szybko usiadłam na fotelu, oparłam się i opadłam w dół, gdy Scott zajął się przełącznikami. Zamknęłam oczy i skoncentrowałam się na miękkości Elizabeth oraz koca, na którym zaciskałam dłoń. Staralam się udawać, że jestem gdzie indziej.

- Wszystko będzie dobrze, Hanno. Obiecuję - powiedział.

Kiwnęłam głową i otworzyłam usta, chociaż mu nie wierzyłam.

Włączył lampę, a potem poczułam dotyk jego dłoni w rękawiczkach na moim podbródku, kiedy obracał mi głowę, później na krawędzi warg. Następnie poczułam dotknięcie zimnego metalu lusterka i zgłębnika jednego z tych ohydnych narzędzi, które grały tak ważną rolę w stomatologicznych koszmarach. Poruszyłam szczęką pod wpływem jego szturchnięć. Zacisnęłam powieki jeszcze mocniej, starając się nie ruszać ani nie skomleć.

- Dla pewności zrobimy prześwietlenie, ale wydaje mi się, że mam dobre wiadomości - powiedział po chwili.

Otworzyłam oczy.

- Nie będzie leczenia kanałowego? Uśmiechnął się łagodnie. Zrelaksowana mina uspokoiła mnie bardziej niż jego słowa.

- Łatwizna. Prawdopodobnie nie będzie nawet potrzebna lidokaina.

- Jesteś pewien?

- To tylko mała łąta. Brakuje drobnego okruszka, nic więcej. Poczujesz najwyżej pewien, nacisk.

- A gaz rozweselający? Możesz mi go zaaplikować?

- Jeśli chcesz. W rzadkich przypadkach ludzie robią się po nim bardziej spięci, zamiast się rozluźnić.

- Coś musisz mi dać.

- A co powiesz na muzykę i dowcipną rozmowę ze mną?

- Plus gaz.

- Dobrze. Wyciągnę formularz do wypełnienia, a potem zrobimy zdjęcie tego zęba.

Odwrócił się w stronę radia, nastawił cicho stację grającą starą muzykę rockową, po czym poszedł po formularz.

Zamknęłam oczy. Staralam się udawać, że jestem gdzie indziej. W radiu nadano piosenkę „The Lion Sleeps Tonight”. Uśmiechnęłam się. Trzymałam w rękach Elizabeth. To właśnie jest moja synchroniczność. Uświadomiłam sobie, że już nie drzę.

Coś takiego! Nie pozostaje mi właściwie nic innego, jak zaufać Scottowi, że nie zrobi mi krzywdy.

*BIAŁY JEDWAB NA KIEDY INDZIEJ*

Laleczki wudu Wade'a i Pete'a obracały się wolno na niewidocznych nitkach, czekając na kolejne ataki gumki. Rozważyłam dodanie wudu Tylera, głównie ze względu na przyjemność stworzenia paznokci u stóp, ale nie potrafiłam wykrzesać z siebie energii w związku z tak krótką znajomością, która zresztą nie poczyniła żadnych szkód.

Kilka dni po naszej randce dostałam od niego e-mail, w którym pytał, jak się czuję i czy chciałabym się jeszcze kiedyś z nim spotkać. Odpisałam, że czuję się doskonale, ząb został wyleczony, uważałam go (Tylera) za wspaniałego mężczyznę, ale nie wydaje mi się, byśmy mieli jakieś szanse, by zostać parą.

Prawda była taka, że podczas gdy mogłabym nauczyć się tolerować jarmuż i nudyzm, zupełnie nie widziałam siebie w domu Tylera. Pokoje były puste, jednak nie zostawił w nich miejsca dla drugiej osoby i jej pomysłów. Cokolwiek mówił o pragnieniu posiadania żony i rodziny, nie był tak naprawdę na to gotowy.

Widząc to w nim, łatwiej mogłam zobaczyć to w sobie.

Może naprawdę nie przyszła jeszcze moja pora na małżeństwo. W każdym razie wciąż miałam wątpliwo-

ści. Cassie może mieć słuszość, że nie pozwoliłam sobie na uczucie do Scotta dlatego, że wiedziałam w głębi duszy, iż gdybym się w nim zakochała, skończyłoby się to małżeństwem.

Nadal martwiłam się, co o tym pomyśli Louise, ale tak naprawdę to nie stanowiło większego problemu. Być może znalazłam tylko wymówkę, żeby trzymać się na dystans.

Zrobiłam obrót na moim fotelu do pracy i spojrzałam na suknię ślubną. Wystarczyłaby godzina, żeby ją ukończyć. Ale przerwałam pracę i nie dotknęłam jej więcej.

*Jeśli ją uszyjesz, on się zjawi.*

A może nie chciałam, żeby się pojawił. Jeszcze nie teraz. Wcale nie było takiego pośpiechu, jak sobie wmawiałam: w końcu w dzisiejszych czasach kobiety rodzą dzieci nawet po czterdziestce. Może mam jeszcze pewne rzeczy do zrobienia, zanim połączę swoje życie z innym i zanim skupię energię na dziecku.

To było jedyne wyjaśnienie przerywania prac nad suknią ślubną oraz tego, że wbrew moim dążeniom, poszukiwania przemieniły się w dziwne zrywy, ostatecznie bezowocne.

Dziś kończyłam trzydzieści lat i zamiast lamentować z powodu nieosiągnięcia nawet minimalnego celu - znalezienia narzeczonego - zastanawiałam się nad tym, czy to pragnienie rzeczywiście wypłynęło z głębi serca.

- Hej, Scott, mam dla ciebie nowy dowcip - powiedziałam.

- Nowy? Wątpię.

Byliśmy w holu San Juan, naszej ulubionej meksykańskiej restauracji. Cassie zniknęła w łazience,

zostawiając Scotta z jego i swoim prezentem. Louise jeszcze się nie pojawiła.

- No, więc facet ma chory ząb, przychodzi, żeby mu go wyleczono. Dentysta mówi, że będzie musiał go wyrwać i że będzie to kosztowało dziewięćdziesiąt dolarów. Facet mówi: „Dziewięćdziesiąt dolarów? Za kilka minut pracy?” A dentysta odpowiada: „Mogę wyrwać wolniej, jeśli pan sobie życzy”.

- Cha, cha.

- Oj, przestań, to dobry dowcip.

- Jak tam twój ząb? - zapytał.

- Rewelacyjnie.

- Nie zmieniłaś zdania? Przychodzisz we wtorek na pełny przegląd i usunięcie kamienia?

- Tak - jęknęłam.

Namówił mnie do tego. Ustaliliśmy, że przyjmie mnie jego partnerka, Neena, żeby było prościej. Obiecał też, że wyda własną opinię na temat każdej decyzji Neeny, więc nie musiałam się obawiać, że zrobią mi z zębami więcej, niż to absolutnie konieczne.

- A gdzie obrzydliwa historyjka dla mnie? - zapytałam. - Zwykle masz coś na podorędziu.

- Straciłem do tego serce. Wiesz, tak naprawdę dentyści nie są sadystami. Nie lubimy straszyć ludzi: gdyby od nas uciekali, nie moglibyśmy nic zrobić.

- Traktujcie nas jak antylopy gnu: chowajcie się za recepcją z karabinem wyposażonym w środek usypiający i strzelajcie, kiedy przychodzi kolej na następną osobę.

- Towarzystwo stomatologiczne zatwierdzi to bez trudu.

Wróciła Cassie, przyszła też Louise z prezentem w dłoniach. Urodziny mają swoje miłe strony.

Usiedliśmy, zjedliśmy chipsy i złożyliśmy zamówie-

nie. Cała trójka uparła się, żebym piła margaritę zamiast napoju dietetycznego, a ponieważ przywiozła mnie Cassie, nie miałam powodu odmówić.

- Więc jak to jest mieć trzydzieści lat? - zapytała Louise. - Jesteś starsza? Mądrzejsza? Zrozpaczona?

- Prawie pijana.

- Wypiłaś ledwie pół margarity - zauważył Scott.

- Mam słabą głowę.

- Topi swoje smutki - powiedziała Louise.

- Nie mam żadnych smutków. Generalnie rzecz biorąc, jestem właściwie całkiem szczęśliwa.

- A co z twoim planem małżeństwa do trzydziestki?

- rzuciła Cassie, a w jej pytaniu kryła się krytyka.

- Może zmienię to na małżeństwo do czterdziestki.

- Wzruszyłam ramionami. - Zdarzy się, kiedy przyjdzie na to czas.

Cała trójka gapiła się na mnie jak sroki w gnat.

- Naprawdę, mówię poważnie - stwierdziłam.

- Zastanawiałam się, dlaczego mi się tak spieszyło, abstrahując od kwestii starzejących się jajników. Jedyna odpowiedź, do jakiej doszłam, to fakt, że wydawało mi się to jedyną drogą do uczynienia życia pełniejszym. Bardziej znaczącym. Coś znaczącym.

- A teraz uznałaś, że tak nie jest? - zapytał Scott.

- To jedna z dróg, ale nie jedyna i może nie ta, którą powinnam pójść właśnie teraz.

- Jeśli przerwiesz swoje polowania na męża, to czym się będziesz zajmować? - zapytał Scott.

Uśmiechnęłam się, myśląc o idei, którą zaszczeplił mi Tyler: o własnej kolekcji odzieży.

- Nie jestem pewna. Coś wymyślę. Zresztą jestem przecież w dobrym towarzystwie. Popatrzcie na siebie: cała trójka bez partnerów.



Podano jedzenie. Rzuciliśmy się na nie z naszym typowym, niechlujnym entuzjazmem. Z wyjątkiem Scotta, który jak zwykle nie oblał się sosem fajitas. Gawędziliśmy o pracy i plotkowaliśmy o znajomych. Po drugiej margaricie zaczęło mi się kręcić w głowie na tyle mocno, że kiedy pojawiła się grupa kelnerów, byłam kompletnie przerażona. Oddali mi na przechowanie sombrero i zaczęli śpiewać swoją własną wersję „Happy Birthday”.

Byłam wstrząśnięta, ale i trochę rozbawiona.

Podczas śpiewania jeden z nich postawił nas stole dwupiętrowy tort czekoladowy z trzydziestoma płonącymi świeczkami.

Pieśń skończyła się gromkimi oklaskami ludzi siedzących przy pobliskich stolikach.

- Pomyśl jakieś życzenie! - powiedziała Louise. Tak zrobiłam.

Pragnęłam szczęścia. Było to takie samo życzenie, które miałam jako dziecko, kiedy zdmuchiwałam dmuchawce lub drobne, puszyste nasiona ostu. Szczęście, w jakiegokolwiek postaci.

Zdmuchnęłam świeczki, biorąc na te potrzeby trzy wdechy - czym wywołałam jęki protestu - po czym Louise wyjęła z torebki duży nóż, a Cassie wyskubała z lukru świeczki.

- Podrzuciłam tort do kuchni przed twoim przyjazdem, po czym wyszłam tylnymi drzwiami, obeszałam budynek i wkroczyłam od frontu, żebyś niczego nie podejrzewała - powiedziała Louise.

- Sprytne.

Zabrała się do krojenia. Tymczasem Cassie wręczyła mi prezent.

Rozdarłam papier z niecierpliwością, która powinna

oznaczać wielką przyjemność z powodu otrzymania prezentu. Była to talia kart do tarota wraz z podręcznikiem instruktażowym.

- Żebyś mogła przewidzieć własną przyszłość - powiedziała Cassie.

- Dziękuję!

Zawsze dokonywała takich symbolicznych wyborów. Nie mogłam się nie uśmiechnąć.

Rozpakowałam prezent od Louise. Była to historia kostiumu, książka w twardych okładkach z kolorowymi ilustracjami.

- Przeczytałam kawałek - powiedziała Louise. - Głównie jest tam mowa o związkach stroju z codziennym życiem w konkretnej epoce.

- Widzę tu wzory przyszłych kostiumów na Halloween - stwierdziłam, przerzucając kartki kredowego papieru. - Czasem żałuję, że nie nosimy już takich strojów. Choć nie przypuszczam, by większość z tego nadawała się do prania w pralce.

Potem przyszedł czas na prezent od Scotta.

- To chyba nie jest ponaddzwiękowa szczoteczka do zębów, co? - zapytałam, oddzierając róg opakowania. - Ani elektroniczna nic dentystyczna?

- Nie. Zastanawiałem się nad kupnem automatycznego żelazka do spodni w Sharper Image, ale było za drogie. Natomiast stać mnie było na cyfrowy, gadający tester do opon.

- Lepiej, żeby to nie było to.

I nie było. Zobaczyłam naszyjnik ze słodkowodnych pereł i bładoniebieskich kryształów. Perły i koraliki rozdzielał cieniutki, srebrny łańcuszek.

- Och, Scott, to prześliczne!

- Pomyślałem, że przyda ci się coś do kompletu

z perłową bransoletką - wyjaśnił, rumieniając się na policzkach.

- Bardzo ci dziękuję.

Nie mogłam nie zauważyć znaczących spojrzeń, jakie wymieniły Cassie i Louise. Zignorowałam to, otworzyłam zapięcie i założyłam naszyjnik.

- Ładnie ci w nim - powiedziała Louise. - Kolory są idealnie dobrane.

Skończyliśmy tort i drinki. Nadeszła pora, żeby się zebrać i iść do domów. Louise i ja wstąpiłyśmy do łazienki. Kiedy myłyśmy ręce, podziwiałam naszyjnik w lustrze.

- Przypadł ci do gustu, prawda? - powiedziała Louise.

- Tak. Wiesz, rzadko noszę biżuterię, ale ten naszyjnik bardzo mi się podoba.

Louise wysuszyła ręce, po czym wzięła się pod boki.

- Hanno, mogę cię o coś zapytać?

- Pewnie.

- Czy Scott nic a nic cię nie interesuje? Spojrzałam na nią zaskoczona. Nie mogłam znaleźć

odpowiedzi w mojej zamroczonej margaritą głowie.

- Bo ten biedak zanudza mnie rozmowami o tobie, prośbami o radę, jak zabiegać o twoje względy... Twoje względy! Uwierzysz, że użył takiego sformułowania? Jeśli coś do niego czujesz, to bardzo cię proszę, pośpiesz się i daj mu znak, żeby zostawił mnie już w spokoju.

- Ale... czy to by ci nie przeszkadzało? Gdybyśmy byli razem?

- Skądże! Uważam, że jesteście dla siebie stworzeni. Nie wiem, od jak dawna próbuję was popchnąć ku sobie.

- Myślałam...

- Że będę zazdrosna, czy coś w tym rodzaju? Słuchaj, nigdy tak naprawdę nie kochałam Scotta. Zawsze wiedziałam, że z nim nie będę, wiedziałam to nawet wtedy, gdy byliśmy nastolatkami. To wspaniały facet, ale dla kogoś innego. Moim zdaniem, tym kimś jesteś ty.

- Och!

- A, tak. Więc błagam cię, jeśli nie jest ci obojętny, wyślij jakiś sygnał. Dość czasu spędzam przy telefonie w pracy, nie chcę robić tego również w domu.

Wyszliśmy z łazienki. Cassie i Scott czekali na nas przed restauracją. Wieczorne powietrze było przyjemnie ciepłe, odgłosy uliczne nieco stłumione, z otwartego ogródka w dalszej części budynku dobiegały nas strzępy rozmów.

- Hanno, co byś powiedziała, żeby Scott odwiózł cię do domu? - zapytała Cassie. - Muszę wrócić do pracy po czek.

Zwietrzyłam w tym podstęp, ale byłam niemal pewna, że wyszło to od Cassie, nie od Scotta.

- Oczywiście, nie ma sprawy. Jeśli tobie to odpowiada? - Spojrzałam na Scotta.

- Nie ma problemu. Musimy zabrać do domu resztę tortu, prawda?

- Oczywiście - powiedziała Louise.

Pożegnaliśmy się, jeszcze raz podziękowałam Cassie i Louise, a Scott przyniósł tort do samochodu. Postawił go na bagażniku i otworzył przede mną drzwi od strony pasażera.

- Ale obsługa!

- W końcu to twoje urodziny. Jesteś dziś królową.

- Jesteś taki miły, bo liczysz na drugi kawałek tortu.

- Pewnie.

Podał mi tort, po czym obszedł samochód i wskoczył za kierownicę. Wyjechaliśmy na ulicę i zaczęliśmy pokonywać krótki dystans dzielący nas od mojego domu.

- Jadę w niedzielę do Roseburga - powiedziałam. - Mama i tato chcą mnie zabrać na kolację.

- Jak się czuje twoja mama?

- Coraz lepiej. Porusza się powoli, wolno mówi, ale kiedy z nią rozmawiam, upewniam się, że wciąż tu jest, ta sama, niezmiennona.

- A tato? Jak się trzyma?

- On... on mnie zaskoczył. Teraz, gdy jest zmuszony zająć się domem, radzi sobie świetnie. Troszczy się o mamę. Wydają się sobie bliżsi niż kiedykolwiek przedtem.

- Nic nie okazuje się takie, jak się spodziewaliśmy, co?

- Tak.

Przejechaliśmy kilka przecznic w milczeniu.

- Scott?

- Hm?

- Chcesz jechać tam ze mną w niedzielę? Posłał mi długie spojrzenie.

- To znaczy, jeśli masz ochotę... - dodałam. - Bo nie musisz.

- Nie, bardzo bym chciał. - Uśmiechnął się. Może nie byłam gotowa na Tego Jedynego, a może  
byłam. Z czasem się dowiem.

I tak czy inaczej - będzie dobrze.